OGÓLNOPOLSKI KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY NR 1 (26) 2010

www.promocja.mielec.pl

Nadwisłocze

KOLPORTAŻ MIELEC - ZIEMIA MIELECKA - PODKARPACKIE I OKOLICZNE - PRENUMERATA KRAJOWA I ZAGRANICZNA

Nr indeksu 381802 cena 5 zł (w tym 7% podatku VAT)

Sprawiedliwi i nie tylko... na Ziemi Mieleckiej

str. 22-23

ISNN 1731-5697

str. 14-15

BLACK HAWK MADE IN MIELEC

OŚRODEK SZKOLENIA KIEROWCÓW
„MOTOS"
Andrzej Kondeczny
KATEGORIE: A, B, B+E, C, C+E, T
NOWE SAMOCHODY CIĘŻAROWE: RENAULT PREMIUM
i MAN TGA 18 - TAKIE SAME JAK NA EGZAMINIE !!!
Ponadto: Peugeot 207, Suzuki, Ciągnik
BIURO OŚRODKA:
Mielec (Stacja PKP)
ul. Głowackiego 8
tel./fax 017 583 77 78
tel. kom. 602 122 122
660 066 066
www.motos.mielec.pl
e-mail: motos@neostrada.pl
Czynne od 8^{00} do 19^{00}
w soboty od 8^{00} do 13^{00}
39-300 Mielec
ul. Drzewieckiego 9/6
tel./fax 017 583 33 34
tel. kom. 666 555 555
666 555 666
KONKURENCYJNE CENY! SZKOLENIE INDYWIDUALNE! SZKOLENIE BEZSTRESOWE!

MEBLE NA WYMIAR
Witold Juszczak
Złotniki 307
tel. 017 774 24 43
tel. kom. 0 503 025 828
PROJEKT I POMIAR GRATIS
◇kuchenne
◇pokojowe
◇garderoby
◇inne

CHŁODNICE
KLIMATYZACJA
CZYSZCZENIE TAPICEREK SAMOCHODOWYCH
MECHANIKA POJAZDOWA
FILTRY, OLEJE, SMARY, PŁYNY CHŁODZĄCE
CZĘŚCI SAMOCHODOWE
REGENC - PIĄTKOWIEC 14A k/Mielca, tel. 17 585 31 19
kom. 602 756 640 , 606 383 823, 694 737 718
www.regenc.com.pl

FIRMA ELEKTRYCZNA DZIAŁOWSCY Sp. z o.o.
BTE

39-331 Chorzelów, Chrząstów 10B
tel./fax 017 584 01 80, 0 603 130 846, 0 602 101 018
www.bte.com.pl e-mail: bte@bte.com.pl

Zdjęcie na okładce: Black Hawk (fot. Damian Gąsiewski

Spis treści:

Mielecjana i Regionalia

str. 4 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Promocja Mieleckich Zapisków Nr 9-11 - Rocznika Ziemi Mieleckiej 2006-2008.*

str. 5 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *20 lat niezależnej prasy na Ziemi Mieleckiej.*

str. 5 - *„Wieści Regionalne" i inne media uhonorowane.*

str. 6-8 - **Janina Korpanty**, *Rodzina Korpantych (4). Mielec i moja rodzina w latach 1918-1939.*

str. 9-13 - **Teofil Lenartowicz**, *Przecławskie wspomnienia, cz. VII. Na poczcie.*

str. 13 - **Włodzimierz Kłaczyński**. *W przecławskiej sprawie... List do Redakcji.*

Lotnicze Nadwisłocze

str. 14-15 - **Damian Gąsiewski**, *Black Hawk made in Mielec. Uroczystość ukończenia produkcji pierwszego helikoptera S-70i™ Black Hawk w PZL Mielec.*

str. 16-19 - **Stanisław Fryc**, *[pilot Tadeusz Góra] Zdobywca Lilienthala.*

Historia i ludzie

str. 20-21 - **Włodzimierz Gąsiewski -** *Grzegorz Ostasz - Podziemna Armia. [Relacja z promocji i omówienie książki G. Ostasza, Podziemna Armia. Podokręg AK Rzeszów].*

str. 22-23 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Sprawiedliwi i nie tylko... Na Ziemi Mieleckiej. [O Polakach, którzy za udzielanie pomocy Żydom podczas okupacji niemieckiej na Ziemi Mieleckiej otrzymali Medal Sprawiedliwi wśród Narodów Świata oraz o przypadkach antysemityzmu wśród Polaków].*

str. 24-29 - **Ryszard Mścisz**, *Śladami Rudolfa Baumbergera.*

Kresowe Nadwisłocze

str. 30-34 - **Mieczysław Kuriański**, *Ze wspomnień repatrianta - Memories of repatriate. (1) Z kresów Wschodnich na Śląsk. Lata dzieciństwa - From the Eastern Frontier to Silesia. Childhood (1945-1960) [tekst w języku polskim i w wersji angielskiej].*

str. 35 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Reminescencje krzemienieckie. Poezja i historia.*

Historia i wiara

str. 36-37 - **Ks. Józef Mandziuk**, *Postacie z dziejów Kościoła śląskiego w czasach nowożytnych. Cz. IX. Cesarz Leopold I Habsburg i dominacja katolicyzmu śląskiego. Biskup Karol Ferdynand Waza wobec przynależności metropolitalnej Wrocławia.*

str. 38-39 - **С.М. Паўля Волчэк, назарэтанка**, *Błogosławione siostry z Nowogródka - jubileusz [o męczeńskiej śmierci błogosławionych 11 sióstr nazaretanek zamordowanych przez Niemców w Nowogródku 1 sierpnia 1943 r.].*

Literackie Nadwisłocze

str. 40-41 - **Adam Szostak** (Białoruś), *Współczesny stan sztuki performance'u na Białorusi. Wieczór literacki, którego nigdy nie było. [Tłum. z białoruskiego A. Odyńca].*

str. 42-43 - **Robert Czop**, *Recenzje [Vesna Miculnic-Preśniak „Światło w ciemności"; Franjo Frančić „Dwie tęcze"; Nie dzielmy Boga ani człowieka - Olga Lalić-Krowicka, „Niepokoje, niepokoju"].*

str. 44-45 - **Mirosław Jan Grudzień**, *[Szopen Borysa Pasternaka - tłumaczenie z rosyjskiego; Wiersze].*

str. 46-47 - **Mirosław Osowski**. *„Genius loci" Mieczysława Łypa; Impresje z Futomy, Stalowowolska nagroda Gałązki Sosny.*

str. 48-49 - **Rober Czop**, *Tu w górach zbudujemy dom - Jerzy Harasymowicz wśród zielonych wzgórz.*

str. 49 - **Zbigniew Michalski**, *Edward Guziakiewicz w Podkarpackiej Izbie Poetów.*

str. 50 - **Dominika Gil**, *Wiersze*.

str. 50 - **Karolina Kaleta**, *Wiersze.*

str. 51 - **Karolina Szewczyk**, *Wiersze*.

str. 51 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Poezja i moda.*

Kultura i cywilizacja

str. 52-58 - **Mieczysław Kuriański**, *Feliks Koneczny (1862-1949). O prawach dziejowych (4).*

str. 59-61 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Multimedia w edukacji i praktyce* (2). *Kreatywna szkoła to twórczy uczeń...*

Kultura i sztuka

str. 62 - **Andrzej Szypuła**, *45 lat Chóru ZNP „Cantus" w Rzeszowie.*

str. 63 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Kultura i pieśń.*

str. 64 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Wystawa Doroczna Klubu Środowisk Twórczych Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej im. prof. Władysława Szafera.*

str. 65 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *„Kram Ram" – galeria sztuki.*

„Nadwisłocze" Ogólnopolski Kwartalnik Społeczno-Kulturalny.
Wydawca: **Agencja Wydawnicza „Promocja"**.
Honorowa współpraca wydawnicza: **Towarzystwo Miłośników Ziemi Mieleckiej w Mielcu** oraz **Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Lokalnego w Żarówce**.

Redaktor naczelny: **Włodzimierz Gąsiewski**
tel. 602 776 197 e-mail: gasiewski@interia.eu
Sekretarz Redakcji: **Krystyna Gargas-Gąsiewska**,
Dział reklamy: **Damian Gąsiewski**, tel. 602 739 362
Współpraca redakcyjna: Adam Chrabąszcz, Robert Czop, Jacek Krzysztof Danel, Bronisław Dryja, Olga Gąsiewska, Krzysztof Graboń, Jerzy Kazana, Józef Kawałek, Paweł Komoński, Szczepan Komoński, Ks. Janusz Królikowski, Józefa Krzak, Jacek Krzysztofik, Józefa Kwiatkowska, Dorota Kwoka, Olga Lalić-Krowicka, Tadeusz Łakomy, Zbigniew Michalski, Leszek Midura, Ryszard Mścisz, Mirosław Ossowski, Teresa Paryna, Andrzej Przybyszewski, Ewelina Radion, Antoni Rejman, Adam Rząsa, Janusz Strzała, Leszek Szot, Edward Winiarski.
Skład komputerowy i łamanie własne. Druk: **Autograf - Mielec.**
Kolportaż: **RUCH SA Warszawa O/Rzeszów.** Prenumerata krajowa i zagraniczna - można zamawiać poprzez punkty sprzedaży prasy RUCH.
Biuro redakcji: **39-300 Mielec, ul. Mickiewicza 7**, tel./fax 17 5831498,
www.promocja.mielec.pl,
e-mail: kontakt@promocja.mielec.pl

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła,
na zasadzie licencji Creative Commons (CC)
Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i dokonywania ew. skrótów w nadsyłanych materiałach.
Teksty publikowane są nieodpłatnie - bez honorariów.
Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń i reklam oraz zastrzega sobie prawo do ew. redagowania nadsyłanych tekstów, które publikowane są nieodpłatnie (bez honorariów). Zapraszamy do współpracy.

PROMOCJA MIELECKICH ZAPISKÓW Nr 9-11 - ROCZNIKA ZIEMI MIELECKIEJ 2006-2008

25 lutego br. w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej - Filia w Mielcu, przy współudziale Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej im. W. Szafera w Mielcu, odbyło się spotkanie promocyjne „Mieleckich zapisków nr 9-11. Rocznika Ziemi Mieleckiej 2006-2008".

Swoją obecnością spotkanie zaszczycili m.in.: Leszek Deptuła - poseł na Sejm RP, Marek Paprocki - przewodniczący Rady Powiatu Mieleckiego. W roli współautora publikacji i jednocześnie przedstawiciela Urzędu Miejskiego wystąpił Józef Witek z małżonką. Przybyła też Maria Błażków - dyrektor Miejskiej Biblioteki publicznej, liczne grono autorów i współtwórców publikacji.

Prowadzący spotkanie, od prawej: Jerzy Kazana - prezes TMZM, Józefa Krasoń - kierownik Biblioteki Pedagogicznej oraz Włodzimierz Gąsiewski - redaktor wydania

Rolę gospodarzy pełnili: Józefa Krasoń - kierownik Biblioteki Pedagogicznej, Jerzy Kazana - prezes TMZM oraz Włodzimierz Gąsiewski - redaktor „Mieleckich Zapisków", który po wystąpieniach Józefy Krasoń i Jerzego Kazany zaprezentował promowane wydawnictwo.

Rolę gości honorowych pełnili: Jerzy Dębicki - senior mieleckiej rodziny księgarzy i syn zaprezentowanego w „Zapiskach", pierwszego księgarza mieleckiego Lucjana Debickiego oraz najbliższa rodzina zaprezetowanego w publikacji Mirosława Maciąga: Lucyna Maciąga-Jaroszyńska, Marzenna Mańkowska - córki i Aurelia Miłoś - siostra.

Podczas spotkania odbyła się też dyskusja i wypowiedzi autorów. Głos m.in. Zabrał Jerzy Dębicki, Leszek Deptuła, Andrzej Krępa, Jadwiga Jankowska i Marek Skalski. Wystąpiła też córka Mirosława Maciaga - Marzenna Mańkowska, która podziekował za obszerną biografię jej ojca

Strona tytułowa publikacji. Na zdjęciu Lucjan Eugeniusz Dębicki, fot. z legitymacji Polskiego Związku Kajakowego w Mielcu 1936 r.

i wręczyła red. Gąsiewskiemu kwiaty.

Na spotkaniu zainicjowano też reaktywację sekcji historyczno-wydawniczej TMZM, która zajmie się kolejnymi publikacjami Towarzystawa.

Następne spotkania promocyjne odbędą się w: Miejskiej Bibliotece Publicznej w Mielcu - 23 kwietnia br. oraz w Mieleckim Uniwersytecie Trzeciego wieku (na przełomie marca i kwietnia) i już na nie serdecznie zapraszamy.

WG

Na zdjęciu od lewej: Jerzy Dębicki, syn mieleckiego księgarza Lucjana Debickiego oraz Marzenna Mańkowska, córka Mirosława Maciąga - postaci przedstawionych w publikacji

Goście spotkania, w pierwszym rzędzie od lewej Leszek Deptuła - poseł na Sejm RP oraz Marek Paprocki - przewodniczący Rady Powiatu Mieleckiego

20-lat niezależnej prasy na Ziemi Mieleckiej

BOROWA
Wieści z gminy
PISMO RADY GMINY W BOROWEJ NR 1/1990.12.01/

1 grudnia 1990 r., po raz pierwszy ukazały się „Wieści z gminy", które w 1994 r. zmieniły swój tytuł na obecne „Wieści Regionalne". Była to pierwsza wówczas niezależna gazeta prywatna w rejonie mieleckim.

„Wieści z gminy" oraz niezmienny do dziś ich wydawca i jednocześnie redaktor naczelny, który także jest naczelnym i wydawcą „Nadwisłocza" torowały drogę pośród niejasnych wówczas przepisów, w gąszczu nieufności, zwłaszcza urzędniczej, w funkcjonowaniu czasopisma.

Powstanie „Wieści z gminy" było m.in. przyczyną tworzenia się innych niezależnych czasopism: różnego typu, częstotliwości ukazywania się i zasięgu. Niektóre z nich już nie istnieją, a inne umocniły swoją działalność. Dziś wszystkim, którzy przyczynili się do tworzenia niezależnych mediów, dziękujemy,

Włodzimierz Gąsiewski

„Wieści Regionalne" i inne media uhonorowane

22 grudnia 2009 r. podczas tradycyjnego już spotkania świąteczno-noworocznego władz samorządowych miasta Mielca, które odbyło się w sali widowiskowej Samorządowego Centrum Kultury w Mielcu, prezydent Janusz Chodorowski wręczył nagrody za osiągnięcia i działalność na rzecz miasta Mielca. Za rok 2009 otrzymali je: **Zdzisław Nowakowski** – za działania na rzecz szkolnictwa wyższego w Mielcu; **Władysław Stala**, prezes Sądu Rejonowego w Mielcu – za prace modernizacyjne i restauracyjne zabytkowego obiektu sądu; **Włodzimierz Gąsiewski** – wydawca i redaktor naczelny „Wieści Regionalnych" za podejmowanie cennych inicjatyw kulturalnych; **Zbysław Szwaj**, konstruktor samochodu Leopard – za rozwijanie w Mielcu odważnej myśli technicznej; **Janusz Soboń** z Kirchhoff Polska – za skuteczną walkę z kryzysem gospodarczym; **Paweł Czarny** – za promocję miasta w świecie.

Także i samorządowe władze Powiatu Mieleckiego w podziękowaniu za rzetelne i obiektywne realizowanie procesu komunikacji społecznej, a zwłaszcza informowanie mieszkańców Ziemi Mieleckiej o zamierzeniach i dokonaniach Rady i Zarządu Powiatu złożyły w dniu 19 stycznia 2010 roku mieleckim dziennikarzom serdeczne podziękowania oraz wręczyły im Honorowy Medal wybity z okazji X-lecia Powiatu Mieleckiego. Wyróżnieni zostali: Włodzimierz Gąsiewski - Wieści Regionalne, Edward Tabor - Korso, Tomasz Leyko - Nowiny, Przemysław Cynkier - www.hej.mielec.pl, Edward Małek - Radio Rzeszów, Magdalena Gembal - Extra Mielec.

Chcielibyśmy - stwierdził Starosta Mielecki, Andrzej Chrabąszcz – podziękować Wam za to, że pracujecie i wykonujecie swój zawód bardzo dobrze. Obiektywnie przekazujecie informacje, jesteście mediami opiniotwórczymi. Nikt nie powinien się obawiać mediów, ale współpracować z nimi, gdyż szczególnie ważne jest, by społeczeństwo Powiatu Mieleckiego było na bieżąco informowane, w sposób rzetelny i obiektywny. W spotkaniu wzięli udział także przedstawiciele Starostwa Powiatowego w Mielcu: Marek Paprocki - przewodniczący Rady Powiatu, Andrzej Chrabąszcz – starosta, Józef Smaczny - wicestarosta, Antoni Bryk - członek Zarządu Powiatu, Andrzej Kurdziel - członek Zarządu Powiatu, Eugeniusz Ryba - członek Zarządu Powiatu, Marek Pustułka - sekretarz powiatu, Bogusław Miga – rzecznik prasowy starostwa, Radosław Osmola – Wydział Funduszy, Rozwoju i Promocji Powiatu.

Inf. **WG, www.powiat-mielecki.pl**

Na zdjęciu od prawej: Jerzy Kazana, prezes TMZM, który wręczał nagrodę, prezydent Janusz Chodorowski oraz Włodzimierz Gąsiewski (fot. Damian Gąsiewski)

Janina Korpanty

Rodzina Korpantych (4)

Po dwuletniej przerwie publikujemy kolejne części wspomnień Janiny Korpanty, które nadesłał nam prof. dr hab. Józef Korpanty z Krakowa. Dziś są one już ponadczasowe i odkrywają wiele nieznanych faktów, zwłaszcza z codziennego życia mieszkańców Mielca i okolic.

REDAKCJA

Mielec i moja rodzina w latach 1918-1939

Po I wojnie światowej Mielec zaczął się dźwigać. Ośrodkiem miasta był rynek, który po stronie kościoła miał stare domy drewniane. Gdy jeszcze uczęszczałam do Seminarium Nauczycielskiego (lata 1925-1929), to w takim domku koła apteki Gardulskiego był sklep, gdzie kupowałam struny do skrzypiec. Te domy zburzono i wybudowano kamienne, które do dziś stoją. Zaczęto regulować ulice, kłaść chodniki, rynek został wybrukowany kamieniem (tzw. kocie łby). Na rynku co czwartek odbywały się targi, tu sprzedawano i kupowano krowy, konie, zboże. Przez rynek biegła droga tak jak dziś i wzdłuż tej drogi rzemieślnicy ustawiali kramy. Tu na stojakach mój Tatuś sprzedawał buty i inni szewcy też, tu sprzedawano uprząż na konie. Po stronie równoległej do ul. Kościuszki masarze sprzedawali wędliny (tzw. „faryna"), gorące kiszki, kiełbasę, galaretę, w lecie kiszone ogórki, to wszystko smakowicie woniało, a przeznaczone było dla chłopów, którzy masowo przyjeżdżali na targ. Terminatorzy we czwartek rano wynosili stojaki (zwane krosnami), potem buty z cholewami męskie i damskie oraz trzewiki damskie i męskie. Mamusia zawsze była z Tatusiem na targu, bracia Kazek i Bronek szli do gimnazjum, Marysia do szkoły podstawowej, a ja zajmowałam się Józkiem i Jankiem, bo chodziłam do Seminarium Nauczycielskiego, gdzie nauka odbywała się w godzinach 13 – 19, a niekiedy i dłużej.

W dzień targowy zawsze wychodziłam z domu wcześniej i obchodziłam rynek wokół, aby patrzeć na rozmaitość twarzy ludzkich. Cały rynek zasiedlony był przez Żydów, oni handlowali wszystkim i ze wszystkimi. Gdy szłam do Seminarium, to przy drodze na ukos siedziały stare Żydówki i sprzedawały gotowany bób, groch, różne placki, w zimie grzały sobie ręce nad żeliwnymi garnkami, w których palił się węgiel drzewny, tak że miały czarne ręce. Takim węglem rozgrzewało się żelazka, bo elektryczności nie było.

Miasto żyło jakby w gettach, osobno mieszczanie, osobno inteligencja i Żydzi. Byli Żydzi i bogaci, i biedni. Bardzo bogaci byli np. Saletry czy Groska, która miała sklep przy rynku z jedwabiami, koronkami (gdzie dziś sklep z jarzynami, przed sklepem tekstylnym); tu, gdzie dziś jest Czerwony Krzyż, był bogaty sklep tekstylny Klaskbrum – to była „nasza" Żydówka, u której się ubierała moja rodzina. Byli Żydzi wykształceni, np. adwokat Isemberg, lekarz Kauffman. Tatuś handlował ze Srulem, który przyszedł do niego, gdy umierał. Inny bardzo bogaty Żyd Mulorz handlował z nimi skórami; zawsze na Wigilię przysyłał nam ryby, a na Wielkanoc mace. Żydzi nadawali ton, gdy przyszła sobota, trudno było przejść ulicą; skłaniali się do komunizmu i odgrażali się Polakom. Spacerowali po naszej ulicy, bo ta była najładniejsza. Żydzi chasydzi mieli we wrześniu Sądny Dzień, szli odpowiednio ubrani do bożnicy, zbudowanej w miejscu, gdzie dziś koło rynku jarzynowego jest pawilon z ubraniami. Na nogach mieli rodzaj pantofli, białe skarpety, długie jedwabne czarne jubki, na szyi jakby ręcznik, biały w czarne pasy, na głowie duży pluszowy kapelusz otoczony lisim ogonem, u pasa sznurki (pacierze), w ręce Talmud. W październiku były Kucki czyli Święto Szałasów, pamiątka pobytu na pustyni przez 40 lat od wyjścia z Ziemi Egipskiej. Kucki to niewielkie budki, na szkielecie drewnianym była tektura lub sklejka. Każda rodzina to miała, dzieci rzucały w te kucki kamieniami. Kiedy Żyd zmarł, to w takiej skrzyni ciało niesiono na cmentarz, ten przy naszej ulicy, zmarłych chowano na siedząco, z braku miejsca.

Mieszczanie lubili bywać w karczmach – wiem to z opowiadań Tatusia, Mamusi, cioci Jazownikowej. Chodzili co niedzielę na spacer pod Wojsław i w karczmie Szmai pili piwo. Na zabawy mieszczaństwo chodziło do sali Straży Pożarnej, inteligencja do Kasyna, lub do Rady Powiatowej, gdzie dziś jest Szkoła Muzyczna. Po I wojnie światowej Kasyno wybudowało drugi dom naprzeciw naszego, w którym grali w karty i bawili się. W tamtych latach festyny były rodzajem publicznej zabawy, odbywały się w Kasynie i na błoniach za laskiem w stronę Smoczki, muzyka grała, tańczyli, były biegi w worku, loteria, wspinali się po kiełbasę na wysoki słup itp. Festyny były też na Strażnicy, zabawy koło Wisłoki. Przyjeżdżały teatry wędrowne i młodzież gimnazjalna wystawiała przedstawienia, np. „Betlejem Polskie" L. Rydla i inne. Odwiedzał Mielec Leon Wyrwicz – komik. Więzi rodzinne były w tamtych latach silne, ludzie zapraszali się na wesela, na chrzciny, moi rodzice chodzili i zawsze dawali ładne prezenty. A jak raz byli na weselu córki przyrodniego stryja Jaśka Korpantego, to my dzieci uczyłyśmy się palić papierosy!

Życie towarzyskie związane było także z kościołem. Każdy cech rzemieślniczy miał swoją godzinę modlitwy (tak jak i szkoły), chorągiew, swoje światło i świecił np. podczas czterdziestogodzinnego nabożeństwa. Tatuś nasz nosił baldachim i Pana Jezusa Zmartwychwstałego, ta figura waży 12 kg, są fotografie, które to potwierdzają. Na nasz kościół mieszczaństwo hojnie łożyło, np. Kolasiński – masarz, bezdzietny, który robił najlepsze wędliny, odnowił wszystkie ołtarze. Życie religijne skupiało się wokół Akcji Katolickiej (do której należała Mamusia) i wokół Sodalicji Mariańskiej, do której należała młodzież żeńska i męska, młodzież gimnazjalna. Była też Sodalicja dla starszych, do której należał Tatuś. Każdorazowy katecheta gimnazjalny był opiekunem tej organizacji. Ja pamiętam ks. Sitkę, taki wysoki, szczupły, potem był kanclerzem w Kurii Tarnowskiej, zginął z rąk Niemców. Po nim przyszedł ks. Dudziak pochodzący z gór. Sodalicja urządzała wieczorki, akademie i reprezentowała organizację podczas uroczystości religijnych i patriotycznych, np. 11 Listopada, w rocznicę odzyskania niepodległości, i 3 Maja. Akcja Katolicka urządzała pielgrzymki do Częstochowy. Jeszcze opiszę uroczystość Bożego Ciała. Przed drugą wojną światową ołtarze były u pp. Kolasińskich, Łojczyków, w aptece p. Pawlikowskiego (zawsze ołtarz był ubrany w czerwone piwonie) i u p. Ma-

dejskiego, czyli przy ul. Kościuszki. Dzieci i młodzież szła parami z nauczycielami. Po II wojnie światowej uroczystość odbywała się na rynku, później na naszej ulicy: Łojczyk na rogu, Dębicki, co miał sklep z papierami, Leyko – krawiec i Łojczyki na skrzyżowaniu. Do przystrojenia ołtarza poczuwali się sąsiedzi i co trzeba było, to przynosili; nasza rodzina przynosiła dwa wazony kwiatów doniczkowych.

Mielec i okolice to obszar rolniczy, ludność trudniła się uprawą roli, tylko na Woli Mieleckiej na dobrach fundacji Ossolińskich sadzono buraki cukrowe. Gdy nadszedł czas żniw, z lasów przywożono na wozach drabiniastych ubogich żniwiarzy z kosami i kobiety. Zawsze po południu w niedzielę jechały te wozy od Kolbuszowej naszą ulicą; głośno śpiewali, nazywali ich bandosy. Każdy mieszczanin miał pole i chował krowy, które pasły się na błoniu za laskiem. Był gminny pastuch Cyz, później Kozicki. Przed godz. szóstą krowy musiały być wydojone, na południe przyganiali i około godz. 15 znowu szły na paszę. Mleko ranne kupowali Żydzi, doiła Mamusia do ich naczyń, sprzedawało się także sąsiadom i to był stały dochód. Chowaliśmy świnie. Wędliny najpierw robił dziadek Wanatowicz, a później bił Tatuś i robił z braćmi, wędziło się w kominie na rożnie. Jest jeszcze maszynka do nadziewania kiełbas, jest praska do przygniatania salcesonu. Później wędziliśmy u Feliksowej Wanatowiczowej. Jeszcze czuję smak gorącej, świeżo wędzonej kiełbasy i białej kiełbasy nie wędzonej w kwaśnym lub białym sosie. Po świniobiciu, gdy przychodziliśmy ze szkoły, to był np. barszcz na kiełbasie i ziemniaki, kiełbasa podzielona na porcje była gorąca w piecyku. Kiełbasy były zamykane w komorze przy stajni, jest jeszcze wieszak na którym wisiały. Na wiosnę sprzedawało się żyto, które stało na strychu w wielkich pakach, po 16 zł za 100 kg. Tyle kosztowały u Tatusia buty dla chłopa, taka była cena metra tkaniny wełnianej na kostium. Droższa była wełna z lnem (Leszczków), którą ja i siostra Maria miałyśmy pokryte futra. Chodzę w takim futrze do dnia dzisiejszego. Szył Żyd z Tarnowa, błamy po 60 zł za koty syberyjskie, kołnierze były z kangura po 40 zł. Jak mnie brat Kazek zaprowadził do składu futer, to oniemiałam na widok wielkiej ilości pięknych błamów. Towary kolonialne nasza rodzina kupowała u Chawy, tu, gdzie dziś stoi figura św. Józefa, często ten sklep był okradany.

W roku 1934 lub 1935 przyjechał ze Stanów Zjednoczonych do Mielca bogaty mieszczanin Zygmunt Rymanowski i wybudował przy ul. Kościuszki elektrownię, a potem otworzył kino. Pierwszy film, który tam widziałam, nosił tytuł „Miłość i łzy Chopina" - o miłości Chopina do Marii Wodzińskiej, w której też się kochał J. Słowacki; był to film niemy. Miasto powoli rozwijało się, piękniało, ponieważ miało dobrych burmistrzów. Ja pamiętam burmistrza Leykę i burmistrza Kazanę. Gdy była potrzeba powiadomienia obywateli o czymś ważnym, chodził po ulicach Turkiewicz (mieszkał w Wojsławiu), bił w bęben, ludzie się schodzili i odczytywał polecenia burmistrza, tak jak w czasach średniowiecza. Po I wojnie światowej przy naszej ulicy na skwerku wystawiono pomnik Janowi Kilińskiemu, bohaterskiemu szewcowi z czasów insurekcji kościuszkowskiej w Warszawie.

Przypomnę, że rodzina nasza w tych latach składała się z Mamusi, Tatusia, Mamuni, dzieci: Marysi, Bronka, Kazka, Janka, Józefa, mnie i sieroty Romana Wanatowicza, przy warsztacie: czeladnik i jeden lub dwóch chłopców – terminatorów. Rodzice wstawali wcześnie około godz. 5 rano, bo już przed szóstą przychodziła Żydówka po mleko. Potem Mamusia gotowała śniadanie, zawsze była kawa zbożowa „Enrilo" i chleb. Po śniadaniu Mamusia szła w pole, bo trzeba było przynieść krowom trawy. Najczęściej szła za cmentarz na pole pod Pietryczyną - to nazwisko sąsiadki. To pole było wianem naszej Mamusi od babki Wanatowiczowej z Niedbałów, która pochodziła z Cyranki. Dzieci szły do szkoły, wracały ok. godz. 12 na obiad, który zawsze składał się z dwóch dań. Były kluski z mlekiem, makaron, zupa ziemniaczana, grzybowa, później modna stała się zupa pomidorowa, barszcz biały, czerwony, rosół, mięso rosołowe, sznycle, kotlety, a jak przyszła wiosna, to rodzice kupowali ćwiartki cielęciny. Mnie bardzo smakowała nerkówka pieczona. Pamiętam np. taki obiad: barszcz czerwony, ziemniaki i nerkówka. Dzieci zawsze brały swoje jedzenie i szły jeść obiad do ogródka, na trawie. W niedzielę były sznycle lub kogutki panierowane w bułce tartej. Dzieci zostawiały sobie to na podwieczorek, wtedy siadaliśmy na progu domu zrobionym z desek. Kolacja często była gotowana, np. zacierka na mleku, zacierka na wodzie maszczona słoniną, zalewajka czyli zupa ziemniaczana, ale bez jarzyn, tylko cebula zalana białym barszczem, mleko z wodą nie cukrowane, tylko solone, herbata z jagodami.

Rodzina była liczna, więc trzeba było dużo chleba. Mąkę na chleb moi bracia i terminatorzy mełli na żarnach, ja nigdy tej pracy nie wykonywałam, bo nie umiałam prawidłowo obracać żarnówką. Mamusia piekła chleb pod koniec tygodnia. Dzieci kupowały drożdże u Żydówki Dydkowej. Jak dorośliśmy, Mamusia uczyła nas wyrabiać chleb na stolnicy; ciasto kładło się do koszyczków, gdzie rosło, potem na łopatę (zwaną wiesło); bochenek skrapiało się ciepłą wodą, by chleb miał chrupiącą skórkę, i wsadzało się do pieca na 2 godziny. Po godzinie chleb się przesadzało: bochenki z końca pieca, najlepiej upieczone, dawało się naprzód, chleb po raz drugi skrapiało się zimną wodą. Stary piec chlebowy był duży, mieścił sześć bochenków, paliło się drewnem, musiało być 12 polan, które się układało w piecu jak studnię i zapalało z tyłu, by płomień ogrzewał cały piec. Przy tej okazji Mamusia piekła nam podpłomyki, okrągłe placki z ciasta chlebowego, jeszcze ciepłe smarowała masłem.

Tatuś rano pompował wodę ze studni do miednic. Podgrzana na słońcu służyła do podlewania ogórków oraz do mycia. Latem wszyscy mężczyźni w sobotę myli się na polu, a w innych porach roku w sieni. Mamusia prała na tarce, później obie z siostrą pomagałyśmy prasować. W sobotę dla wszystkich „panów" musiały być czyste koszule i bielizna, w sobotę często Tatuś czyścił nam wszystkim buty na niedzielę, a umiał pięknie wyglancować, tak że błyszczały jak słońce, później już robiły to dzieci. W niedzielę Mamusia chodziła do kościoła na godz. 6, dzieci na swoje nabożeństwa, a Tatuś zawsze na Sumę – na godz. 11. Czekaliśmy na niego z obiadem. Po obiedzie spał, wtedy w domu panowała cisza, choć nas tego nikt nie uczył, że trzeba szanować odpoczynek drugich. Mamusia nie odpoczywała. Po południu Tatuś na maszynce spirytusowej robił sobie jajecznicę na słoninie, lubił dużo tłuszczu, ja też.

Opiszę święta w naszym domu. Na Boże Narodzenie, chyba w czasie I wojny światowej, przychodziła na Wigilię rodzina z górki. Cała kuchnia zastawiona była stołami, dziadek Wanatowicz porobił ławki z desek, dla dzieci była ławka podobna do ławy szkolnej. Podłoga była zasłana słomą, snopek zboża w kącie. Drzewko ubierał Bronek już rano w kuchni i przenosił do pokoju. Nie było cukierków, więc Bronek w czasie Adwentu wkładał kostki cukru do

kolorowej bibuły. Mieliśmy bańki, łańcuchy i różne zabawki robione w szkole na lekcjach robót ręcznych. Na wigilię jedliśmy: barszcz z grzybkami, kapustę, groch, pierogi z kapustą, a później Mamusia kupowała u Żydówki „na górce" - bo się po schodach wchodziło do sklepu - śliwki bośniackie, duże, obgotowywała je i robiło się pierogi. W późniejszych latach Mamunia robiła strudel, ciągnęła ciasto na stole. Jeszcze należy dodać, że starsi bracia Bronek i Kazek chodzili z „gwiazdą," kolędowali i dostawali kolędę czyli drobne datki pieniężne. Bronek robił zawsze ładną gwiazdę. Janek przed II wojną chodził po kolędzie po wsiach z księdzem. Wszyscy bracia służyli do Mszy Świętej.

U nas trzeba było dużo jadła, bo rodzina po okresie postu ścisłego przychodziła głodna. W poście w naszym domu piło się czarną kawę i jadło chleb, a Mamusia nic nie jadła; ja dopiero w ostatnich dwóch, może trzech latach jem bułkę. Z ryb jedliśmy tylko śledzie; dziadek Wanatowicz zawsze czuwał nad dziećmi, by się ością nie udławiły. Po wigilii spędzonej u nas szliśmy do wujka Stacha Wanatowicza, później do ciotki Jakubowej Ratusińskiej, do domu małego, gdzie nie było podłóg, w małej kuchni był warsztat, bo jej zięć Toczyński był stolarzem. W tym domu to już niczego nie jedliśmy, częstowano nas tylko kompotem z owoców suszonych. Jak rodzina wymierała, to i ten zwyczaj się skończył. Na każde Święta Bożego Narodzenia i Wielkanocne przychodził do nas wujciu Tadziu Wanatowicz z rodziną. Podawało się wędliny, gęś pieczoną, ciasto, wódkę, my też do nich chodziliśmy.

Święta Wielkanocne poprzedzone były Wielkim Postem. Posty były surowe, pościło się przez 3 dni w tygodniu: w środę, piątek i sobotę, nie jadło się mięsa, w pozostałe dni wolno było jeść mięso tyko raz na dzień, w niedziele więcej razy. Na przykład kiedy uczyłam w Szumsku, to ks. proboszcz nie dał mi dyspensy, bym mogła jeść więcej razy mięso; przepisy były surowe, ale ludzie ich przestrzegali. W Środę Popielcową, Wielki Piątek i w Wigilię Bożego Narodzenia był post ścisły. W Wielką Sobotę był post do godz. 12, więc w południe my dzieci i Tatuś już jedliśmy kiełbasę na gorąco, którą Mamusia gotowała z szynką w wielkim żeliwnym garnku. Mamusia nigdy z nami nie jadła mięsa w Wielką Sobotę, a nawet w Wielką Niedzielę, aż raz Bronek Mamusi powiedział, że to jest nieuszanowanie święta i zaczęła jeść. Święciło się potrawy u p. Janki Leyko po drugiej stronie ulicy. Nosiło się szynkę, kiełbasę, jajka, chrzan, chleb. Rezurekcja do roku 1939 była zawsze w Wielką Sobotę wieczorem; była wtedy rewia mody, zwłaszcza żony kupców świńskich rywalizowały w kreacjach. Kilka słów o strojach. Do II wojny światowej kobiety mieszczańskie nosiły kapelusze, tak żony, jaki i córki. Moda była długa, nosiło się suknie do kostek; jeszcze są w kufrze i w pudle nasze kapelusze, a w kufrze moje i Marysi kapelusze letnie palmowe. Już od końca lat trzydziestych ubiory na ulicę były krótsze, kolory: granat, a na lato jasne w kwiaty; w rodzinnym albumie są takie fotografie.

Od roku 1924 do 1929 byłam uczennicą Seminarium Nauczycielskiego im. Emilii Plater w Mielcu. Bracia Bronek i Kazek uczęszczali do Gimnazjum im. Stanisława Konarskiego w Mielcu, siostra Marysia po ukończeniu 7 klas szkoły podstawowej nie kształciła się, pracowała w domu, uczyła się szyć, gotować, ale nigdy nie pracowała w polu, to znaczy nie okopywała ziemniaków i nie pracowała przy żniwach, owszem nosiła ludziom posiłki, gdy były prace okresowe. Józek i Janek chodzili do szkoły podstawowej. Józiu po gimnazjum poszedł do podchorążówki i chyba w następnym roku wybuchła II wojna światowa. Posyłałam mu pieniądze. Niedawno posłałam mu list pisany do mnie, w którym dziękował za pomoc.

Pola Rodzice mieli około 8 morgów, leżało za torami przy ul. Torowej i ciągnęło się od torów do lasku pod Cyranką i pole pod Pietryczyną. Za torami było 3 pasy, jeden zapisała w roku 1916 Mamusi ciocia Józefa z Weryńskich Jarosz (czyli była przyrodnią siostrą Tatusia, bo babcia miała dwóch mężów - Weryńskiego i Korpantego). Drugi pas pola kupił Tatuś w roku 1920 za 900 koron od Rymanowskiego, trzeci pas w roku 1933 od Indyka za 300 dolarów amerykańskich. Tatuś tak kochał ziemię, że nawet w niedzielę szedł w pole, gdzie spotykał się z wujkiem Kazikiem Ratusińskim. Ale najbardziej lubił samotność.

Pola było dużo, a więc i dużo pracy. Tatuś pilnował warsztatu, ale sadzenie ziemniaków, okopywanie, wykopki, żniwa, siew były też na jego głowie. Był stały chłop z Trzciany, nazywał się Krużel, który końmi u nas pracował, od wiosny do późnej jesieni. Na wiosnę uprawiał, woził gnój, siał owies, jęczmień, łubin, sadził ziemniaki. My dzieci, kobiety zza góry Cyranowskiej - Wilkowa, Mądra i inne, okopywaliśmy ziemniaki. Jesienią przy wykopkach pracowało już kilkanaście osób, bo chłop przyjeżdżał z wozem i woził cały dzień, często do wieczora. Ziemniaki wysypywało się na klepisko, przebierało i nosiło do dołka, a później do piwnicy. Ziemniaki się segregowało na duże do jedzenia, średnie na sadzenie i drobne, pokaleczone dla krów i świni. Podczas żniw wszyscy pracowaliśmy w polu, żniwiarze kosili, baby odbierały, bracia wiązali snopki, a my z Marysią nosiłyśmy na dziesiątki. Z 10 snopów robiło się chochoła i nakrywało jednym snopkiem. Zboże schło w polu, wyschnięte woził chłop do stodoły, bracia podawali na wóz, my układaliśmy w starej i naszej stodole, bo zawsze było kilkanaście kop żyta, trochę pszenicy, którą Tatuś siał koło kanału, bo tam była czarna ziemia, trochę owsa, trochę jęczmienia. W sierpniu były omłoty. Przychodziły „młocki" z lasów spod Kolbuszowej, wielka biedota, i młóciły 1 kopę na dzień. Dostawali całodzienne wyżywienie, spali na boisku czyli klepisku. Pod koniec tygodnia dostawali zapłatę, zawsze kupowali odzież, żywność, i szli do domu na piechotę.

Gdy tylko nadeszły wakacje i dojrzały czarne jagody, wszystkie dzieci z „górki" gromadnie szły do „księżego lasu", czyli do lasu, którego właścicielem był proboszcz mielecki. Wodzem tych wypraw był Paweł Wanatowicz, szło się na piechotę na Smoczkę, to kilka kilometrów za Mielcem w stronę Kolbuszowej. Mamusia dawała każdemu dużą, grubą kromkę chleba, w środku wykrawała nożem dziurkę, wkładała masło i zalepiała wyciętą ośródką. Wszyscy zbierali jagody do swoich dzbanków. Paweł Wanatowicz zawsze zbierał na kolanach, bo był wysoki i trudno było mu schylać się. Dopiero gdy dzbanki były pełne, odpoczywaliśmy, posilając się chlebem i jagodami. Bracia i inne dzieci szły do Żydów, aby sprzedać jagody i za zarobione pieniądze kupić zeszyty. Jako dzieci baliśmy się Żydów; w domach biedoty był odór cebuli, czosnku, panowały ciemności, które nas przerażały. Bogaci żyli inaczej. Kobiety piekły placki z mąki, okrągłe z czarnymi jagodami w środku, a także placki z mąki kukurydzianej.

Cdn.

Przecławskie wspomnienia

z życia Teofila Lenartowicza ur. 20. 5. 1928 r. w Katowicach. Dotyczą Przecławia i Ziemi Mieleckiej, które pozostały moją Małą Ojczyzną, do której zawsze wracam i za nią tęsknię - napisane w latach 1997-2005 cz. VII

NA POCZCIE

Pewnego dnia zmarł w Przecławiu jeden z dwu listonoszy, nazwiskiem Kopacz. Naczelnik poczty Stanisław Sobota poszukując następcę, zaproponował mi wakujący etat, na co chętnie się zgodziłem, bo dawało mi to stałą pracę.

W ten sposób mając 18 lat, w 1946 roku rozpocząłem pracę na poczcie. Był to niewątpliwie pozytywny zakręt w moim życiu, gdyż pozwoliło mi to w późniejszym życiu wyrwać się stamtąd. Naczelnikowi Sobocie i jego żonie wiele zawdzięczam. Oni uczyli mnie, wykazywali moje błędy i wady, kształtowali moją osobowość. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z faktu, że sprawdzali moją uczciwość. Pozostawiali mnie z pieniędzmi na wierzchu. Kilka razy Sobota pomylił się na swoją niekorzyść wydając mi na wypłaty więcej pieniędzy niż należało. Dawał mi do przeliczania pieniądze, gdzie było więcej niż sam przeliczył. Zawsze takie różnice zwracałem. Byłem tak naiwny, że się w tym nie orientowałem. Dopiero po latach sam mi o tym powiedział.

Było nas dwu listonoszy, bo tak się ten zawód nazywał, ale kilka lat później zmieniono tą nazwę na doręczyciel. Nie rozumiałem dlaczego tak zrobiono. Wydaje się, że wiele podobnych dziwnych nazw wyrosło w tamtych czasach.

Drugim listonoszem był starszy ode mnie, bo 50-letni Marian Ulanowicz. Był to dobry człowiek, ale posiadał tą wadę, że bardzo słabo widział. Jako krótkowidz musiał prawie do samych oczu przystawiać kopertę, aby przeczytać adres. Wstydził się swojej ułomności i dlatego nie używał okularów. Wynikały z tego nieporozumienia, ale jakoś Sobota godził się z tym faktem.

Przecławska poczta obejmowała Przecław, Podole, Wólkę Podolską, Łączki Brzeskie, Wylów, Kądziołki, Wólkę Błońską i Błonie. Nie były to wszystkie wsie naszej gminy, gdyż gmina obejmowała więcej wsi, ale i tak mieliśmy co obsługiwać.

Gdy jeden z nas szedł na odległe wsie, to drugi roznosił pocztę po Przecławiu, przywoził rano pocztę z pociągu i po południu odprawiał pocztę do pociągu. W celu odwiezienia poczty i przywiezienia jej z przystanku kolejowego, przyjeżdżał każdego dnia dwukrotnie furmanką Stefan Szewc. Zabierało się wówczas paczki, worki i odwoziło do pociągu. Szewc od lat woził pocztę i przyjeżdżał po nią 5 km, aż z Kiełkowa, gdzie mieszkał. Nigdy nie zdarzyło się, aby nie przyjechał, lub się spóźnił.

Pracując na poczcie początkowo obsługiwałem Przecław i Błonie, oraz robiłem odbiory poczty z pociągu i do pociągu, a Ulanowicz obsługiwał pozostałe wsie. Później Sobota zarządził, abyśmy się zmieniali i od tej pory, co jakiś czas zmienialiśmy rejony. Raz ja miałem dalekie wsie, a on obsługiwał pocztę i Przecław, a innym razem było odwrotnie.

Do pociągu po pocztę jeździło się 2 razy dziennie przez most na Wisłoce. Ponieważ wysadzony przez Niemców most był jeszcze nieczynny, więc jeździło się przez tymczasowy most drewniany, położony nisko nad wodą. Gdy wiosną przyszła kra i woda most zabrała, to nie było jak dostać się po pocztę. Zdarzało się, że gdy zrobił się większy zator, przechodziłem na drugą stronę Wisłoki po krach, przeskakując z jednej kry na drugą. Zanim podniesiono dawny most z Wisłoki, tych drewnianych było kilka. Gdy kra, lub powódź most zabrała budowano następny drewniany po drugiej stronie dawnego mostu. Wielkim wydarzeniem stało się podniesienie i uruchomienie dawnego mostu.

Polubiłem pracę na poczcie, szczególnie jak zacząłem chodzić po odległych wsiach takich jak Łączki Brzeskie. Wszędzie byłem mile witanym gościem. Przynosiłem ludziom przeważnie dobre wieści. Były to listy i paczki przeważnie z dalekiej Ameryki, które biednym, umęczonym wojną ludziom, oprócz wiadomości o bliskich, przynosiły także ogromną pomoc finansową. Czekali listonosza i byli zawiedzeni, gdy do nich nie wstępowałem. Byłem dla nich jedynym oknem na świat. Może dzisiaj trudno sobie to wyobrazić, ale postarajmy się na chwilę przenieść wyobraźnią w tamten czas.

Wieś Łączki Brzeskie położona w połowie drogi między Przecławiem, a Radomyślem. Odległość od Przecławia około 6 km, a od stacji kolejowej 8 km. Prowadziła do niej wyboista droga bez najmniejszej komunikacji. We wsi był tylko jeden maleńki sklepik i nic więcej. Nie było elektryczności, a więc wszystkiego, co jest z tym związane. Brak gazu, poczty, szkoła odległa o 4 km, a na całej wsi nie było ani jednego telefonu. Najbliższa pomoc lekarska znajdowała się w Mielcu odległym o 20 kilometrów. Kościół, cmentarz, sklepy, Urząd Gminy, odległe o 6 km w Przecławiu. Wieś rozrzucona na przestrzeni 7 km, gdzie nie docierała nawet gazeta. Bardzo licha ziemia i brak dostępu do rynku pracy ze względu na kompletny brak komunikacji. Aż trudno sobie wyobrazić, że w połowie 20-tego wieku ludzie żyli w takich warunkach. Wprawdzie w Przecławiu też nie było jeszcze elektryczności i wielu innych udogodnień, ale ze względu na niewielką odległość do pociągu Przecławianie mieli dostęp do rynku pracy, szkół i kilku innych dobrodziejstw kultury.

Przecławianie na ludzi z okolicznych wiosek mówili pogardliwie „chamy". Być może Przecławianie byli nieco więcej oświeceni, ale za to ludzie z Łączek Brzeskich mieli coś, czego nie mieli inni. Oni mieli złote serca. Byli nad wyraz uczciwi i uczynni. Nie było w nich chciwości. Żyli pogodnie i wzajemnie sobie pomagali. Chłopi z Podola nie byli już tacy. Mieli bliżej do wszystkiego, bo wieś położona niedaleko Przecławia i były tam o wiele lepsze ziemie.

Początkowo było mi trudno chodzić z pocztą. Nie znałem ludzi, więc musiałem często zawracać i nadkładać drogi, a niektóre domy oddalone były od siebie nawet o pół kilometra. Ludzie szczególnie ci w Łączkach pomagali mi w pracy. Nigdy nie miałem zatargów z nimi. Starali się mnie gościć i częstowali, czym mogli.

Sobota dostał odgórne polecenie, aby na wsi rozprowadzać prasę. Wychodziła wtedy gazeta „Chłopska Droga", tygodnik naszpikowany komunistyczną propagandą. Sobota wyraźnie nakazał, że kto dostaje paczkę, lub list z Ameryki należy od niego obowiązkowo pobrać pieniądze na prenumeratę gazety. Stosowałem to bardzo rygorystycznie i za każdy list, lub paczkę pobierałem na 3-miesięczną prenumeratę. Dzięki temu Sobota ze swoim Urzędem Pocztowym zdobył w powiecie pierwsze miejsce za propagowanie na wsi prasy. Chłopi, gdy płacili na prasę myśleli,

że pobieram pieniądze za doręczenie poczty i byli bardzo zdziwieni, kiedy po pewnym czasie zacząłem im „Chłopską Drogę" przynosić. Ci, którzy mieli dużo korespondencji z Ameryki mieli opłacony abonament na rok i więcej z góry. Miałem z tego powodu więcej pracy, ale satysfakcja była. Muszę przyznać, że po pewnym czasie niektórzy tak przyzwyczaili się do gazet, że nawet sami bez przymusu opłacali prenumeratę. Na odległych wsiach było to jedyne źródło informacji, wprawdzie naszpikowane komunistyczną propagandą, ale takie to były wówczas czasy, że nic bez propagandy nie mogło się obejść.

Sobota był mężczyzną z zasadami. Jego podstawowe cechy to uczciwość, żelazna dyscyplina, punktualność i dokładność. Stosował się do tego sam, a jednocześnie wymagał to samo od nas i od własnej rodziny. Mieszkał w domu gdzie była poczta razem z matką swojej żony panią Boryńską. Był bezgranicznie zakochany w rybołówstwie. Zaraz po pracy biegł z wędką nad Wisłokę łapać ryby. Razem z Mieczysławem Gręboszem potrafili przesiadywać tam do późnych godzin wieczornych. Sobota wykupywał każdego roku kilka kilometrów Wisłoki, płacił za to dzierżawę i pilnował żeby nie było kłusowników, ale i tak nie upilnował, bo wszyscy łapali jak chcieli.

W niedzielę poczta czynna była w godzinach 9-tej do 11-tej. Ludzie przeważnie ze wsi wstępowali wtedy na pocztę, a ja miałem okazję rozdać im część poczty. Po odprawieniu poczty spotykałem się później z kolegami, z którymi układaliśmy plan na niedzielne popołudnie i wieczór. Chłopaki moi rówieśnicy palili już wtedy papierosy. Częstowali mnie. Początkowo nie chciałem, ale jak to w tym wypadku bywa starałem się im dorównać i tak się zaczęło. Podobnie było z wódką, ale nie pamiętam ile miałem lat, gdy po raz pierwszy spróbowałem. Alkohol sam w sobie nigdy nie pociągał mnie tylko po to, aby pić. W życiu przeholowałem może tylko 2 razy. Natomiast lubiłem wypić, gdy szliśmy potańczyć, bo wtedy większą miałem odwagę do tańca. Byłem bardziej rozluźniony i nie czułem tremy.

Praca na poczcie dawała mi wiele satysfakcji. W okolicznych wioskach tam, gdzie chodziłem z pocztą znałem prawie wszystkich. Także ci ludzie znali mnie. Wszędzie gościnnie mnie przyjmowano, częstowano bimbrem i zakąską. W tym czasie prawie w każdym domu pędzono bimber. Robiono go na własny użytek. Ludzie woleli robić bimber niż kupować, gdyż kupowany mógł być z dodatkiem karbidu, który dodawano w tym celu, aby był mocniejszy. Trudno go rozpoznać w bimbrze. Butelkę takiego bimbru sprzedałem jednego razu rosyjskiemu żołnierzowi. Wypił na miejscu całą butelkę bardzo sobie zachwalając. Otrząsnął się po wypiciu i powiedział „charosza".

Po pewnym czasie ułatwiłem sobie pracę. Wyremontowałem rower przywieziony od siostry z zachodu. Pragnę w tym miejscu zaznaczyć, że nie był to okres, kiedy po towar można było pójść do sklepu. Wówczas po towar jeździło się na Ziemie Odzyskane, na tzw. szaber. Nauczyłem się jeździć na rowerze i teraz na dalsze wsie i do pociągu jeździłem na nim. Pomagało mi to w pracy i pozwalało wcześniej wracać do domu. Ile ten rower razem ze mną wycierpiał, to tylko my obaj wiedzieliśmy. Jeździłem nim po takich wertepach, w lesie i po piaszczystych drogach, że wierzyć się nie chce, że można tak jeździć na rowerze. Nie było wówczas dróg asfaltowych, a przez wieś Podole prowadziła droga, na której był taki piach, że jedynie konnym wozem można było przejechać. Kawałkami mogłem jechać na rowerze a resztę prowadziłem, ale i tak bardzo mi to ułatwiało pracę. Można się domyślić, że o żadnej komunikacji na takich drogach mowy być nie mogło.

Lata 1945-1947. Stoją; Tadeusz Czernia, Antoni Szawliński, Stanisław Arciszewski, Kazimierz Grębosz, Władysław Wajs, Maksymilian Wątróbski, Nisowski (pluskwa), Karol Kopera, Teofil Lenartowicz, Edward Grębosz, Roman Czernia. Leżą; Julian Grębosz, Marian Nowak, Tadeusz Jarosz i Antoni Bukowy. Zdjęcie wykonane w okolicy Wisłoki.

Paczka chłopców, z którymi się przyjaźniłem miała swojego przywódcę. Był nim Edek Grębosz zwany „Szafą" od szerokich barów. Ten chłopak rok starszy ode mnie, wysoki, szeroki w barach, chodził kołysząc się jak marynarz. Edek mocny był jak tur i lepiej było nie wchodzić mu w drogę. Kiedy układaliśmy jakiś plan, do niego należało ostatnie słowo, co będziemy robić w niedzielne popołudnie. Składaliśmy się na wódkę, szliśmy do Moskalowej, lub w inne miejsce i kupowaliśmy bimber. Siadaliśmy za stołem, usmażono nam słoniny do chleba na zakąskę i po kilku kieliszkach zaczynaliśmy piosenkę i śpiewaliśmy.

Śpiew rozlegał się także, gdy szliśmy gdzieś gromadą. Najczęściej chodziliśmy na Podole. Musiałem nie raz wiele się natrudzić, aby namówić Edka „Szafę" i innych do pójścia tam, gdzie grała muzyka. Samemu takie wypady były niebezpieczne natomiast gromadą nic nam nie groziło. Zawsze dawaliśmy sobie radę, jeśli zaatakowali nas miejscowi chłopcy. Często takie wycieczki kończyły się bójkami, bo to też należało do formy rozrywki. Edek „Szafa" i Leszek Muniak byli pierwsi do bójek i oni najczęściej je rozpoczynali. Leszek był zaczepny i przeważnie od niego się zaczynało. Natomiast „Szafa", gdy zbyt dużo wypił to lał, kogo popadło nie patrząc czy to swój czy obcy. Miejscowi chłopcy zazdrośni byli, że „miastowi" przyszli im podrywać dziewczyny i konflikt był gotowy.

Dużą rolę w wychowaniu przecławskiej młodzieży odegrała nauczycielka o nazwisku Zeylchuber zwana potocznie Zajchuberką. Pojawiła się w Przecławiu na początku okupacji i pochodziła z Krakowa. Posiadała ogromne zdolności organizatorskie i potrafiła zaskarbić sobie zaufanie młodzieży. Szybko zorganizowała próby chóru i przedstawień. Spotykaliśmy się na próbach w domu ludowym, lub u niej w domu. Mieszkała samotnie w starej szkole, gdzie miała duże mieszkanie i fortepian. W domu ludowym też był fortepian uratowany z zamku Reyów.

Na próby chodziła przeważnie starsza młodzież, a nawet żonaci mężczyźni. Nie byli oni surowi, bo wcześniej śpiewali już na 4 głosy różne pieśni tak świeckie jak i kościelne. Do starszych należał Marian Jarosz późniejszy mąż Zajchuberki, Antoni Ulanowicz, sąsiad z ulicy i wielu innych. Młodsi od nich to Tadek Sobczyk z Danusią Godek późniejsze mał-

żeństwo i Bolek Maglecki z Józefą Cyzowską też późniejsze małżeństwo, Bronek Wątróbski, Kazek Jarosz. Wszystkich nie jestem wstanie wymienić, ale było dużo. Z młodszych dołączył Milek Wątróbki i ja. Tadek Sobczyk bardzo pięknie śpiewał tenorem, Antek Ulanowicz i Adam Bukowy basem, Bronek Wątróbski 3-m głosem, a ja z Milkiem Wątróbskim śpiewaliśmy 2-gim głosem. Czasami jednak ulegało to zmianie w zależności od pieśni. Mieliśmy szeroki repertuar pieśni śpiewanych na chór męski, żeński i mieszany. Były to pieśni kościelne, kolędy, wielkanocne, żałobne, z okazji ślubów, oraz mnóstwo świeckich, wojskowych, z Powstania Warszawskiego i wiele innych. Były to pieśni trudne do śpiewania. Zajchuberka była niezmiernie wymagająca i miała ambicję zrobienia z nas dobrego zespołu. Trzeba przyznać, że to się jej całkowicie udało. Śpiewaliśmy w kościele na mszy, ślubach, pogrzebach i innych uroczystościach. Dawaliśmy koncerty skutecznie konkurując z mieleckim chórem „Melodia".

Zawsze po próbie Zajchuberka siadała przy fortepianie i grała melodie taneczne. Prosiliśmy ją o to, a ona nie dawała się długo prosić. Grała i jednocześnie pouczała tańczące pary jak mają się zachowywać w tańcu. Według jej szkoły tylko nogi miały tańczyć, a sylwetka miała być wyprostowana. Nie mogło być żadnych przechyleń, pochyleń w tańcu, jak to obecnie widzi się u tańczących par. Szybko pod jej okiem nauczyłem się tańczyć.

Rytm, taniec i śpiew wkrótce stały się moim żywiołem. Dziecięce zabawy ołowianymi żołnierzykami w rytmie marszowych piosenek na parapecie katowickiego mieszkania obudziły się we mnie ze wzmożoną siłą. Rytm tanecznych melodii działał na mnie jak narkotyk. Nie potrafiłem powstrzymać się na dźwięk orkiestry. Nogi same porywały do tańca. Rytmiczność ruchów w takt muzyki urzekały mnie. Przypominam sobie, jak pierwsze próby nauki czyniłem sam z miotłą w ręku, starając się naśladować tańczące na rynku Rosjanki. Samemu i bez podkładu muzycznego było to zadanie bardzo trudne, a nawet niemożliwe. Teraz pod okiem i ze wskazówkami Zajchuberki uczyłem się bardzo szybko. Najtrudniej było nauczyć się walca. Kiedy nauczyłem się go w prawo i w lewo, wszystkie inne tańce były już dziecinnie łatwe. W tamtych czasach przeważnie tańczyło się wirując w prawo, lub w lewo. Jedynie angielski walc, tango i fokstrot nie wymagały, aby w tańcu wirować.

Oprócz tańczenia bardzo lubiłem obserwować pięknie tańczące pary. Piękno i kunszt poruszających się z gracją w rytm muzyki działały na mnie pobudzająco. Zamiłowanie do tańca, śpiewu i muzyki zagościły w moim sercu i głowie na zawsze. Od momentu, kiedy nauczyłem się tańczyć, taniec i śpiew stały się moją jedyną pasją. Szkoda, że z tego nie dało się żyć i musiało do dalszej egzystencji szukać innych rozwiązań.

Przecławski chór. Dyryguje Janina Zeylchuber. Od lewej: Tadeusz Sobczyk, Cyzowski, Godek, Maksymilian Wątróbski, Bolesław Maglecki, Teofil Lenartowicz, Michał Bukowy, Bronisław Wątróbski, Kazimierz Kordziński, Adam Kruk, Antoni Ulanowicz.

Najlepiej ze wszystkich dziewczyn tańczyło mi się z Milą Gręboszówną, siostrą braci Edka „Szafy". Edek miał 3 braci i siostrę Milę, która była szczupłą jasną blondynką z nieco perkatym noskiem. Z tą szczupłą i lekką dziewczyną wprost cudownie mi się tańczyło. Ona fruwała w powietrzu. Mogliśmy wirować w tańcu bez końca. Często byliśmy już padający, ale gdy zagrała orkiestra tańczyliśmy znów. Był w nas tylko rytm połączony z melodią i tańcem.

Bardzo chętnie chodziłem na próby chóru, których termin Zajchuberka wyznaczała na ostatniej próbie. Lubiłem te próby, można było pośpiewać, potańczyć, a także dowiedzieć się coś ciekawego od starszych. Zimą próby odbywały się częściej, natomiast latem raz w tygodniu w sobotę, lub w niedzielę. Sporo znaliśmy już pieśni, a repertuar ciągle się poszerzał. W przedstawieniu zagrałem rolę dziadka, a na scenie tak siarczyście przylałem Antkowi Szablińskiemu, że ten poczuł do mnie żal. Zrobiłem to zgodnie ze scenariuszem, ale być może w podświadomości mojej wyzwoliła się chęć rewanżu za krzywdy, jakie wyrządzał nam jego ojciec za okupacji.

Kontakty Zajchuberki z młodzieżą nie w smak były czołowemu przecławskiemu komuniście Alojzemu Popielowi, więc pod różnym pretekstem starał się pani Zeylchuber przeszkadzać w pracy. Dlatego tak się działo, że jej poglądy odbiegały znacząco od tego, co głosiła ówczesna propaganda. Nie podobały się komunistom jej kontakty z młodzieżą i stąd byliśmy świadkami zamykania sali ludowej, nie dawania do niej kluczy, to znowu nie pozwalano użytkować fortepianu. Doszło nawet do tego, że całkowicie zakazano jej przychodzić. Wszelkimi sposobami starano się młodzież zająć w inny sposób, ale cóż z tego, kiedy jak nie było Zajchuberki, to również i młodzież nie przychodziła na salę ludową. W takich wypadkach próby przeprowadzaliśmy w jej mieszkaniu, gdyż miała w domu fortepian. Wzywano ją nawet do Urzędu Bezpieczeństwa na przesłuchanie. Pamiętam jak martwiliśmy się o nią, kiedy długo nie wracała z przesłuchania w Mielcu, ale choć późno to jednak wróciła. Nie była rozmowna i nie chciała wyjawić, o co ją pytano i jak przebiegała wizyta. Można się było jedynie domyśleć.

W dalszym ciągu trwał okres „utrwalania Władzy Ludowej", który nie był niczym innym jak tylko terrorem zastosowanym w celu ujarzmienia Polaków. Nie trzeba było wówczas wiele żeby człowieka zamknęli. Ludzie dość już doświadczyli okupacyjnego terroru w okresie wojny. Wtedy w latach 40-stych ponownie bali się o wszystko. Wystarczyło, że ktoś na kogoś doniósł i już go zamykano, lub pozbywał się pracy. Często niewiadomo było, co się z człowiekiem stało. Słowo sprawiedliwość nie miało wówczas zastosowania i nie istniało. Wszystko było możliwe.

Zaczęto mówić, że jeżeli ktoś nie zapisze się do partii, to będą zwalniać z pracy, lub stosować inne represje. Mówiono także wiele innych rzeczy na obecne czasy niedorzeczne. Powodowało to, że bałem się o swoją pracę, bo dawała mi ona bardzo wiele, więc zagadnąłem przy jakiejś okazji sekretarza partii Mela, czy mogę się do partii zapisać. Wyjął on jakąś karteczkę i zapisał na niej moje nazwisko. Po kilku dniach zrozumiałem, że postąpiłem źle, gdyż Sobota

Przecław: okolice zamku, zdjęcie z lat 1945-1949. Od lewej Adam Wątróbski, Tadeusz Skrzypek, Kazimierz Gręboszc, Mieczysław Czernia, Edward Gręboszc, Maksymilian Wątróbski, Jan Gręboszc, Tadeusz Czernia, Teofil Lenartowicz.

wściekły jak licho zaczął robić mi wymówki. Chodziło mu o to, dlaczego nie powiedziałem mu, że mam zamiar wstąpić do partii. Wynikało z jego słów, że agitowano go do partii wcześniej. Teraz, kiedy ja się zapisałem zaczęto mu to wytykać i najprawdopodobniej musieli go czymś postraszyć, bo natychmiast się zapisał. Muszę przyznać, że sytuacja zrobiła się nieprzyjemna, ale było już za późno żeby sprawę odwrócić.

Pomimo że nie dostałem legitymacji, ani nie chodziłem na żadne zebrania, to jednak uważałem, że do partii należę i tak w życiorysie pisałem. Nie wiedziałem, że w ewidencji partyjnej nie istnieję. Myślałem, że od momentu, kiedy Mel zapisał mnie na karteczce jestem już partyjny. Dopiero po kilku latach okazało się, że wcale tak nie było.

Jedną z przecławskich atrakcji był odpust w święto Matki Boskiej Zielnej. Było to takie święto, na które w całej parafii czekano cały rok. Zawsze 15 sierpnia był w Przecławiu odpust. Parafianie czekali na to święto z różnych powodów. Inny powód miały dzieci, inny młodzież, a jeszcze inny dorośli. Był to jedyny dzień w roku, kiedy na rynku nie można było palca wbić. Na rynku stała karuzela, gdzie dzieci, młodzież, a nawet dorośli używali sobie dowoli.

Parafia była ogromna. Obejmowała wiele wsi, których nie będę wymieniał. Nadmienię tylko, że była o wiele większa od zasięgu, jaki posiadała poczta. Na rynku rzędem stały kramy, na których wydawało się, że są wszystkie cuda świata. Zabawki, pierścionki, sztuczna biżuteria, duże i małe serca z piernika, całuski długie ponad pół metra i pięknie opakowane, (okrągłe ciastka z piernika, bardzo twarde, zapakowane w rulon barwnym papierem z frędzlami). Beczki pełne kiszonych ogórków, a także gwizdki, fujarki, pukawki, pistolety na kapsle i wszystko inne, czego tylko dusza zapragnie. Jak na tamte czasy był to ogromny wybór. Zjeżdżały się ze wszystkich wsi furmankami ludzie, inni przybywali pieszo i nieśli na procesji w kościele wspaniale ręcznie wykonane snopy z kłosów zbóż i inne dożynkowe dary. Dziewczęta ubrane były w ludowe stroje, a chłopcy przeważnie w strażackich mundurach. Karuzela kręcąc się miała ogromne powodzenie. Kręcili się na niej dzieci, młodzież, a nawet dorośli. Po południu w parku obok zamku strażacy organizowali festyn. Co niektórzy mężczyźni zalewali się wódką, a festynowa strażacka obsługa, oraz milicjanci mieli sporo roboty. W tym dniu sporo mężczyzn nie wracało trzeźwo do domu.

Pragnę podkreślić, że w tamtych czasach chłop na wsi odizolowany był od dobrodziejstw kultury, bo nie było takiej techniki jak obecnie. Mieszkaniec miasta miał elektryczność, kino, teatr, widowiska sportowe i inne rozrywki, czego nie było na wsi. Obecnie chłop może korzystać ze wszystkiego, tak samo jak ludzie w mieście, a więc może korzystać z telewizji, telefonu nawet Internetu, a samochód przybliża rozrywki, jakie posiada miasto. Kiedyś tak nie było, chłop nie miał wyboru. Jedyną rozrywką było napić się wódki lub piwa, pobić się i wzajemnie pokroić nożami. Wesele, lub zabawa były wtedy udane jak się długo o nich mówiło i pamiętało, co tam zaszło, więc czym było krwawiej tym ciekawiej. Mnogość rozrywek, w tym wyżej opisane dostarczała przecławskiej parafii Zielna. Dlatego właśnie na ten dzień czekali wszyscy z utęsknieniem.

W taki właśnie dzień po raz pierwszy się upiłem. Nikt jednak nie widział, że byłem pijany. Następny raz pijany byłem około 20 lat później, ale o tym napiszę, gdy do tego miejsca dojdę.

Zorganizowano jednego razu bieg, na którym biegła chętna młodzież. Start zaczynał się od wejścia w naszą ulicę, czyli od ulicy Ogrodowej, a meta na krzyżówce obok cegielni na Pikułówce. Nagrodą było 5 worków cementu dla zwycięscy. Zdecydowałem się w ostatniej chwili i nie miałem zamiaru zwyciężać tylko zwyczajnie pobiegnąć. Wystartowaliśmy w kilkunastu chłopaków. Edek „Szafa" pobiegł jak burza, a reszta ferajny za nim. Ja pobiegłem powoli i spokojnie z tyłu około 100 metrów za nimi. Kiedy dobiegałem do mostu zauważyłem, że poboczem idzie moja sympatia Mila. Nie chciałem wypaść tak głupio, że biegnę na samym końcu, więc przyspieszyłem. Mila zaczęła mnie dopingować, a ja nabrałem takiej siły, że zacząłem poprzedników dopędzać. Wyprzedzałem ich po kolei pędzących ostatkiem sił. „Szafa" biegł daleko z przodu, gdyż jemu nikt nie dawał rady. Dochodziłem do niego stopniowo, bo on też się już wypompował i gdyby dystans był dłuższy zapewne minąłbym go i przybiegł pierwszy. Przybiegłem drugi około 10 metrów za „Szafą". Komitet organizacyjny zdecydował, żeby za drugie miejsce dać 2 worki cementu kosztem pierwszej nagrody. Motywowano tym, że jestem sierota i powinienem dostać. Edek „Szafa" wziął ze sobą ojca i poszli do prezesa G.S. z interwencją, że takiej umowy nie było. Byłem w tym sporze obojętny, bo nie zależało mi na tym cemencie i nawet gdyby mi go dano, to oddałbym go Gręboszom. Moje drugie miejsce było Mili zasługą, siostry „Szafy", a nie moją, więc cement powinni dostać Grębosze.

Zapamiętałem to wydarzenie, bo często w życiu zastanawiałem się, czy gdybym był na ich miejscu, to czy potrafiłbym tak walczyć o swoje? Odpowiedź dawałem negatywną pomimo tego, że rację przyznawałem im.

Z racji swojego zawodu zawsze najlepiej wiedziałem, na jakiej wsi i kiedy odbędzie się zabawa, festyn lub wesele. Najlepiej, gdy udało mi się namówić Edka „Szafę", bo wówczas szło więcej chłopców. Niektórzy z nich byli zaczepni i wszczynali bójki z miejscowymi, co często krwawo się kończyło.

Jednego razu poszliśmy na wioskę Błonie, gdzie na zabawie Leszek Muniak rozpoczął bójkę. Miejscowi rzucili się na niego, a ja stanąłem w jego obronie. Wówczas tamci skoczyli na mnie i zaczęli mnie tłuc. Leszek i inni uciekli, a ja zostałem sam. Mila była wtedy z nami i ona wyciągnęła mnie z opresji. Stanęła w mojej obronie. Rzuciła się na nich tak ostro i zaczęła ich z takim krzykiem odciągać, kiedy leżałem już na ziemi, że dali spokój. Zobaczyli, że dziewczyna tak zawzięcie mnie broni i odeszli ode mnie. Skończyło

się na siniakach i poobijanej gębie. Jednego razu Roman Czernia dźgnął w bójce nożem Markulisa starszego mężczyznę z Błonia. Innym razem Edek Jarosz młodszy (było dwóch Edków Jaroszów) drażnił się z pijanym Minkiem Wątróbskim, starszym mężczyzną. Doskakiwał do niego i szarpał go. Minek wyjął nóż i uderzył Edka. Sprawa była w sądzie, a ja niepotrzebnie musiałem świadczyć o tym, co widziałem. Edek wyszedł z tego.

Tragicznie skończyło się, gdy jednego razu poszliśmy na wesele w Błoniu. Chłopcy byli pijani i rozpędzili tańczących na sali gości weselnych. Następnie Edek Jarosz odtrącił od instrumentu perkusistę, sam usiadł za perkusją i zaczął grać. Grając był pochylony nad perkusją. Tańczyłem wtedy i zobaczyłem jak ktoś szybko podbiegł do Edka, uderzył go w tył głowy, wyskoczył przez otwarte okno i uciekł.

Edek dostał w tył głowy ciężarkiem od zegara. Zabrało go pogotowie do Mielca. Niestety nie odzyskał przytomności i po trzech dniach zmarł. Przez długi czas nie było wiadomo, kto to zrobił, pomimo że stało się to na sali zatłoczonej tańczącymi parami. Edek był żonaty i osierocił dwoje dzieci.

Po latach, w sierpniu 2004 roku, podczas pobytu w Zielną w Przecławiu, rozpoznał mnie na rynku szczupły mężczyzna i zaczepił. Przedstawił się jako Halik z Błonia i zaczął mówić o powyższym tragicznym wydarzeniu. Przypomniał mi, że to w jego rodzinnym domu było pamiętne wesele, na którym rozegrał się dramat. Zastanawiałem się, jak po tylu latach można rozpoznać we mnie chłopca z przed 60 lat, ale widocznie było to możliwe.

Jednego razu w Domu Ludowym na Podolu, gdy tańczyłem z dziewczyną przystawił się do mnie jakiś opasły mężczyzna z pretensjami, że tańczę z jego dziewczyną. Zaczęła się przepychanka i on mnie uderzył. Kiedy mu oddałem ze zdziwieniem zauważyłem, że to rosłe chłopisko leży pod piecem. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę z siły fizycznej, jaką miałem. Pozostało mi to po ciężkiej pracy tłuczenia młotem kamienia na drodze, przewalaniu kloców drewna w tartaku i ciągłej ciężkiej pracy fizycznej wykonywanej za okupacji niemieckiej.

Cdn.

Włodzimierz Kłaczyński

W przecławskiej sprawie...

Szanowny panie redaktorze „Nadwisłocza”

Z zainteresowaniem przeczytałem część wspomnień mieszkańca Przecławia, dotyczących wojny i powojnia w tym miasteczku. Niemniej chciałbym podać garść faktów rzucających inne światło na stan Zamku Reyów po zdobyciu miasteczka przez jednostki radzieckie.

Mając 12 lat uczestniczyłem jako członek V Drużyny harcerskiej hufca w Mielcu (zastępowy Józef Kopacz zam. ul. M. Reya, drużynowy hm. Karbowski zam. ul. Kościuszki).

Na miejsce obozów w których, uczestniczyłem wybrano Zamek Reyów w Przecławiu. W tym Zamku spędziłem wakacje od 20 czerwca 1945 r., poczynając od obozu drużyny, poprzez obóz hufca, później zaś na kursie zastępowych do dnia 28 sierpnia 1945 roku. Brak było kadry więc na kurs zastępowych brano jako tako rozgarniętych młodzików. W ciągu tych ponad dwóch miesięcy zdołałem się dobrze zapoznać tak z zamkiem jak i okolicą.

Za sypialnie służyły nam szeregowcom harcerskim pomieszczenia na piętrze, od klatki schodowej poprzez szereg komnat, aż do sali z Orłem i Pogonią. Mieliśmy w tych komnatach naścieloną słomę przykrytą unrowskimi kocami. W sali z Orłem i Pogonią sztukateria była w doskonałym stanie, a na ścianach wisiały portrety o ile sobie przypominam w liczbie sześciu, przodków Reyów. Portrety były bez ram, ale zupełnie nieuszkodzone. Nad głównymi schodami, na ścianie czołowej klatki schodowej wisiała jakaś scena zbiorowa z... chyba Rynku Krakowskiego. Obraz miał około pięciu metrów długości i co najmniej półtora metra szerokości. Płótno było obramowane ramami szerokości co najmniej trzydziestu centymetrów. (gdzie się podział, co się z nim stało, próżno pytać).

Podczas przygotowań do jednego z ognisk harcerskich, nie mając co robić, tuż przed otwarciem ogniska słuchałem rozmowy prowadzonej przez profesora Krymskiego (był wtedy umundurowany w randze porucznika) i profesorki ze Szkoły Handlowej, która opiekowała się drużyną żeńską, z chyba członkiem służby Reyów, który mówił o tym, że żołnierze sowieccy wycinali skórę w fotelach, natomiast nie stwierdzał żeby palili ogniska na parkietach (nie było w tym czasie czyli w rok po opisanych przez autora wspomnień wydarzeniach, żadnych śladów ognisk na parkietach i mozaikach). Człowiek ten natomiast ze zgorszeniem mówił o działaniach sekretarza PPR o nazwisku wymienionym we wspomnieniach p. Lenartowicza, który własnoręcznie podpalił stos książek z hrabiowskiej biblioteki (palcie pańskie książki) wzniesiony przez członków jego rodziny. Autor wspomnień też ma do tego obywatela Przecławia swoje pretensje. Nazwisko to utkwiło mi w pamięci dzięki piosence jaką śpiewał na tym ognisku doskonały chórek mieszany złożony z kilku (do dziesięciu) osób, które spędziły w Przecławiu okres wysiedlenia (czy ukrywania się) z jakiegoś większego miasta (bodaj czy nie z Warszawy), bo jeszcze tkwili poza swoim stałym miejscem zamieszkania. W chórku tym śpiewał też mieszkaniec Przecławia, którego w latach siedemdziesiątych spotkałem jako prezesa czy też członka zarządu GS w Przecławiu. Dzisiaj ten człowiek miałby dobrze ponad osiemdziesiąt lat.

Wśród tego zespołu był dobry tekściarz. Zapamiętałem słowa piosenki:

„Płynie Wisłoka w dal
fala za falą w ślad
Gwiazdy nad Przecławiem,
gwiazdy nad Przecławiem
Księżyc w Wisłokę wpadł”

W tej piosence czy też innej, śpiewanej na tym ognisku a capella, był taki fragment tekstu: „Mamy także i Popiela, lecz go myszy nie chcą zjeść”. Czyli nie tylko służący hrabiego miał do sekretarza pretensje. Może któryś z mieszkańców Przecławia pamięta te piosenki?

Sumując: Zamek i jego wnętrze nie został zniszczony przez Rosjan czy Ukraińców (byli to żołnierze Frontu Ukraińskiego). Nie spalili biblioteki, nie palili meblami. Meble z Zamku, antyki można było jeszcze kupić w latach siedemdziesiątych w okolicy aż po Radomyśl. Zniszczenia boazerii, sztukaterii z Orłem i Pogonią, portretów, dokonały dwa pożary, wzniecone podczas gospodarowania w tymże Zamku Centrali Nasiennej. Nawiasem mówiąc: gdzie podziała się jedna z armat leżąca przed wejściem do zamku? W 1945 roku leżały tam dwie armaty, dzisiaj jedna.

P. S. Wplotłem część powojennych dziejów tego zamku w fabułę mojej książki pt. „Zasiek Polski” t. I „Idy Lipcowe”, rozdział VI str. 50 i dalsze.

Mielec, 16. 03. 2010 r.

BLACK HAWK MADE IN MIELEC

Uroczystość ukończenia produkcji pierwszego helikoptera S-70i™ BLACK HAWK w PZL Mielec

15 marca 2010 r. przeszedł do historii Polskich Zakładów Lotniczych, jak i Mielca jako dzień uroczystej prezentacji pierwszego wyprodukowanego w mieleckiej fabryce śmigłowca S-70i BLACK HAWK. Firma znana była dotąd jako producent samolotów. Śmigłowiec zaprezentowany podczas specjalnie z tej okazji zorganizowanej ceremonii, to międzynarodowa wersja znanego na całym świecie amerykańskiego helikoptera BLACK HAWK. Ten nowy wariant śmigłowca jest pierwszym helikopterem z rodziny Sikorsky zmontowanym na terenie Europy z wykorzystaniem międzynarodowej sieci dostawców.

Na zorganizowanej w iście amerykańskim stylu prezentacji nowy produkt PZL Mielec podziwiało ponad 300 osób. Byli wśród nich wysocy rangą przedstawiciele MON, MSZ czy Ministerstwa Gospodarki, a także przedstawiciele Sztabu Generalnego WP, Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych, Marynarki Wojennej i Wojsk Specjalnych oraz reprezentanci Policji i Służby Celnej. Na tak ważnej dla Mielca i podkarpacia uroczystości nie mogło również zabraknąć przedstawicieli władz wojewódzkich, miejskich i powiatowych Mielca, reprezentantów Parlamentu oraz Europarlamentu. Obok pracowników PZL Mielec silną grupę stanowili przedstawiciele firmy Sikorsky Aircraft – od marca 2007 r. właściciela mieleckiej wytwórni.

Wszyscy zebrani goście nie kryli zachwytu nad włożoną w tę produkcję pracą i umiejętnościami mieleckich fachowców. Nie zabrakło oczywiście gratulacji i słów uznania.

– Dzisiaj trzeba się cieszyć. Ileż można narzekać? – tryskał optymizmem Janusz Chodorowski, prezydent Mielca. Firma jest wizytówką naszego miasta.

– Przemysł lotniczy w Mielcu jest niezwykle ważny. Ta premiera to duma całej załogi (PZL Mielec), ale i całej Polski. – wtórowała prezydentowi Mielca posłanka Krystyna Skowrońska.

To co również ważne i zasługujące na podkreślenie, to fakt, że prezentacja pierwszego kompletnego śmigłowca w PZL Mielec miała miejsce dokładnie w przeddzień 3 rocznicy przejęcia zakładu przez firmę Sikorsky.

„W ciągu zaledwie trzech lat PZL Mielec stały się zakładami światowej klasy, które są w stanie wyprodukować śmigłowiec BLACK HAWK, jeden z najlepszych helikopterów eksploatowanych w dzisiejszych czasach" – powiedział Robert Kokorda, wiceprezes ds. Strategii Korporacyjnej i Synergii w firmie Sikorsky. **„Oczekujemy, że produkcja helikoptera S-70i BLACK HAWK w Mielcu przyczyni się do wzrostu liczby polskich firm biorących udział w produkcji śmigłowca BLACK HAWK, który używany jest na całym świecie."**

Zgodnie z planem w PZL Mielec zostanie utworzone centrum programu śmigłowca S-70i BLACK HAWK dla międzynarodowych klientów. Debra A. Zampano, manager ds. programu S-70i i międzynarodowych programów zbrojeniowych powiedziała podczas uroczystości:

„Jak widać atmosfera innowacyjności w naszej firmie jest wciąż żywa. Helikopter S-70i BLACK HAWK jest przykładem połączenia znakomitej jakości wykonania, zaawansowanej technologii i wspaniałej tradycji. Śmigłowiec S-70i BLACK HAWK został dziś oficjalnie włączony do rodziny produktów Sikorsky. Oczekujemy, że maszyna ta zajmie należne jej miejsce w globalnej społeczności lotniczej, jako helikopter służący wielu narodom."

Janusz Zakręcki, prezes PZL Mielec dodał:

„Będąc świadkiem odsłonięcia pierwszego egzemplarza śmigłowca BLACK HAWK zbudowanego w Polsce, odczuwam dumę, że osiągnęliśmy ten cel. Wskazuje to na istotne znaczenie mieleckich zakładów na międzynarodowym rynku lotniczym. Ukończony przez nas śmigłowiec jest produktem należącym do rodziny helikopterów BLACK HAWK, które są najbardziej sprawdzonymi w boju śmigłowcami na świecie.

Kontynuując bogatą tradycję lotniczą, Mielec robi dziś ogromny krok naprzód. Dzięki niemu mieleckie zakłady poprowadzą przemysł lotniczy w Polsce w przyszłość. Możliwe to będzie dzięki helikopterowi, który jest sprawdzony, przygotowany by spełniać polskie wymagania, który może wzmocnić floty śmigłowców wojskowych w Europie."

Zmontowany w całości w PZL Mielec helikopter już wkrótce przejdzie testy oraz wszelkie kwalifikacje w centrum Sikorsky Development Flight Center w West Palm Beach na Florydzie w Stanach Zjednoczonych.

Począwszy od 2012 roku PZL Mielec będą produkować planowo około 20 egzemplarzy helikopterów S-70i BLACK HAWK rocznie.

Damian Gąsiewski

Na zdjęciach obok: od lewej strony, u góry honorowi goście uroczystości, poniżej na pierwszym planie Janusz Zakręcki, prezes PZL przed prezentowanym helikopterem. Od prawej zdjęcia z montażu Black Hawk'a, a u dołu śmigłowiec S-70i BLACK HAWK w całej okazałości.

* * *

BLACK HAWK to dwusilnikowy śmigłowiec o maksymalnej masie własnej 9977 kg. Maksymalna masa startowa śmigłowca to 10 659 kg.

Układ wirnika nośnego ma średnicę 16,37 m.

Śmigłowiec S-70i wyposażony jest w cztery całkowicie przegubowe łopaty kompozytowe z tytanu i włókna szklanego z łożyskami elastomerowymi. Śmigłowiec S-70i ma cztery kompozytowe łopatki wirnika głównego o szerokiej cięciwie, zaprojektowane, by dawać większą siłę nośną w warunkach wysokiej temperatury i dużej wysokości.

Produkowane dziś śmigłowce BLACK HAWK napędzane są dwoma silnikami General Electric T700-GE-701D zamontowanymi nad kabiną, tuż za główną skrzynką przekładniową i po obu jej bokach. Silniki uruchamiane są pneumatycznie za pomocą powietrza przekazywanego z pokładowego pomocniczego zespołu energetycznego (APU). Pozwala to śmigłowcowi wzbijać się w powietrze bez pomocy zewnętrznych źródeł energii.

Typowa załoga śmigłowca BLACK HAWK

Konfiguracja śmigłowca BLACK HAWK dla potrzeb transportu wielozadaniowego zazwyczaj zawiera miejsca dla 11 żołnierzy ze sprzętem. W konfiguracjach dla transportu wojsk, BLACK HAWK może być skonfigurowany do transportu aż do 20 żołnierzy wraz ze sprzętem. Taka elastyczność maksymalizuje skuteczność przemieszczania się pododdziałów. Miejsca dla pasażerów można usunąć i składować w śmigłowcu. Cała operacja „wyczyszczenia" wnętrza kabiny trwa 15 minut. Ponad jedenaście metrów sześciennych przestrzeni kabiny pozwala na transport ładunków wewnątrz, a ładunki o nacisku do około 1464 kg na metr kwadratowy można bezpiecznie zamocować i rozmieście na podłodze. Konfigurację śmigłowca można w krótkim czasie zmienić pod kątem wymagań konkretnej misji. Taka elastyczność jest niezwykle korzystna dla dowódców zarówno sił powietrznych, jak i wojsk lądowych i pozwala dostosować się do zmieniającego się środowiska.

W przypadku dużych operacji transportu wojska i sprzętu często wykorzystywane jest podczepianie ładunku pod kadłubem. Śmigłowiec BLACK HAWK może przetransportować podwieszony ładunek o wadze ponad 4 ton. co sprawia, że śmigłowiec ten jest w stanie radykalnie zwiększyć przewagę sił w strategicznych sytuacjach. Śmigłowiec może przenosić działa artylerii, w tym artylerii przeciwlotniczej, lekkie ciężarówki, polowe ogniwa paliwowe, systemy zasłonowe oraz wszelkie inne elementy, które powinny być strategicznie rozmieszczone. Do wykorzystania haka transportowego nie jest konieczna zmiana konfiguracji śmigłowca. Jest on wygodnie schowany w podłodze luku towarowego i można w dowolnym momencie go wykorzystać. **(Inf. PZL MIelec)**

fot. Damian Gąsiewski

Copyright Sikorsky Aircraft Corporation. Wszelkie prawa zastrzeżone

fot. Damian Gąsiewski

Copyright Sikorsky Aircraft Corporation. Wszelkie prawa zastrzeżone

fot. Damian Gąsiewski

Stanisław Fryc

ZDOBYWCA LILIENTHALA

Jak wiadomo sympatykom lotnictwa, pierwszym w świecie zdobywcą najcenniejszego trofeum lotniczego, czyli Medalu Ottona Lilienthala był gen. bryg. pil. TADEUSZ GÓRA. Nie wszyscy z tych sympatyków wiedzą natomiast o bardzo silnych związkach tego pilota z Podkarpaciem. Dotyczą one przy tym nie tylko Bezmiechowej, z której wystartował przed wojną do najdłuższego przelotu, który dał mu najcenniejsze trofeum lotnicze. Związki z regionem dotyczą także Krosna, gdzie już po wojnie, w Okręgowych Warsztatach Lotniczych Aeroklubu PRL Góra oblatywał jako pilot doświadczalny pierwsze wyremontowane tam szybowce. Biorąc za linię podziału jego najcenniejszy sukces lotniczy, czyli zdobycie Medalu Lilienthala, jego karierę lotniczą można podzielić na trzy okresy związane z tym, co miało miejsce przed, w trakcie i po zdobyciu Medalu.

Przed Lilienthalem

Tadeusz Góra urodził się w dniu 19 stycznia 1918 roku w Krakowie jako syn Jana i Bronisławy z domu Wiszniewska. Gdy ojciec, oficer 20 pułku piechoty, przeniesiony został do 53 pułku piechoty Strzelców Kresowych w Stryju, on rozpoczął w tej miejscowości naukę w szkole powszechnej. Kiedy później ojciec otrzymał przeniesienie do 9 pułku piechoty Legionów w Zamościu, jego syn w tym mieście z kolei ukończył cztery klasy szkoły powszechnej i został uczniem pierwszej klasy Państwowego Gimnazjum imienia Hetmana Jana Zamoyskiego. Po roku nauki powrócił z rodzicami do Stryja, gdzie ojciec objął stanowisko inspektora Straży Granicznej. Ukończył tutaj drugą i trzecią klasę gimnazjum. Potem, po przejściu ojca do Straży Granicznej w Nowym Targu, uczęszczał do czwartej klasy miejscowego Państwowego Gimnazjum. Tutaj też, podczas zlotu sportowych awionetek, odbył jako pasażer pierwszy w życiu przelot samolotem.[11]

Kiedy w 1933 roku ojciec przeszedł na emeryturę i osiadł w Wilnie, Tadeusz Góra znalazł się w tym mieście. Kontynuował tutaj naukę, uczęszczając do dwóch kolejnych klas Państwowego Gimnazjum imienia Króla Zygmunta Augusta. Będąc w piątej klasie, pewnego dnia zauważył plakat Aeroklubu Wileńskiego, informujący o zapisach na teoretyczny kurs szybowcowy. Rodzice zgodzili się, żeby wziął w nim udział. Zaliczył go później bez najmniejszych problemów.[2]

Kiedy w wakacje 1934 roku Góra był już członkiem Aeroklubu Wileńskiego, wziął udział w odbytym na szybowisku Grzegorzewo praktycznym kursie szybowcowym. Prowadził go instr. Wiktor Gedroyć, który uczył pilotażu na szybowcach typu „Wrona" i CWJ. Latając na nich, będąc jeszcze uczniem gimnazjum krakowianin, zdobył wtedy upragnioną, najniższą kategorię A pilota szybowcowego.[3]

[1] Tadeusz Chwałczyk „Tadeusz Góra - informacja biograficzna", s. 1-2 /wydruk komputerowy w zbiorach autora/.

[2] (pj) „Tadeusz Góra", „Skrzydlata Polska" nr 34/35 z 26 VIII - 3 IX 1962 r. oraz Tadeusz Malinowski „Pierwszy medalista", „Skrzydlata Polska" nr 4 z 26 I 1969 r.

[3] „Tadeusza Góry lot po medal", rozmowa Tadeusza Chwałczyka z Tadeuszem Górą, „Gazeta Politechniki" nr 7-9 z VII - IX 2001 r.

Pil. Tadeusz Góra w 1938 roku, okresie Lilienthalowego przelotu

Wakacje 1935 roku Tadeusz Góra spędził już w słynnej Szkole Szybowcowej w Bezmiechowej. Na kursie znalazł się w grupie szkolonej przez czołowego polskiego instruktora i wychowawcę, Piotra Młynarskiego. Latając pod jego okiem zdobył wyższą od poprzedniej kategorię C pilota szybowcowego. Uzyskał wtedy prawo do noszenia w klapie marynarki odznaki z trzema mewkami, z czego też był bardzo dumny.[44]

Nosząc odznakę pil. Tadeusz Góra był nadal uczniem wileńskiego gimnazjum, choć interesowała go już nie tylko nauka. Coraz bardziej pochłaniało go lotnictwo, stąd też wolne chwile spędzał na czytaniu czasopism i książek o tematyce lotniczej. Będąc członkiem Aeroklubu Wileńskiego rzetelnie wykonywał wszystkie otrzymane polecenia. No i nie zapominał o ciągłym podnoszeniu kwalifikacji lotniczych.

Podczas wakacji 1936 roku, spędzonych w Szkole Szybowcowej w Bezmiechowej, Góra latał już jak „młody orzeł". Wykonywał loty na długotrwałość, uzyskiwał ponad tysiącmetrowe przewyższenia, przelatywał przy burzowej pogodzie wiele kilometrów. Uzyskał dzięki temu warunki, które uprawniały do przyznania Srebrnej Odznaki Szybowcowej. Ukończył też pomyślnie praktykę warsztatową.

Znalazłszy się w tym gronie, Tadeusz Góra był nadal skromnym człowiekiem, jednym z wielu pilotów latających w Bezmiechowej, pośród których byli studenci, inżynierowie, uczniowie szkół średnich, a nawet pracownicy fizyczni, w tym kolejarze. Po lotach siadali i analizowali to, w czym niedawno uczestniczyli. Mówili o warunkach atmosferycznych, możliwościach przelotowych, rejonach występowania kominów termicznych, o lotach w trudnych warunkach, w tym na czole burzy.

Podczas powyższych wakacji Tadeusz Góra przebywał też w Łucku na Wołyniu. Uczestniczył w odbytym na miejscowym

[4] Tadeusz Malinowski „Pierwszy medalista", „Skrzydlata Polska" nr 4 z 26 I 1969 r.

lotnisku, w ramach obozu Przysposobienia Wojskowo – Lotniczego, kursie pilotażu samolotowego.[5]

W lecie 1937 roku pil. Tadeusz Góra odniósł kolejny sukces, tym razem jako zawodnik. Doszło do tego, gdy wziął udział w przeprowadzonych w Inowrocławiu Krajowych Zawodach Szybowcowych. Lecąc szybowcem SG – 3 bis, po zaciętej walce z doświadczonymi szybownikami, ten jeszcze gimnazjalista odniósł sensacyjne zwycięstwo. Kiedy więc po zawodach wrócił triumfalnie do Wilna, w macierzystym aeroklubie bardzo wysoko oceniono jego sukces. Niespodziewanie okazało się, że Aeroklub Wileński zyskał pilota, który stał się znany w całym kraju.

Przebywając jesienią 1937 roku w Szkole Szybowcowej w Bezmiechowej, Góra latał tym razem pod okiem innego znanego instruktora, Adama Dziurzyńskiego. Znów wykonywał przeloty otwarte, loty na długotrwałość i wysokościowe. Na wiosnę w roku następnym, zgodnie z tradycją, wyjechał do Bezmiechowej, żeby potrenować. Nie planował w ogóle osiągniecia jakiegoś rekordowego wyniku.[6]

Lilienthal

Przebywając wiosną 1938 roku w Szkole Szybowcowej w Bezmiechowej, pil. Tadeusz Góra wykonał do dnia 18 maja kilkanaście lotów. Poprzedniego dnia też latał. Wrócił późno z przelotu i zanim wyszedł na szczyt Słonnego dźwigając spadochron, było już dobrze po północy. Dlatego następnego dnia obudził go instr. Dziurzyński. Nie wziął więc udziału w codziennym wyciąganiu z hangaru szybowców. Część z nich była już w powietrzu, bądź odrywała się już ze zbocza Słonnego.

Po chwili Góra siedział już w kabinie szybowca typu PWS – 101, mając na kolanach mapę z wykreśloną trasą lotu, prowadzącą na północno – wschodnie krańce Polski. Niebawem do szybowca podszedł instruktor i zapytał pilota, dokąd zamierza lecieć. Krakowianin odparł, że do mamy, do Wilna! Zebrani wokół szybowca wybuchnęli śmiechem, co zaraz udzieliło się instruktorowi, a w końcu i pilotowi.

Około godziny dziesiątej Góra znalazł się nad zboczem, trafił na komin termiczny i wzniósł się na wysokość kilkuset metrów, ale zniosło go przy tym od zbocza. Szczęście mu jednak sprzyjało, bo doleciał do Przemyśla, ale na bardzo małej wysokości. Wybrał już pole do lądowania i poleciał nad miasto. Mając zerowe wskazania wariometru, krążył więc bezradnie nad polami. Kiedy wykonywał któreś z okrążeń, urządzenie znowu zaczęło wskazywać wznoszenie. Jego wskazówka przesunęła się w górę i stanęła na „trójce", czyli trzech metrach na sekundę. Nad szybowcem pojawiła się czapa cumulusa, a dalej na północ potworzyły się inne czapy.

W drugiej połowie lat trzydziestych przed hangarem Szkoły Szybowcowej w Bezmiechowej. Miejscem wielu startów pil. Tadeusza Góry.

Po osiągnięciu podstawy chmur, pil. Tadeusz Góra utrzymywał nadal kierunek północny, podążając z wiatrem. Napotkane kominy termiczne były coraz bardziej poszarpane i zanikały daleko od podstawy. Wysokość lotu stale się zmniejszała. Między Hrubieszowem a Włodawą szybowiec znajdował się około pięciuset metrów nad ziemią. Leciał dalej na północ. Znajdując się w słabym, ale spokojnym wznoszeniu, odrabiał dzięki temu utraconą wcześniej wysokość. Z czasem zauważył, jak na wschodzie, daleko na horyzoncie spiętrzają się potężne chmury burzowe. Na północy dostrzegł natomiast tworzące się cumulusy. Zatęsknił, żeby do nich dolecieć. Właśnie wtedy zauważył też, jak wskazówka wariometru przesunęła się w prawo i zatrzymała na czterech metrach na sekundę. Szybowiec znów poszedł w górę, a ziemia gwałtownie zmalała w oczach. Na wysokości tysiąca sześciuset metrów osiągnął podstawę chmury.

Wykorzystując sprzyjające warunki, Góra skierował szybowiec w stronę następnej chmury, odległej o kilkaset metrów. Lecąc do niej przez chwilę opadał, ale później napotkał kolejne wznoszenie. Już nie krążył, bo miał nad sobą cumulusy, które ciągnęły go w górę. Stąd też, mimo że zwiększał prędkość, leciał coraz wyżej. Minął tor Brześć – Kowel i zobaczył Kobryń, ale tu skończył się cumulusowy szlak.

Górze jednak i tym razem się poszczęściło, bo w odległości kilkunastu kilometrów na północny – wschód dostrzegł kolejny szlak cumulusów. Doleciał do niego na wysokości tysiąca ośmiuset metrów. Ponownie już nie krążył, ale leciał nad chmurami. Znalazł się nad szosą Kobryń – Bereza Kartuska. Minął ją, lecąc po prostej i osiągając największą wysokość dwu tysięcy dziewięćset pięćdziesięciu metrów.

Później Góra znalazł się nad Puszczą Różańską. Przebył ją także bez krążenia, lecąc po prostej. Kontynuował tak lot, wykorzystując cumulusy, które wskazywały kierunek lotu. Napotykane wznoszenie nie przekraczało dwóch metrów na sekundę, ale wiatr zmienił się na bardziej zachodni. Ponadto zdecydowanie obniżyła się podstawa chmur. Kiedy więc nad lotniskiem w Lidzie osiągnął podstawę ostatniego na szlaku cumulusa, znajdował się na wysokości tysiąca pięciuset metrów. Gdyby był pareset metrów wyżej, doleciałby do Wilna. Mógłby się tam znaleźć także wtedy, gdyby wszedł w chmurę i krążąc uzyskał brakujące metry wysokości. Niestety w chmurach jeszcze nie umiał latać. Liczył na tak sprzyjające mu do dotąd szczęście. Na to, że napotka jakiś późno powstający komin termiczny. Ale szczęście już go teraz całkiem opuściło. Nie napotkawszy na żadne wznoszenie, ostatnie kilometry przebył lotem ślizgowym.

Pil. Tadeusz Góra wylądował szybowcem typu PWS – 101 o godzinie siedemnastej czterdzieści pięć po południu przy zabudowaniach majątku ziemskiego w Sołecznikach Małych. Zabrakło mu trzydziestu metrów wysokości, żeby przelecieć na położonym koło majątku lasem, dzielącym majątek od lotniska w Wilnie, czyli celu, którego zgłoszenie tak rozbawiło kolegów na szybowisku w Bezmiechowej.

Po przeleceniu rekordowej odległości, wynoszącej pięćset siedemdziesiąt siedem i osiem dziesiątych kilometra Góra zadzwonił do kolegów ze Szkoły Szybowcowej w Bezmiechowej i przekazał wiadomość o miejscu lądowania, nie uwierzyli, że doleciał tak daleko. Gdy ochłonęli, zrozumieli, że wywołał sensację.

W kilka miesięcy później, w dniu 7 stycznia 1939 roku w Paryżu Międzynarodowa Federacja Lotnicza FAI uznała

[5] Ibidem.
[6] Tadeusz Malinowski „Pierwszy medalista", [w:] „Skrzydlata Polska" nr 4 z 26 I 1969 r.

przelot pil. Tadeusza Góry z Bezmiechowej do Słonecznik Małych za najlepszy wynik w lotach szybowcowych za wcześniejszy rok, i nadała mu, jako pierwszemu w świecie, Medal Lilienthala.[7] Wybuch wojny uniemożliwił jednak uroczyste wręczenie Polakowi tego najcenniejszego trofeum lotniczego. Medal otrzymał od sekretarza Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej płk Kwiecińskiego w Anglii, dopiero w parę miesięcy po zakończeniu wojny.[8]

Po Lilienthalu

Po osiągnięciu w 1938 roku swojego życiowego sukcesu, pil. Tadeusz Góra nie spoczął na laurach. Nadal robił swoje. Najpierw wziął udział w odbytych w Masłowie Krajowych Zawodach Szybowcowych, w których zajął drugie miejsce. Potem wykonał kilka dłuższych przelotów szybowcowych, po czym znalazł się znów w swojej ukochanej Bezmiechowej, gdzie latał na szybowcach różnych typów.

Bardzo pracowita był dla Góry pierwsza połowa 1939 roku, kiedy to dał o sobie znać jako jeden z lepszych nie tylko w Polsce pilotów. Doszło do tego, kiedy uczestniczył w odbytych we Lwowie Międzynarodowych Zawodach Szybowcowych ISTUS. Wystartował w nich w szybowcu typu PWS – 101 i zajął drugie miejsce. Potem wykonał najdłuższy w kraju przelot docelowy z Polichna do Bydgoszczy o długości trzystu czterech kilometrów. Wreszcie, znów latał w Bezmiechowej na szybowcach, po czym ukończył kurs, dający uprawnienia instruktora szybowcowego.[9]

Po wybuchu wojny w dniu 1 września 1939 roku pil. Tadeusz Góra wstąpił na ochotnika do wojska, gdzie otrzymał stopień szeregowego. Po zakończeniu działań wojennych przedostał się przez Skandynawię do Anglii, skąd po jakimś czasie trafił do Francji. Nie mając przeszkolenia na samolotach, nie dostał przydziału do polskiej jednostki lotniczej walczącej z Niemcami obok Francuzów.

Po klęsce Francji w drugiej połowie maja 1940 roku Góra znowu znalazł się w Anglii. Trafił do Polskiej Bazy Lotniczej w Eastchurch. Ucząc się języka angielskiego, wziął udział w kursie dla pilotów samolotów myśliwskich, w którym uczestniczył jego pierwszy instruktor szybowcowy, Wiktor Gedroyć. Latali wtedy na maszynach typu „Battlack". Po zaliczeniu

Na dole, pierwszy z lewej st. szer. pil. Tadeusz Góra w 1941 roku z kolegami z 316 Dywizjonu Myśliwskiego Warszawskiego.

[7] Ibidem.

[8] „Tadeusza Góry lot po medal", rozmowa Tadeusza Chwałczyka z Tadeuszem Górą, „Gazeta Politechniki" nr 7-9 z VII - IX 2001 r.

[9] (pj) „Tadeusz Góra", „Skrzydlata Polska" nr 34/35 z 26 VIII - 3IX 1962 r. Tadeusz Malinowski „Pierwszy medalista", „Skrzydlata Polska" nr 4 z 26 I 1969 r.

Kpt. pil. Tadeusz Góra w latach pięćdziesiątych jako szef wyszkolenia lotniczego Aeroklubu Bielsko – Bialskiego w kabinie samolotu

szkolenia, trafili do jednego z brytyjskich dywizjonów myśliwskich, w którym walczyli z Niemcami, latając w samolotach typu Fairey „Battej".[10]

W listopadzie 1941 roku już st. szer. pil. Tadeusz Góra został wcielony do 316 Dywizjonu Myśliwskiego Warszawskiego wyposażonego wtedy w maszyny typu Spittfire. Lecąc w taki samolocie odnotował sukcesy. Najpierw uszkodził nad okupowaną Francją niemiecki samolot typu Focke Wulf Fw – 190, a później zestrzelił kolejną taką maszynę. Potem został skierowany do Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej, na kurs oficerski, który ukończył bez problemów.

Znalazłszy się ponownie w 316 Dywizjonie Myśliwskim Warszawskim, ppor. pil. Tadeusz Góra zestrzelił dwa niemieckie samoloty myśliwskie typu Messerschmitt Me – 109. Będąc potem w eskorcie amerykańskich bombowców, słynnych latających fortec, zestrzelił trzecią już maszynę typu Me – 109. Po przezbrojeniu dywizjonu w samoloty typu „Mustang", zniszczył dwie lokomotywy i uszkodził łódź podwodną.

Na początku 1945 roku Góra został przeniesiony do 306 Dywizjonu Myśliwskiego Toruńskiego na stanowisko dowódcy eskadry. Nadal wykonywał loty bojowe, ale nie zestrzelił już niemieckich maszyn.

Po powrocie w pierwszej połowie 1948 roku do Polski, por. pil. Tadeusz Góra podjął po jakimś czasie pracę w Górskiej Szkole Szybowcowej położonej na Żarze koło Żywca. Był tam najpierw instruktorem, a potem szefem wyszkolenia. Pełniąc obydwie funkcje, bardzo dużo czasu poświęcał szkoleniu, tak że mało go miał na trening wyczynowy i udział w zawodach. Mimo tego, jeszcze jesienią powyższego roku, po uzyskaniu przewyższenia w locie falowym w Jeleniej Górze, jako trzeci pilot w Polsce, zdobył uprawnienia do Złotej Odznaki Szybowcowej. Natomiast w roku następnym zajął piąte miejsce w Zawodach Szybowcowych Krajów Demokracji Ludowej.

Przebywając w 1951 roku na Żarze, Góra uzyskał podczas lotu szybowcem przewyższenie pięciu tysięcy metrów. Spełnił w ten sposób, po przedwojennym przelocie otwartym i docelowym, ostatni z trzech warunków brakujących do uzyskania kompletu diamentów do Złotej Odznaki Szybowcowej. Został w ten sposób pierwszym w Polsce i drugim na świecie pilotem, mogącym pochwalić się takim sukcesem.[11]

[10] „Tadeusza Góry lot po medal", rozmowa Tadeusza Chwałczyka z Tadeuszem Górą, „Gazeta Politechniki" nr 7-9 z VII - IX 2001 r.

[11] Ibidem.

W 1953 roku por. rez. pil. Tadeusz Góra podjął pracę w Szybowcowym Zakładzie Doświadczalnym w Bielsku – Białej. Został zatrudniony jako pilot doświadczalny. Oblatywał później różnego typu szybowce produkowane bądź remontowane także w innych zakładach lotniczych regionu i całego kraju.

W ten sposób w dniu 18 kwietnia już 1957 roku Góra znalazł się w Krośnie, w miejscowych Okręgowych Warsztatach Lotniczych Aeroklubu PRL. Zasiadł za sterami jednego z samolotów typu Kadet, holującego niedawno wyremontowane w zakładzie szybowce. Lotowi przyglądała się cała załoga zakładu. Potem bywał tam jeszcze wielokrotnie, oblatując kolejne naprawione szybowce.[12]

W drugiej połowie 1957 roku por. pil. Tadeusz Góra otrzymał propozycję powrotu do służby w Wojskach Lotniczych. Nie odmówił. Po odbytym wraz z kilkoma kolegami pilotami z czasów walki w Anglii przeszkoleniu na samolotach odrzutowych, rozpoczął zawodową służbę wojskową w Pułku Lotniczym w Poznaniu, gdzie pełnił obowiązki najpierw dowódcy klucza, a później dowódcy eskadry.[13]

Po trzech latach służby, w 1960 roku, kpt. pil. Tadeusz Góra przeniesiony został do Modlina, gdzie zaczął latać w ponaddźwiękowych samolotach typu MiG – 19. Jeszcze w tym samym roku miał wypadek, który tak zapamiętał:

„Trenowaliśmy lot szykiem przed jakąś defiladą i po starcie trójką stwierdziłem, że w moim samolocie jeden silnik przerwał pracę, a drugi stracił ciąg. Krótko mówiąc: sytuacja krytyczna. Ani się katapultować, bo za nisko, ani lądować, bo byłem już poza pasem i nie miałem siły ciągu. Zaryzykowałem lądowanie z lotu ślizgowego. Mogę stwierdzić, że opanowana do perfekcji umiejętność szybowcowych lądowań uratowała mi wtedy życie. Zresztą, kiedy trochę ochłonąłem i przez radio poprosiłem o przysłanie pomocy, zdumiony kierownik lotów krzyknął: »Góra, to ty żyjesz?!«”.[14]

Po tym wypadku ppłk pil. Tadeusz Góra musiał zrezygnować z latania w samolotach naddźwiękowych, ale nie dał za wygraną, gdy chodziło o latanie w ogóle. Zdobywszy w 1977 roku w Świdniku nowe uprawnienia pilota śmigłowców, latał na nich jeszcze przez dziesięć lat, czyli do czasu przejścia na emeryturę.[15]

Pracując w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych jako szef wyszkolenia w Aeroklubie Bielsko – Bialskim oraz jako pilot doświadczalny w Szybowcowym Zakładzie Doświadczalnym i w Wojskach Lotniczych, Góra uczestniczył w wielu zawodach. Przede wszystkim w Szybowcowych Mistrzostwach Polski, zajmując miejsce w pierwszej dziesiąt ce. Sukces odniósł w nich jeszcze w 1954 roku w Lesznie, gdzie był piąty. W 1955 roku w Lisich Kątach zajął trzecie miejsce. W 1956 roku w Jeleniej Górze, startując poza konkursem, zdobył największą liczbę punktów. Wreszcie w 1962 roku, znów w Lesznie, osiągnął największy sukces, zdobywając tytuł mistrza Polski.[16]

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych obok Pomnika Lotników w Ustianowej w Bieszczadach, stoją o lewej: pierwszy inst.. pil. A. Pdkp. Józef Kusiba, drugi ppłk pil. Tadeusz Góra, piąty kpt. pil. PLL „LOT” Władysław Wójcicki

[12] (pj) „Tadeusz Góra”, „Skrzydlata Polska” nr 34/35 z 26 VIII - 3IX 1962 r. Bolesław Gaczkowski „Nie ma latania bez LZN”, „Skrzydlata Polska” nr 52/53 z 24-31 XII 1978 r. Stanisław Fryc „Z dziejów lotniska w Krośnie w latach 1928-1997”, Krosno 2001, s. 244.

[13] „Tadeusza Góry lot po medal”, rozmowa Tadeusza Chwałczyka z Tadeuszem Górą, „Gazeta Politechniki”, nr 7-9 z VII - IX lipca 2001 r.

[14] ibidem.

[15] (pj) „Tadeusz Góra”, „Skrzydlata Polska” nr 34/35 z 26 VIII -3 IX 1962 r.

[16] Ibidem.

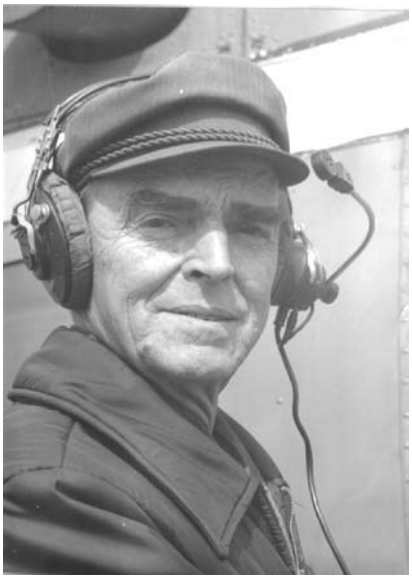

Kpt. pil. Tadeusz Góra w 1977 roku w Świdniku, w kabinie śmigłowca typu Mi – 2, w którym wykonał wtedy pierwszy samodzielny lot

Po przejściu na emeryturę, Tadeusz Góra nie zerwał więzi z lotnictwem. Wprost przeciwnie, bardzo aktywnie w nim uczestniczył. Brał udział w różnych lotniczych imprezach i spotkaniach oraz przedsięwzięciach. Przede wszystkim często odwiedzał swoją ukochaną Bezmiechowę, gdzie przy Pomniku Lotników spotykał się z kolegami pilotami. Swoją obecnością uświetniał różne imprezy lotnicze i spotkania, między innymi Pięćdziesięciolecie działalności Aeroklubu w Świdniku czy nadanie Szkole Podstawowej w Ustianowej imienia Lotników Polskich, a Szkole Szybowcowej na Żarze imienia Adama Dziurzyńskiego. Z nieukrywanym zapałem włączył się do akcji reaktywowania swojej ukochanej Szkoły Szybowcowej w Bezmiechowej.

Oprócz Medalu Lilenthala i Złotej Odznaki Szybowcowej, Góra został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz otrzymał tytuł Zasłużonego Mistrza Sportu. Swój Medal Lilienthala przekazał noszącej imię Szybowników Polskich Szkole Podstawowej w Bezmiechowej, w której znajduje się Izba Pamięci z eksponatami lotniczymi związanymi nie tylko z osobą sławnego polskiego pilota.

W 2007 roku, zdobywca Medalu Lilienthala, płk Tadeusz Góra został awansowany do stopnia gen. bryg. w stanie spoczynku.

Tadeusz Góra zmarł w dniu 4 stycznia 2010 roku.

GRZEGORZ OSTASZ - PODZIEMNA ARMIA

Prof. Grzegorz Ostasz podczas odczytu i prezentacji

18 lutego br. w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie odbyło się spotkanie promocyjne książki Grzegorza Ostasza, pt. „Podziemna Armia. Podokręg AK Rzeszów".

Spotkanie odbyło się w dużym refektarzu muzeum, miejscu, w którym pod koniec 1944 r. więziono żołnierzy AK Podokręgu Rzeszów. Przybyłych na spotkanie gości przywitał dyrektor muzeum - mgr Bogdan Kaczmar, szczególnie serdecznie witając kombatantów, a wśród nich Aleksandra Szymańskiego - prezesa Okręgu Podkarpackiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. W spotkaniu uczestniczył też Jacek Dymitrowski - dyrektor Muzeum Regionalnego w Dębicy, które specjalnie na tę okazję wypożyczyło sztandar Podokręgu AK Rzeszów.

W dalszej części spotkania prezes Aleksander Szymański wręczył prof. Ostaszowi Dyplom Uznania oraz Znak Polski Walczącej, a następnie dr Jerzy Majka - kierownik Działu Historycznego rzeszowskiego muzeum, przedstawił historię prezentowanej publikacji.

Głównym punktem programu był odczyt autora książki pt. „Samoobrona rzeszowskich struktur AK jesienią 1944 r." ilustrowany prezentacją multimedialną zawierającą m.in. zdjęcia z promowanej książki. Potem zaś był czas na pytania i dyskusję, w której głos zabierali przede wszystkim podkarpaccy kombatanci AK, którzy dodali wiele lokalnych szczegółów z historii swoich oddziałów. Na zakończenie autor składał autografy i odbierał już osobiste gratulacje. Dołącza się również do nich Redakcja kwartalnika „Nadwisłocze".

Grzegorz Ostasz, *Podziemna Armia. Podokręg AK Rzeszów*. Wydawnictwo LIBRA, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie. Rzeszów 2010. Książka zalecana przez Podkarpackie Kuratorium Oświaty dla nauczycieli i bibliotek szkolnych. Recenzent: prof. dr hab Grzegorz Mazur. Założenia ogólne i koordynacja projektu: dr Jerzy Majka. Redaktor prowadzący: Tadeusz Promus. Projekt okładki: Krzysztof Motyka. Korekta i indeksy: Bogdan Strycharz. Mapki: Maciej Małozięć. Schematy organizacyjne: Arkadiusz Surowiec. Książka formatu 16,5x24 cm, oprawa twarda introligatorska z obwolutą. Na okładce fotografia oddziału WSOP rtm. Zbigniewa Jaroszyńskiego „Salisa" z Obwodu AK Mielec. Książka liczy 411 stron i podzielona jest na 10 rozdziałów merytorycznych przedstawiających historię konspiracji AK-owskiej w ujęciu chronologiczno-organizacyjnym. Zawiera też słownik biograficzny oraz obsadę dowódczą do placówek AK włącznie. W książce jest indeks osób i miejscowości, spis map i schematów oraz relacji, a także bogata bibliografia.

Publikację rozpoczyna wykaz skrótów, niezwykle ważny w poruszaniu się po dość skomplikowanej strukturze polskiej konspiracji wojskowej. Następnie bardzo krótki wstęp informuje o charakterze i celach pracy. Autor podkreśla w nim, że książka nie zamyka i nie wyczerpuje tematu, a pewne wątki zostały ledwie zasygnalizowane. Pierwszy rozdział, pt. „Początki konspiracji wojskowej" można również uznać za wstępny, gdyż wymienione są w nim tzw. konspiracje przedakowskie jak Służba Zwycięstwu Polski, Związek Walki Zbrojnej oraz inne konspiracje paramilitarne oczywiście działające na Rzeszowszczyźnie, a szerzej ujmując na terenie obecnego Podkarpacia. W rozdziale tym omówione są krótko m.in. pierwsze konspiracje w Przemyślu, siatki żołnierskiego podziemia, konspiracja ppłk. Kazimierza Heilmana-Rawicza oraz struktura ZWZ.

Kolejny rozdział „Inspektoraty i Obwody" opisuje kolejno Inspektora ZWZ-AK Rzeszów i wchodzące w jego skład obwody ZWZ-AK: Rzeszów, Dębica, Kolbuszowa; Inspektorat ZWZ-AK Przemyśl z obwodami Przemyśl, Jarosław, Przeworsk, Łańcut; Inspetorat ZWZ-AK Mielec z obwodami: Mielec, Tarnobrzeg, Nisko oraz Inspektorat ZWZ-AK Jasło z obwodami: Krosno, Brzozów, Jasło, Sanok. W rozdziale tym, jak i w kolejnych częściach publikacji autor trzyma się konsekwentnie niemal podręcznikowej prezentacji poszczególnych inspektoratów i obwodów ZWZ-AK skupiając się na chronologii, strukturze oraz personaliach dowódców. Uzupełniają to graficzne schematy organizacyjne, mapki oraz ośmiostronicowa wkładka czarnobiałych zdjęć, m.in. dowódców, oddziałów, oraz wplecione w nie kilka ciekawych fotografii okupantów niemieckich oraz fotokopie dokumentów AK-wskich.

Awers sztandaru Podokręgu AK Rzeszów (fot. W. Gąsiewski)

Należy w tym przypadku podkreślić, że struktura konspiracyjnego wojska na Rzeszowszczyźnie podlegała pod Okręg ZWZ-AK Kraków i dopiero w kwietniu 1943 r. wyodrębniono w nim Podokręg AK Rzeszów (kryptonimy: „Woda", „Ogniwo", „Rezeda" „Wschód". „Podokręg AK Rzeszów – organizacja i zadania", jest więc kolejnym rozdziałem książki, w którym autor omawia kolejno jego zasięg i stan osobowy, cele i zadania, strukturę i obsadę Komendy Obwodu, zadania i kompetencje Komendy Podokręgu, łączność: kurierską i radiową, konspiracyjne lokale i finanse. Rozdział ten jest przepleciony kolejną porcją zdjęć.

„Walka bieżąca ZWZ-AK", to jeden z bardziej satysfakcjonujących rozdziałów książki, obala on bowiem PRL-owski mit stania AK z bronią u nogi. Grzegorz Ostasz na kolejnych stronach tego rozdziału podaje przykłady dywersji i sabotażu, pomocy dla uwięzionych. Ukazuje też podziemne sądownictwo, jego wyroki i zamachy oraz partyzatntkę AK-wską i jej wybrane akcje. Tym razem zamiast zdjęć w rozdziale znajduje się kilka relacji, które najlepiej oddają atmosferę walki.

„Wywiad w Podokręgu AK Rzeszów", to kolejny rozdział i kolejna chlubna, a jednocześnie mało znana karta walki z niemieckim okupantem. Okazuje się bowiem, że AK zorganizowała doskonale działającą siatkę wywiadowczą i kontrwywiadowczą, która informowała o wszystkich wydarzeniach w okupowanym kraju, zarówno w dziedzinie wojskowej, gospodarczej oraz politycznej. Niewątpliwie jej największym sukcesem nawet na skalę międzynarodową była walka wywiadowcza z bronią V, której próby odbywały się na poligonie Blizna k. Mielca. Obrazuje ją m.in. zamieszczona w książce relacja Kazimierza Iranka-Osmeckiego „Makary", cichociemnego, szefa wywiadu KG AK.

Dwa kolejne rozdziały: „Prace organizacyjne, szkolenia, propaganda" oraz „Uzbrojenie podziemnej armii" prowadzą nas do kulminacyjnego rozdziału „Czas „Burzy". Rozdziały te po raz kolejny udowadniają, że podziemne struktury AK wielostronnie przygotowywały się do powszechnego powstania mającego na celu wyzwolenie ziem polskich spod okupacji niemieckiej i to powstanie przeprowadziły. Było tak również w Podokręgu AK Rzeszów, gdzie w lipcu i sierpniu 1944 r. odbyło się setki działań bojowych, które w różnym stopniu przyczyniły się do osłabienia siły bojowej Niemców i wkraczania na tereny wojsk sowieckich.

Jednak wyzwolenie Rzeszowszczyzny spod okupacji niemieckiej przyniosło tylko „iluzoryczną wolność". Tak to w pierwszym podtytule rozdziału „Druga konspiracja" ujmuje Grzegorz Ostasz. Pojawiły się wówczas dylematy: „sojusznik czy okupant" i czy „rozmawiać z Sowietami?". Trwała przecież jeszcze mordercza walka z Niemcami, było powstanie warszawskie i pomoc dla powstańczej Warszawy. Książkę zamyka rozdział „Koniec Armii Krajowej" i kończący go „Poakowski epilog". To z jednej strony najbardziej smutne a z drugiej nadal bohaterskie karty działań AK, której żołnierze nie mogli pogodzić się na kolejną okupację, tym razem sowiecką. Być może ich opór, jak i późniejszego poakowskiego podziemia antykomunistycznego uniemożliwił całkowitą sowietyzację Polski, tworzenia kołchozów czy zamykanie kościołów i w ostateczności doprowadził do pełnej niepodległości, jednak dopiero po 45 latach, w 1989 r.

Publikację zamykają rozdziały uzupełniające, takie jak: personalia, aneksy, bibliografia, indeksy osób i miejscowości. Mimo jej obszerności, dla żyjących jeszcze świadków tamtych wydarzeń lub też historyków być może będzie odczucie niedosytu, że nie wszystkie fakty, osoby i działania zostały w niej ujęte, ale to jak zaznaczył autor wymaga kilkutomowego monograficznego wydania. Natomiast zaprezentowana książka Grzegorza Ostasza jest swoistym kompendium wiedzy o AK na Rzeszowszczyźnie, szczególnie tak potrzebnej średniemu i młodemu pokoleniu Polaków.

Włodzimierz Gąsiewski

Goście spotkania promocyjnego, m.in. pierwszy z prawej Adam Rząsa

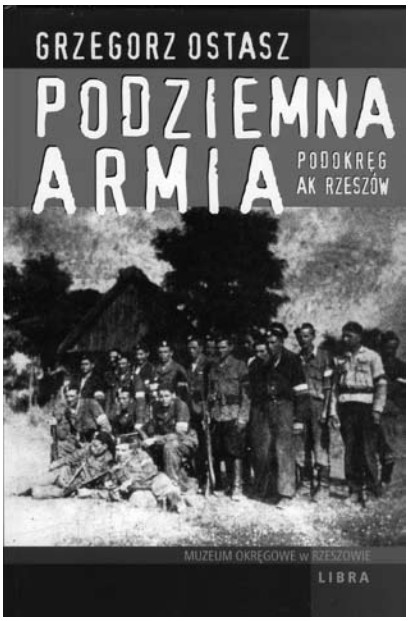

Grzegorz Ostasz - historyk, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego; doktor habilitowany, profesor Politechniki Rzeszowskiej, dziekan Wydziału Zarządzania i Marketingu, kierownik Zakładu Nauk Humanistycznych. Zajmuje się dziejami Polskiego Państwa Podziemnego oraz niepodległościowych konspiracji, cywilnych i wojskowych, lat 1944-1956.
Opublikował około trzystu prac, w tym osiem książek: *Obwód ZWZ-AK Rzeszów. Konspiracja wojskowa i „Burza"* (1992), *Krakowska Okręgowa Delegatura Rządu na Kraj 1941-1945* (1996), *Podokręg AK Rzeszów. Plan zbrojnego ujawnienia w świetle dokumentów* (współautor: A. Zagórski, 1999), *Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość"*. Okręg Rzeszów (2000), *Akcja „Burza" w Inspektoracie AK Rzeszów* (współautor: A. Zagórski, 2003), *Z dziejów „Rozbratla"-Obwodu AK Rzeszów* (2003), *Okręg Rzeszowski Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość". Model konspiracji, struktura, dzieje* (2006), *Pułkownik Kazimierz Iranek-Osmecki. Emisariusz, cichociemny, oficer Komendy Głównej AK* (współautor: J. Majka, 2007).

SPRAWIEDLIWI I NIE TYLKO...

Dzięki uprzejmości jednego z czytelników „Wieści Regionalnych" – Stefana Drozdowskiego, uzyskaliśmy dostęp, do zupełnie nowej i prawie nieznanej publikacji, pt. „Księga Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Ratujący Żydów podczas Holocaustu. Polska", sygnowanej przez Yad Vashem, a wydanej przez Instytut Studiów Strategicznych w Krakowie. To obszerne, dwutomowe wydawnictwo, formatu ok. A4, liczy sobie razem 985 stron, a na kilku z nich są prawie lub zupełnie nieznane osoby wywodzące się z Ziemi Mieleckiej. Nieznane są też okoliczności, w których ratowali Żydów, które poniżej przedstawiamy.

Awers medalu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, przyznanego jednej z mieszkanek powiatu mieleckiego (fot. W. Gąsiewski)

Domagała Jan, Domagała Maria

Przed wojną rodzina Kirszenbaumów posiadała sklep spożywczy we wsi Żarównie [chodzi prawdopodobnie o Zarównie w gminie Padew Narodowa - przyp. red.] w powiecie mieleckim (województwo krakowskie) i miała w wiosce wielu przyjaciół. W czerwcu 1942 roku zostali wypędzeni z domu i zagnani do getta w pobliskim Baranowie Sandomierskim. Jedynymi członkami rodziny, którzy przeżyli „akcje" deportacyjne w gettcie, byli Jeremia i Icyk. Po likwidacji getta wysłano ich do obozu pracy w miejscowości Biesiadka niedaleko Mielca. W styczniu 1943 roku bracia uciekli z obozu i pokonując wiele trudności, wrócili do wioski Żarównie, gdzie poprosili o pomoc przyjaciół rodziców, Jana i Marię Domagałów. Pomimo niebezpieczeństwa Jan i Maria przyjęli braci i przygotowali dla nich kryjówkę w stodole. Domagałowie dbali o podopiecznych aż do wyzwolenia okolicy w styczniu 1945 r., nie otrzymując żadnej zapłaty. Ratując braci Kirszenbaumów, kierowali się wyłącznie zasadami moralnymi i lojalnością w stosunku do przyjaciół, co pozwoliło im przezwyciężać strach. Icyk Kirszenbaum zmarł po zakończeniu wojny, natomiast Jeremia wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.
27 marca 1997 r. Instytut Yad Vashem nadał Marii i Janowi Domagałom tytuły Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.[1]

Kasprowicz Tadeusz

W czasie okupacji dr. Tadeusza Kasprowicza przeniesiono ze Śląska do Mielca (dystrykt krakowski), gdzie pozostał aż do śmierci. 1 czerwca 1944 r. pojechał do Chrząstowa by pomóc Fridzie Werstandig, której mąż Marek był kiedyś partnerem przyjaciółki Tadeusza. Frida została raniona kulą, gdy uciekała przed uzbrojonymi antysemitami polskimi. Tadeusz opatrywał jej rany, nie oczekując żadnego wynagrodzenia. Gdy Frida nalegała na niego, aby przyjął jakąś rekompensatę, Tadeusz powiedział: „Jeśli nalegasz, to opłać mi wyjazd do wsi znajdującej się w odległości siedmiu kilometrów od miasta", a potem poprosił o śmiesznie niską sumę. Gdy wrócił do domu, wysłał Markowi i Fridzie bandaże, które w tym czasie były bardzo deficytowym towarem. „To był cenny podarek od człowieka, którego właściwie nie znaliśmy" – napisali potem Marek i Frida.
7 maja 1989 r. Instytut Yad Vashem nadał Tadeuszowi Kasprowiczowi tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.[2]

Pieróg Eugeniusz

W 1942 r. 13–letni Menachem Kuperman jaki jedyny członek rodziny pozostał przy życiu. Inni zostali zamordowani w miasteczku Borowa, w powiecie mieleckim (dystrykt krakowski). Kuperman, zdany tylko na siebie, bez żadnych dokumentów, błąkał się po okolicy szukając schronienia. Po dotarciu do wsi Borki Nizińskie, w pobliżu swojego rodzinnego miasta, przybył do domu Eugeniusza Pieroga, którego wcześniej nie znał. Przedstawił się jako Polak z okolic Lublina, mówiąc że jego rodziców zabrano do pracy w Niemczech i poprosił o zatrudnienie go w gospodarstwie. Pieróg, który potrzebował ludzi do pracy, zgodził się zatrudnić chłopca, gdyż jego aryjski wygląd i biegła polszczyzna nie wzbudzały żadnych podejrzeń. Pewnego dnia, kiedy zbierali w lesie drewno, napotkali niemieckich żołnierzy. Pieróg ostrzegł Kupermana, żeby się do nich nie zbliżał i w drodze do domu zapytał chłopca: „Myślisz, że nie wiedziałem, że jesteś Żydem?". Potem Kuperman dowiedział się, że nie tylko Pieróg wiedział o jego żydowskim pochodzeniu, we wsi byli także inni, którzy podejrzewali kim jest. Pieróg doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, z jakim wiązało się udzielanie schronienia żydowskiemu chłopcu, ale nie zważając na zagrożenie, pozwolił mu zostać u siebie, chroniąc go gorliwie, kiedy we wsi pojawiali się Niemcy. Gdy Menachem bał się, że któryś z mieszkańców złoży na niego donos, Pieróg pocieszał go mówiąc, że nie ma we wsi wrogów, którzy chcieliby wyrządzić mu krzywdę. Kuperman pozostał u Pieroga aż do końca wojny. Po wyjeździe do Izraela utrzymywał z nim kontakt i wspomagał go, wysyłając paczki.
18 sierpnia 1982 r. Instytut Yad Vashem nadał Eugeniuszowi Pierogowi tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.[3]

---

[1] *Księga Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Ratujący Żydów podczas Holocaustu. Polska*. Red. Israel Gutman. [T. 1.]. Kraków 2009, s. 133-134.
[2] *Księga Sprawiedliwych wśród Narodów Świata...,* s. 287.

Obszerny biogram Tadeusza Kasprowicza znajduje się w publikacji: J. Witek, *Encyklopedia miasta Mielca*. T. 1. Mielec 204, s. 357.
[3] *Księga Sprawiedliwych wśród Narodów Świata...* [T. 2.], s. 553.

NA ZIEMI MIELECKIEJ

Szyfner Katarzyna,
Szyfner Eugeniusz

Jesienią 1941 roku, podczas krwawej „akcji" w getcie w Mielcu (dystrykt krakowski), pięciu członkom rodziny Hellerów udało się uciec z masakry i ukryć się w gospodarstwie Szyfnerów, w pobliskim majątku w Chorzelowie. Podczas pościgu gestapo czterech z nich odnaleziono i zastrzelono na miejscu. Jankiel Heller był jedynym, któremu udało się ocaleć. Przez pewien czas błąkał się po okolicy, po czym wrócił do Szyfnerów, prosząc o pomoc. Katarzyna zdecydowała się udzielić schronienia Hellerowi, mimo sprzeciwu męża, który miał na uwadze bezpieczeństwo rodziny. Podczas pościgu na terenie majątku, w którym czworo Hellerów zginęło, Katarzynie udało się ostrzec przed niebezpieczeństwem dr. Maksymiliana Grossa, prawnika, który ukrywał się w sąsiednim gospodarstwie i dzięki niej przeżył. Po odejściu gestapo poprosił Szyfnerów o schronienie. Katarzyna, z pomocą syna Eugeniusza, ukryła obu mężczyzn w budynku gospodarczym, nie mówiąc nic mężowi. Kiedy ich spotkał przypadkiem, udawał, że ich nie widzi. W marcu 1942 roku Katarzyna i Eugeniusz przyjęli także Dawida i Matyldę Zuckerbrodtów, którzy uciekli podczas likwidacji getta mieleckiego. Eugeniusz przygotował wygodniejszą kryjówkę na stryszku kurnika. Szyfnerowie, kierujący się altruizmem i humanitaryzmem, z oddaniem opiekowali się ukrywającymi się, nie oczekując niczego w zamian, do sierpnia 1944 roku, kiedy te tereny zostały wyzwolone. Po wojnie Zuckerbrodtowie wyemigrowali do Anglii, Jankiel Heller wrócił do Mielca, gdzie został zabity w sierpniu 1945 roku przez nacjonalistycznie nastawionych Polaków. Dr Maksymilian Gross pozostał w Polsce.

6 listopada 1996 r. Instytut Yad Vashem nadał Katarzynie Szyfner i jej synowi Eugeniuszowi tytuły Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.[4]

Walas Marcin,
Markowski Franciszek,
Markowska Stefania,
Markowski Stanisław

Podczas wojny Marcin Walas mieszkał w wiosce Chrząstów w powiecie dębickim (dystrykt krakowski). Pewnego razu przyjaciel, Czesław Kubik, poprosił go o pomoc w znalezieniu schronienia dla pary Żydów z Mielca – Marka i Friedy Verstandigów. Marcin już wcześniej znalazł miejsce w Chrząstowie dla kilku krewnych Marka. Umieścił Friedę i Marka u swojej siostry i jej męża - Stefanii i Franciszka Markowskich, którzy mieszkali w Chrząstowie i mieli trójkę dzieci: Stanisława (17 lat), Stefanię oraz Antoniego. Markowscy przygotowali odpowiednią kryjówkę w swoim domu. Marek i Frieda zostali tam przez kilka miesięcy, płacąc na utrzymanie. Potem sąsiedzi stali się podejrzanie ciekawi i zaczęli zadawać Markowskim różne pytania, na przykład, dlaczego pieką więcej chleba niż zazwyczaj. Markowscy poprosili wtedy Marcina, żeby znalazł inne schronienie dla Verstandigów. Marcin zabrał ich do rolnika nazwiskiem Korczak, którego gospodarstwo znajdowało się w bezpiecznej odległości od wioski. Korczak ukrywał już pięciu innych Żydów. Byli to: ciotka Marka, Debora Ostro, i jej dwie córki, Haar i Mindla, a także pani Kleinman i jej 12-letni syn Dawid. Debora zmarła w wieku 75 lat i została pochowana w ogrodzie. 31 maja 1944 roku uzbrojona grupa miejscowych Polaków wtargnęła do gospodarstwa Korczaka i zażądała wydania wszystkich zbiegów. Korczak spełnił ich żądanie i nacjonaliści zabrali Żydów do lasu. Marek i Frieda ratowali się ucieczką. Po jakimś czasie usłyszeli strzały. Dwie kuzynki Marka, a także pani Kleinman i jej syn zostali zamordowani. Po tym tragicznym wydarzeniu Marcin po raz kolejny umieścił Marka i Friedę u Markowskich. Nazajutrz gestapo aresztowało Marcina i Korczaka. Markowscy byli wstrząśnięci i bliscy załamania nerwowego (co mogło mieć tragiczne konsekwencje dla Marka i Friedy). Tylko najstarszy syn, Stanisław, potrafił zachować spokój. Dodawał rodzicom odwagi i z ojcem pilnował wejść do domu. Dwa miesiące później Chrząstów został zajęty przez Armię Czerwoną.

7 maja 1989 r. Instytu Yad Vashem nadał Marcinowi Walasowi, jego siostrze Stefanii Markowskiej i jej mężowi Franciszkowi tytuły Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. 5 maja 1991 r. Instytut Yad Vashem nadał Stanisławowi Markowskiemu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.[5]

Oczywiście nie są to wszystkie znane przypadki przyznania medalu *Sprawiedliwych wśród Narodów Świata* mieszkańcom powiatu mieleckiego, a tym bardziej nie wszystkie przykłady niesienia pomocy Żydom podczas okupacji niemieckiej tych terenów. Natomiast grozę budzi nieliczny wprawdzie, ale jednak udział Polaków w Holocauście, nie tylko podczas wojny, ale też już po wyzwoleniu. Przykładem niech będzie tu notatka rzeszowskiego Urzędu Bezpieczeństwa z 1946 r.:

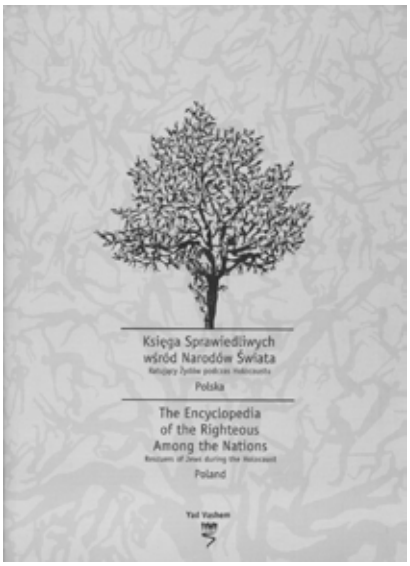

Obwoluta Księgi Sprawiedliwych wśród Narodów Świata...

Próba prowokacji antyżydowskiej w Mielcu

Rzeszów

Jak nam donoszą, dn. 25 X 46 r. dwóch nieustalonych osobników oraz stróż powiatowego sekretariatu PPR w Mielcu niejaki Pieszkow Leon usiłowali sprowokować ekscesy antyżydowskie, bijąc napotkanych na ulicy Żydów.

Około 20 osób przyłączyło się do prowokatorów, wznosząc okrzyki „Żydzi biją katolików".

Zajście zlikwidowali dwaj przechodzący funkcjonariusze PUBP w Mielcu, rozpraszając tłum strzałami. Zatrzymano Pieszkowa oraz dwóch innych uczestników zajścia. Dwóm prowokatorom udało się zbiec.

Charakterystyczne jest, że milicjant, który znalazł się jeszcze wcześniej na miejscu zajścia, zaaresztował nie prowodyrów, ale dwóch pobitych Żydów, których po przesłuchaniu na posterunku MO zwolniono.[6]

Wszelkie informacje i uwagi na temat poruszonych spraw prosimy kierować na adres, telefon lub e-mail Redakcji.

Włodzimierz Gąsiewski

[4] *Księga Sprawiedliwych wśród Narodów Świata...* [T. 2.], s. 730.

[5] *Księga Sprawiedliwych wśród Narodów Świata...* [T. 2.], s. 786.

[6] Biuletyn Informacyjny nr 19 z 31 X 1946 r. W: *Biuletyny informacyjne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego 1946*. Warszawa 1996, s. 55.

Ryszard Mścisz

Śladami Rudolfa Baumbergera

W ostatnim dniu zimowych ferii, 26 lutego 2010 r., dotarła do Zespołu Szkół w Jeżowem przesyłka od pani Zofii Daszuty z Gdyni. Pani Zofia jest z wykształcenia historykiem i przez kilka lat była nauczycielką, jej mąż długo pracował w gdańskim szkolnictwie, w ciągu 16. lat był dyrektorem szkół różnego szczebla. Postanowiła napisać do Zespołu Szkół w Jeżowem pod wpływem informacji internetowych o szkole, a przede wszystkim tego, co na stronie szkoły znalazła.

Panieńskie nazwisko pani Zofii brzmi Baumberger. Jest córka Tadeusza i wnuczką Rudolfa Baumbergera – wieloletniego nauczyciela i kierownika Szkoły Powszechnej w Jeżowem. I właśnie treści na stronie internetowej związane z jej dziadkiem sprawiły, iż postanowiła nie tylko napisać obszerny list, zaadresowany na dyrekcję szkoły, ale także wysłać zdjęcia Rudolfa Baumbergera i jego żony Henryki – również wieloletniej nauczycielki jeżowskiej szkoły. Zdjęcia te wysłała, albowiem nie znalazła ich na stronie szkoły, odkrywając w przeczytanym tekście, iż z osobą jej dziadka, jego pochodzeniem i dalszymi losami wiąże się wiele wątpliwości i zagadek. Nawiązała ten kontakt także dlatego, że – jak napisała: Chciałabym bardzo serdecznie podziękować za ciepłe i serdeczne słowa o moim Dziadku, o Jego pracy i dokonaniach. Cieszę się, że pamięć o tym bardzo bliskim, choć osobiście nie znanym mi człowieku, pozostała w miejscu, które kochał i poświęcił mu swoje zawodowe życie.

Informacje o Rudolfie Baumbergerze trudno było w Jeżowem odnaleźć, zdobyć, choć żyły i wciąż żyją osoby, które go znały, nawet były jego uczniami. Często jednak osobiste znajomości nie oznaczają dysponowania szczegółowymi danymi, wiedzą o charakterze faktograficznym. Nie udało się także do tej pory zdobyć zdjęcia Rudolfa Baumbergera, mimo różnych rocznicowych okazji, istnienia lokalnych stron internetowych, które zachęcają do zamieszczania zdjęć i materiałów archiwalnych. Za pośrednictwem pani Zofii Daszuty – wnuczki Rudolfa Baumbergera, która urodziła się już po jego śmierci, możemy odsłonić szereg faktów dotyczących wspaniałego kierownika szkoły i nauczyciela przez lata związanego z jeżowską oświatą. Pani Zofia ma tę wiedzę przede wszystkim od babci Henryki Baumbergerowej, którą ją wychowywała przez wiele lat, oraz od swojego ojca – Tadeusza Baumbergera.

Mówi się w Jeżowem o Rudolfie Baumbergerze jako o Austriaku, który czuł się Polakiem i zachowywał się jak polski patriota. Rzeczywiście nazwisko trafnie wskazuje na austriackie pochodzenie Rudolfa. Jego przodkowie byli austriackimi osiedleńcami, którzy trafili na tereny dawnej Galicji w okresie rozbiorów Polski, w czasie powstania kościuszkowskiego. Przodek Rudolfa nazywał się Jan Wendelin Baumberger, Rudolf był piątym pokoleniem tej linii Baumbergerów. Urodził się 17 kwietnia 1885 roku w miejscowości Dornbach. Pani Zofia pisze, że jest to na terenie dzisiejszej Ukrainy. Jednakże trudno znaleźć na Ukrainie taką miejscowość. Dornbach to miasto w południowej Austrii, w landzie Styria, którego stolicą jest Graz, znane jeszcze z czasów odsieczy wiedeńskiej, ale także dawna nazwa miejscowości Tarnawiec w gminie Kuryłówka, w powiecie leżajskim. Tam miała miejsce w 1781 r. tak zwana kolonizacja józefińska, a przybyłe w 1786 roku rodziny katolików niemieckich założyły kolonię (osadę) Dornbach. Kolonia bardzo szybko się rozwijała: w 1786 roku było 20 rodzin osadniczych, w roku 1812 już 170. Wielce prawdopodobne, że tu właśnie urodził się Rudolf, znajdując później pracę jako nauczyciel w nieodległym Jeżowem.

Wiemy, że kiedy w latach 1907-1909 budowano nową szkołę w Jeżowem nie szczędził swoich sił i starań, uznając ważność tego dzieła dla lokalnej społeczności. Ksiądz katecheta Franciszek Skraba, przewodniczący Rady Szkolnej Karol Dziob i on – nauczyciel Rudolf Baumberger, pozostali najaktywniejszymi osobami przy realizacji tego zadania, tymi, na których najbardziej mógł liczyć kierownik szkoły, pochodzący z Ulanowa, Wilhelm Drozdowski. Oni przekonywali ludzi o konieczności budowy nowego budynku szkolnego, zabiegali o środki u władz gminnych i pomagali w staraniach o fundusze z zewnątrz. Starania te zostały uwieńczone sukcesem: odpowiednie środki przyznała gmina, ale przede wszystkim spłynęły pieniądze z funduszu krajowego. Dzięki temu w sierpniu 1907 roku można było rozpocząć budowę piętrowej szkoły murowanej z sześcioma klasami lekcyjnymi, kancelarią i mieszkaniem dla kierownika szkoły. Budowniczym został pan Nowakowski z Rozwadowa, wspierali go i nadzorowali budowę mieszkańcy gminy: Karol Dziob, Franciszek Roliński, Wojciech Krzyś i Michał Bajek. Jesienią

Tadeusz Baumberger jako gimnazjalista

1908 roku jeżowski ksiądz proboszcz Józef Tokarski dokonał poświęcenia budowy, uroczystego wmurowania kamienia węgielnego. Miała miejsce wówczas duża uroczystość z udziałem inspektora szkolnego Józefa Lorenza, władz gminnych, młodzieży szkolnej i nauczycieli. Wszyscy byli świadkami wmurowania w lewym cokole puszki, w której był akt erekcyjny oraz srebrne i miedziane monety, będące wówczas w obiegu. Rok później nastąpiła kolejna, jeszcze większa uroczystość – w sierpniu 1909 roku poświęcono szkołę.

Rudolf Baumberger angażował się nie tylko przy budowie szkoły, brał udział niemal we wszystkich poczynaniach oświatowych w szkole i poza nią. Zajmowała go i czytelnia „Oświaty Ludowej", i przedstawienia oraz jasełka urządzane w budynku Kasy Raiffeisena. Bardzo się starał, aby święta narodowe miały nie tylko wymiar szkolny, ale służyły podnoszeniu poziomu oświaty i świadomości narodowej całej społeczności Jeżowego. I to wszystko udawało się coraz lepiej – wszelkie uroczystości patriotyczne i przedstawienia kulturalne gromadziły większość mieszkańców, coraz więcej młodzieży i starszych sięgało po książki z wypożyczalni. W działalności na rzecz jeżowskiej oświaty w późniejszych latach wspierała go już żona Henryka Baumbergerowa – z domu Mitana. Henryka pochodziła z Myślenic – tam się urodziła 26 XII 1890 r. W 1908 roku w Krakowie ukończyła kurs nauczycielski, kształciła się jednak dalej. Jakieś dwa lata później poznała Rudolfa Baumbergera, a w styczniu 1912 wzięli ślub w Krakowie.

Kiedy we wrześniu 1909 roku nauka zaczęła się w nowym szkolnym budynku,

zasięg i oddziaływanie akcji o charakterze oświatowym i patriotycznym stały się jeszcze większe. Każdy następny rok był w tej mierze krokiem do przodu – nauka i praca dla ludu były coraz lepsze, ważniejsze, lepiej zorganizowane. Przyszedł jednak rok 1914, kiedy wojna światowa objęła także Jeżowe. Szkoła na długo przestała funkcjonować, gdy wojska różnych państw uczyniły z budynku szkolnego miejsce zakwaterowania. Przez Jeżowe przeszły w 1914 roku wojska rosyjskie i austriackie, a Rosjanie przez całą zimę pierwszego roku wojny byli rozlokowani w szkole. Kiedy wycofali się na wiosnę 1915 roku, zastąpili ich Austriacy, Niemcy, Czesi i Węgrzy, i przebywali tu do jesieni tego roku. Nauka w tym roku nie mogła się zresztą rozpocząć jeszcze z innego powodu: w okolicy zapanowała epidemia tyfusu plamistego i Rada Szkolna Krajowa wydała zgodę, by utworzyć w budynku szkolnym „Szpital epidemiczny". W roku 1916 wprawdzie naukę w szkole można było zacząć, ale budynek bardzo ucierpiał w czasie wojny. Zniszczona została część dachu, zawaliły się kominy, spłonęły szkolne ławki, a w oknach nie było szyb. W większości zaginęły szkolne akta, zniszczeniu uległo wiele pomocy dydaktycznych. Nie tylko budynek szkolny zresztą ucierpiał, z dwóch stron było zupełnie zdewastowane ogrodzenie, drzwi z budynku gospodarczego zabrano do wojennych okopów. Dzięki Ekspozyturze Budowlanej w Nisku i skromnym środkom gminnym udało się jednak naprawić większość szkód, a szkoła wyglądała podobnie jak przed wojną.

* * *

Po wybuchu wojny, w 1914 roku Henryka Baumbergerowa została sama z kilkumiesięcznym synem Tadeuszem, który urodził się 30 IV 1914 roku. Rudolf został bowiem skazany na 7 miesięcy więzienia w Szeged na Węgrzech za odmowę służby w armii austriackiej. Nie włożył munduru, choć był do tego obligowany ze względu na austriackie korzenie i nazwisko oraz przynależność terytorialną. Później część wojny spędził przy wojsku. Wraz z Ludwikiem Ziembą znaleźli się wśród osób pomagających oddziałom wojska – wybrani z grona nauczycieli szkoły. Jednakże udało się ich po jakimś czasie wyreklamować – głównie za sprawą starań inspektora oświaty Andrzeja Polka. Mogli wrócić do szkoły i zająć się nauką. Lecz była to w owym czasie niełatwa sprawa, trudno było coś poradzić na marną frekwencję w szkole. Przecież w domu brakowało ojców i starsze dzieci musiały przejąć na siebie gospodarskie obowiązki. Baumberger pracował wszakże z właściwą sobie energią, oddaniem i sumiennością, aby na miarę możliwości podnosić poziom wiedzy jeżowskich dzieci.

Pierwsze lata powojenne, kiedy Polska odzyskała niepodległość, przyniosły szereg zmian i reform także w sferze edukacji. Ale troska o wiejską oświatę pozostała ważnym i trwałym zadaniem państwa. Szkoła w Jeżowem podlegała Kuratorium Lwowskiego Okręgu Szkolnego, bezpośrednio zaś nadzorował ją inspektor szkolny w Nisku. Po latach pracy nauczycielskiej, Rudolf Baumberger miał w Jeżowem zadebiutować w innej roli. Niemal równo z końcem roku szkolnego 1922/23 – 29 czerwca 1923 roku – zmarł tutejszy kierownik szkoły Wilhelm Drozdowski. Pojawiła się zatem konieczność powołania nowego nauczyciela kierującego szkołą. Tymczasowo, w kolejnym roku szkolnym, pełnił tę rolę miejscowy nauczyciel Jakub Sołtys. Ale wiadomo było, iż nie będzie on stałym kierownikiem szkoły. Rok szkolny 1924/25 zaczął już pełnoprawny kierownik: lwowskie kuratorium mianowało na to stanowisko zasłużonego nauczyciela szkoły, który spełniał odpowiednie warunki – Rudolfa Baumbergera. Nowy kierownik, oprócz egzaminu dojrzałości i patentu kwalifikacyjnego dla szkół ludowych oraz do szkół wydziałowych, miał ukończony Wyższy Kurs Nauczycielski (grupa geograficzno-przyrodnicza). Rudolf Baumberger miał już zresztą praktykę w prowadzeniu szkoły, albowiem po I wojnie światowej kierował Szkołą Powszechną w Kopkach i uczył tam jednocześnie wraz ze swoją żoną Henryką. Niektórzy pamiętali, że pan Baumberger jeździł bryczką. Po 5 latach pracy w Kopkach ponownie trafił do Jeżowego, a na jego miejsce przyszedł stąd Ludwik Ziemba.

Henryka Baubergerowa

* * *

Baumberger jako nauczyciel dobrze poznał problemy oświaty w Jeżowem, toteż kierując nią starał się szybko doprowadzić do poprawy sytuacji – zmiany podejścia do szkoły tak dzieci, jak i rodziców. Przede wszystkim zadbał o dyscyplinę w szkole i poprawę frekwencji. Jako bardzo sumienny, stanowczy i uporządkowany człowiek był idealnym kandydatem na kierownika szkoły, który doprowadzi do gruntownej poprawy stanu miejscowej oświaty. Zwracał Baumberger także uwagę na wychowanie patriotyczne, kształtowanie wartościowych postaw i charakterów młodych ludzi. Szereg akcji podejmowanych przez szkołę miało ugruntować jej ważną rolę w lokalnym środowisku. Już w pierwszym roku prowadzenia szkoły, w ramach akcji sadzenia drzew, posadzono wokół nowo wybudowanego kościoła 62 drzewa parkowe. Po raz pierwszy – zgodnie z kuratoryjnym zarządzeniem – urządzono w Jeżowem Święto Pieśni, które zgromadziło prawdziwe tłumy mieszkańców. Starał się także kierownik w jakiś sposób „otworzyć" tutejszą społeczność, dzieci szkolne na świat. Ponieważ wiele z nich nie było nigdy w mieście ani nie jeździło koleją, zorganizował wycieczkę kolejową do Leżajska. Zabiegi nowego kierownika doceniły także władze kuratoryjne. Już pod koniec pierwszego roku prowadzenia szkoły przez Rudolfa Baumbergera została ona odwiedzona przez kuratora Sobińskiego i wizytatora Horwatha, którzy bardzo dobrze ocenili starania nowego kierownika .

Szkoła Baumbergera powoli się rozrastała, przybywały nowe oddziały, poprawiała się dyscyplina i poziom nauczania. W uroczysty i podniosły sposób czczono między innymi rocznicę koronacji Bolesława Chrobrego, śmierci ks. Stanisława Staszica, kanonizacji św. Stanisława Kostki, wybuchu Powstania Listopadowego, upamiętniono składanie zwłok Juliusza Słowackiego w krypcie przy grobach królewskich. Organizowano festyny szkolne, by zaopatrzyć biedne dzieci w podręczniki i przybory szkolne oraz zakupić pomoce naukowe. Uruchomiono także kursy dokształcające dla starszych chłopców i dziewcząt oraz dla

analfabetów – prowadzone nieodpłatnie przez nauczycieli. W szkole odbywały się często pogadanki na temat spółdzielczości, dbano o jak najlepsze funkcjonowanie kasy szkolnej, która miała wpoić uczniom nawyk oszczędzania. Szkoła zaczęła tętnić życiem i ciągle organizowano nowe akcje, chociaż nie było to proste zadanie. Przekonać dorosłych i dzieci o potrzebie wykształcenia, aktywności społecznej, pracy na rzecz środowiska lokalnego, upowszechniania kultury było niezwykle ciężko. Także miejscowe władze często nie wykazywały zrozumienia dla tych inicjatyw. Niemniej jednak z roku na rok, powoli sytuacja się poprawiała. W roku szkolnym 1927/28 Kurator Okręgu Szkolnego Lwowskiego przekształcił tutejszą szkołę na siedmioklasową, istniały klasy zamiejscowe w Jeżowem-Kameralnem i Jeżowem-Podgórzu, rozrastała się także kadra nauczycielska. W akcję dokształcania młodzieży pozaszkolnej włączył się nawet tutejszy proboszcz Leon Zaziemski, który uczył na kursach religii i rolnictwa.

Rudolf Baumberger okazał się być znakomitym kierownikiem, a szkoła w Jeżowem stała się wyjątkowa, doceniono ją aż we Lwowie. Wkrótce Kuratorium Okręgu Szkolnego we Lwowie uznało ją za szkołę wzorcową nie tylko ze względu na wysoki poziom nauczania, ale także w szerzeniu i pogłębianiu oświaty pozaszkolnej. Sporo młodzieży ukończyło wieczorne kursy dokształcające, a mówiono, iż absolwenci szkoły Baumbergera byli przyjmowani bez egzaminu do wszystkich szkół średnich. Szkoła drzewek owocowych stała się niemal drugą szkołą kierownika, a jego nauczyciele włączali się we wszelkie akcje i działania wiejskiej społeczności. Nieodmiennie Baumberger czuł się w obowiązku dzieło oświatowe łączyć z działaniami na rzecz środowiska. Szybko potrafił sprawić, że Jeżowe dostrzeżono w odległym Lwowie, a światli mieszkańcy wsi odczuwali satysfakcję i radość, że doczekali się tak znakomitego działacza i kierownika szkoły. A później, w czasie wojny miał okazję Baumberger w pełni, w inny jeszcze sposób, udowodnić, że jest prawdziwym Polakiem, patriotą, jakich niewielu nawet wśród Polaków z dziada pradziada można było znaleźć.

* * *

W 1939 roku mieszkały w budynku szkoły dwie rodziny – Baumbergerowie, którzy byli Polakami, i niejaki Pliszka, który podpisał volkslistę, bo poczuł się Niemcem – i zmienił pisownię nazwiska z polskiej na niemiecką. Baumbergerowie zasłynęli w czasie wojny jako organizatorzy tajnego nauczania. Mimo że mogli skorzystać z przywilejów niepolskiego nazwiska i pochodzenia Rudolfa, cierpieli okupacyjne udręki na równi z wszystkimi mieszkańcami Jeżowego. W dodatku, prowadząc tajne nauczania i nie podporządkowując się niemieckim zarządzeniom, narażali swoje życie. Gdy na przykład hitlerowcy nakazali oddanie map i polskich pomocy naukowych, nie mając innego wyjścia, zrobili to. Ale oddali mapy stare, zniszczone i nieprzydatne, a te, które trzeba było zachować Henryka przechowywała w szafie razem ze sztandarem szkoły, mimo że zdawała sobie sprawę, iż za taki czyn grozi kara śmierci.

Rudolf Bauberger

Tuż przed wybuchem wojny, 30 sierpnia 1939 roku pojawiły się we wsi plakaty obwieszczające powszechną mobilizację. Mężczyźni z Jeżowego musieli ruszać do stacji w Nisku, aby dotrzeć na wyznaczone miejsce mobilizacji. Następnego dnia chłopskie furmanki zarekwirowano na potrzeby wojska. Mężczyźni nie służący w wojsku zostali zobowiązani do ochrony dróg, mostów i linii telefonicznych. W oknie szkoły kierownik Baumberger ustawił radio, które podawało komunikaty z walk frontowych. Przez wieś przechodziło coraz więcej uchodźców ze Śląska, od Krakowa i Tarnowa. Masy ludzi tamowały ruch wycofującym się oddziałom wojskowym. Nadlatywały niemieckie samoloty, a na drodze Jeżowe-Rudnik pojawili się pierwsi zabici i ranni. We wsi zawiązał się komitet dla niesienia pomocy przechodzącym oddziałom wojskowym, a w salach szkolnych uchodźcy znajdowali pomoc medyczną i nocleg. 12 września od strony Kamienia wjechały do wsi na motocyklach pierwsze grupy hitlerowców, a potem pojawiły się wozy pancerne. Od tego dnia Jeżowe znalazło się pod okupacją niemiecką. 17 września na jakiś czas tereny do Sanu zajęły wojska radzieckie, ale wkrótce wycofały się za Bug. Władzę okupacyjną na terenie Jeżowego objęły komendy Wermachtu.

Mimo zakazu okupanta, realizowano szkolny program z historii, geografii i innych niedozwolonych przez okupanta przedmiotów. Ale nauka odbywała się często w wynajętych izbach i stodołach chłopskich, szkoła była bowiem zajmowana przez okupanta. Kierownik szkoły, ukrywszy wszystkie wartościowe mapy i obrazy, założył nową księgę inwentarzową, by oszukać Niemców. Wielu ludzi w czasie wojny wyjechało na roboty do Niemiec, na ludność miejscową okupant nałożył obowiązkowe dostawy, tzw. kontyngenty mięsa, zboża i mleka. W roku 1941 Niemcy przystąpili do wywłaszczania i wysiedlania części ludzi z terenu Jeżowego i gminy Jeżowe. Został na tych terenach urządzony poligon Luftwaffe. Ale tutejsi mieszkańcy nie pozostali bierni i ulegli. Już w końcu marca 1940 roku ludowcy z Jeżowego nawiązali kontakt z kierownictwem okręgowym. Tomasz Sagan i Franciszek Łach złożyli przysięgę konspiracyjną w Przeworsku, później zaś tworzyli sieć organizacyjną w powiecie niżańskim. Rok później w powiecie było już ośmiuset ludzi wtajemniczonych w tajną działalność „ROCH-a". Tę działalność przedstawił później Tomasz Sagan w książce „Konspiracja w Natanie".

Kierownik szkoły, Rudolf Baumberger zaczął przeżywać ciężkie chwile już we wrześniu 1939 r. Wojska nieprzyjacielskie, upojone błyskawicznym zwycięstwem, nie pytając nikogo, zajmowały budynek szkolny, zabierając wiele rzeczy i sprzętów szkolnych. Taka sytuacja trwała do połowy października. O nauce nie było mowy. Wróg organizował się na zdobytej ziemi. W drugiej połowie października wezwano kierowników szkoły do Niska. Tu powiadomiono o otwarciu szkół. Szkolnictwo powszechne w powiecie, w imieniu starosty, organizował dr Schmidt. Już w jego pierwszych poczynaniach ujawniała się troska o polską szkołę i nauczycieli. Nie wprowadzał on żadnych zmian w programach, kompletował grona nauczycielskie poszczególnych szkół, dając pracę wielu nauczycielom – uchodźcom z różnych stron kraju. Nauka rozpoczęła się 30 października. Ta sielanka nie trwała jednak długo. 6 listopada wezwano nauczycieli z całego powiatu do Niska na konferencję. Były to jedynie pozory, mające na celu ściągnięcie nauczycieli. Wkrótce budynek szkolny, w którym owa konferencja miała się odbywać, otoczyło wojsko. Zaczęły się przesłuchania i aresztowania. Uwięziono

nauczycielki wolne i bezdzietne mężatki, zwalniając jedynie matki. W asyście żandarmerii poprowadzono wszystkich – w tym kierownika Baumbergera – na stację kolejową i załadowano jak śledzie do dwóch wagonów ciężarowych. Następnie wagony zamknięto i po dość długiej, okropnej podróży, odstawiono ich do Rzeszowa. Tutaj, otoczonych żandarmerią, poprowadzono ich przez miasto do więzienia. Zaczęły się nocne, długotrwałe przesłuchania. Potem nauczyciele zostali przydzieleni do cel więziennych. W przeznaczonych normalnie dla czterech więźniów celach siedziało ich po kilkunastu. Po spędzonej w więzieniu nocy, zwolniono nauczycielki, nauczycieli natomiast przetrzymywano dalej. Rudolf Baumberger wrócił z więzienia 14 listopada. Kiedy przyszedł nieco do siebie, w dniu 20 listopada otworzył szkołę. Nauka trwała dwa dni, potem znowu nastąpiła przerwa do 6 grudnia. Wówczas otwarcie szkół nakazały władze.

Ponieważ nie było żadnych zarządzeń, naukę prowadzono na podstawie dotychczasowych programów. Ale wraz z nowym rokiem kalendarzowym zaczęły pojawiać się kolejne zarządzenia. Okólnikiem z 11 stycznia nakazano usunięcie ze szkół godeł, portretów i tak zwanych obrazów tendencyjnych. To samo zarządzenie wprowadziło ustalenia w sprawie przedmiotów nauczania. Znikło określenie „język polski" – wprowadzono „czytanie i pisanie". Oprócz tego uczono rachunków, przyrody gospodarczej, rysunku, gramatyki, śpiewu (w ograniczonym wymiarze). Znikła historia i geografia. Na razie pozwolono uczyć duchowieństwu religii w ramach rozkładu godzin, ale bezpłatnie. Ale już okólnikiem z 11 marca usunięto księży z budynków szkolnych, przydzielając naukę religii nauczycielom. Wymiar nauki tego przedmiotu ustalono na 1 godzinę tygodniowo w każdej klasie. Tym samym okólnikiem usunięto ze szkół wszelkie podręczniki szkolne. W kwietniu dopuszczono do szkół niektóre wydawnictwa i autorów – na przykład Burską, Trzeciakównę, Ordyńską, Dyakowskiego, Andersena i Prusa. Po tych zmianach w zakresie nauczania nastąpiła w marcu redukcja grona nauczycielskiego. Zaczęto od nauczycielek-mężatek, które zwolniono 15 marca. Wtedy zwolniono także żonę Rudolfa Baumbergera. Od tej pory do końca wojny już nie pracowała, zarabiając na życie w zawodzie krawieckim – szyjąc dla miejscowych kobiet i dziewcząt. Przedwojenne etaty zredukowano do pięciu nauczycieli. W szkole pracowały panie Gradowska, Mańkut, Gondajko i Puszkowska.

Pod koniec czerwca 1941 roku, po całorocznym pobycie, wojsko opróżniło budynek szkolny. Wyglądał fatalnie: izby szkolne, korytarze, podłogi zabrudzone, odrapane ściany z powybijanymi dziurami, przepalone piece, wiele wybitych szyb, a w izbach wśród śmieci wiele sprzętów wojskowych. Kierownik Baumberger w porozumieniu z gminą i miejscowym posterunkiem policji, któremu odchodzące wojsko zleciło pieczę nad zostawionymi rzeczami, przystąpił do uprzątania budynku. Po 3 tygodniach ciężkiej pracy udało się przygotować budynek na rozpoczęcie zajęć szkolnych. 1 września rozpoczęto nowy rok szkolny. Skład grona nauczycielskiego uległ zmianie, bowiem w związku z usilnymi staraniami kierownika szkoły przeniesiono dwie nauczycielki, z którymi praca była niemożliwa. W tym roku pracowały panie Gradowska, Mańkut, Mandecka i nauczyciel Leon Czechowicz.

Pracę w okresie zimowym poprzedniego roku i w obecnym roku szkolnym umożliwiał nauczycielom i uczniom sołtys gromady, pan Tomasz Sagan. Przy obojętności gminy dla potrzeb szkoły, okazał się on prawdziwym jej przyjacielem, wspomagającym ją w każdej sytuacji – nawet wówczas, kiedy trzeba było się narażać, zaopatrując szkołę w opał.

Już w grudniu 1942 roku gmina Jeżowe została przydzielona do powiatu rzeszowskiego, a od 1 stycznia 1943 roku szkołę podporządkowano radcy szkolnemu w Rzeszowie. Odtąd zaczęły się ciężkie dni dla Jeżowego, a i kierownik Baumberger przeżył wiele przykrych momentów. Już 6 stycznia starosta rzeszowski, przy udziale setek żołnierzy, żandarmów i polskich policjantów urządził wielką łapankę. Ku ogromnemu zdumieniu Baumbergera, łapance tej przewodził także radca szkolny. Punktem zbornym dla złapanych „ochotników" był budynek szkolny. Stąd ich następnie wywożono. „Łup" ten byłby dużo większy, gdyby nie niezmordowane zabiegi pana Stanisława Gryla, któremu udało się najrozmaitszymi sposobami bardzo wielu ludzi wybronić od wywózki. W lutym władze niemieckie przystąpiły do spisywania list ludności na użytek okupanta. Radca szkolny zaangażował do tej pracy nauczycieli w powiecie rzeszowskim, a więc nie ominęło to i tych zatrudnionych w szkole w Jeżowem. Za sprawą ludzkiej nieuczciwości akcja ta dotknęła bezpośrednio także kierownika Baumbergera. Już w lutym został wezwany do radcy szkolnego pod pretekstem omówienia spraw szkolnych. Okazało się, że tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Po wymianie paru zdań z inspektorem szkolnym, na rozkaz radcy skierowano go do szefa propagandy w starostwie. Tu przedstawiono mu cel jego wezwania.

Jakiś czas później przybył z Rzeszowa sam szef propagandy, przywożąc materiały potrzebne do pracy. Na miejscu ustanowił on komisję wpisową, udzielił instrukcji i na podstawie rejestrów uczniów ustalił nazwiska osób, które należało objąć spisem. Nakazał przy tym posługiwać się księgami Urzędu Parafialnego. W tej sprawie przeprowadził naradę także z księdzem proboszczem. W myśl jego instrukcji komisja miała, przechodząc dom po domu, obejmować spisem osoby z nazwiskami o brzmieniu niemieckim, nazwiska tzw. spolszczone, następnie zaś inne osoby wartościowe, to znaczy nadające się do spisu ze względu na walory osobowe i charakter. Nakazywano posuwać się aż do pełnych obserwacji antropologicznych (badać budowę czaszki, wygląd twarzy). Jak z tego widać, była to szeroko zakrojona akcja. Kierownik Baumberger, jako przewodniczący tej komisji, znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Zwłaszcza, że jego szef wprowadził na listę ważne dla niego osoby. Trzeba było zachować pozory skrupulatnego wypełniania nakazu. Członkowie komisji, panie Mandecka i Gradowska oraz pan Radomski, obchodzili więc swoje rejony i zbierali materiał, na podstawie którego należało potem wypełnić arkusze spisowe. Wieś ustosunkowała się do tej akcji różnie – jedni patrzyli na nią pozytywnie, spodziewając się dla siebie pewnych korzyści, inni patrzyli niechętnie, większość podeszła do niej ze spokojem.

Wszyscy doskonale znali kierownika Baumbergera, bo przecież obserwowali jego pracę od trzydziestu lat i wiedzieli, że nie zrobi niczego, czego Polak robić nie powinien. Ale w samym składzie komisji znalazł się nauczyciel Radomski. Zaczął on swoją wrogą robotę, informując kłamliwie i złośliwie ludzi o całej akcji i podburzając ich przeciw kierownikowi szkoły. Kiedy Rudolf Baumberger został o tym powiadomiony, zwrócił się o pomoc do pana Tomasza Sagana, będącego wówczas wójtem. Od początku akcji zresztą kierownik szkoły informował o wszystkim Tomasza Sagana i wspólnie układali plan działań, sposób „obejścia" ustanowionego przez radcę szkolnego jej „kontrolera", kierownika szkoły w Bratkowicach, pana Malca. Wezwany do kancelarii szkolnej pan Radomski odwołał swe bezpodstawne zarzuty i przeprosił kierownika Baumbergera w obecności pana Sagana i Malca. Jednak pewien ferment na wsi pozostał, bo ogół mieszkańców o odwołaniu zarzutów i przeprosinach nie wiedział. Mało tego,

wiadomości o tym zajściu przedostały się do innych miejscowości i tam, zwłaszcza wśród ludzi, którzy nie znali Rudolfa Baumbergera lub znali go słabo, jego dobre imię zostało zszargane. Po tym incydencie, resztę pracy prowadził kierownik Baumberger z wójtem Saganem, rezygnując z usług członków komisji.

W styczniu 1943 roku ustanowiono komisję kontyngentową, której wyznaczano coraz to nowe liczby robotników mających wyjechać do pracy w Niemczech. W tym przypadku także (jak przez całą okupację) panowie Tomasz Sagan i Stanisław Gryl w bardzo licznych przypadkach bronili i chronili mieszkańców. Tym dwóm ludziom zawdzięczają mieszkańcy Jeżowego bardzo wiele – dotkliwe i twarde rządy okupanta tylko za ich sprawą nie dotknęły tak bardzo tutejszych ludzi. W lipcu 1943 roku jeszcze raz starosta rzeszowski dojmująco wpłynął na losy mieszkańców Jeżowego. Po raz kolejny urządził łapankę i znowu setki „łapaczy" otoczyły wieś. Kierownik Baumberger także przeżył osobiście tę straszną akcję. Wyrwanego wcześnie rano (prawie z łóżka) popędzono go wraz z innymi ofiarami pod kościół – do punktu zbornego. Tu ich wszystkich wylegitymowano, potem jednych ułożono na mokrej trawie, innych posadzono. Rudolfowi Baumbergerowi, w drodze jakiejś łaski, żołnierz pozwolił stanąć pod drzewem. Wreszcie, po paru godzinach, część osób zwolniono, a część zatrzymano.

Na początku roku szkolnego 1943/44 szkoła w Jeżowem znalazła się w trudnej sytuacji materialnej. W związku z przydzieleniem wsi do powiatu rzeszowskiego zlikwidowano już wcześniej tutejszy Zarząd Gminy, a miejscowość przydzielono do gminy w Górnie. Wtedy to z pomocą szkole przyszedł – jak wielokrotnie przedtem – pan Stanisław Gryl. Dzięki jego osobistym zabiegom mógł kierownik Baumberger przygotować szkołę na czas do pracy. Rok szkolny rozpoczęty został 1 września, a skład grona nauczycielskiego się nie zmienił. Już na jego początku wydano ważne zarządzenia. Jednym z nich było rozporządzenie o „ustroju i organizacji w polskiej szkole powszechnej". Do tego wydano również nowe programy szkolne. Skutkiem tego rozporządzenia było obniżenie stopnia organizacyjnego szkoły: zamiast szkoły siedmioklasowej, powołano pięcioklasową. Dodatnią stroną tych nowości było wprowadzenie do rozkładu godzin nauki geografii. Wprawdzie była ona okrojona, ale samo dopuszczenie tego przedmiotu do szkoły ułatwiało „przemycanie" prawdziwej geografii. Na tajnym nauczaniu pozostawało zatem już tylko realizowanie programu z historii i tej uczono pod różnymi „niewinnymi" tematami.

Tadeusz Baumerger w ostatnich latach życia

Pomyślnym faktem było przedzielenie szkoły w Jeżowem z powrotem do powiatu jarosławskiego. Szkoła przeszła pod zarząd kulturalnego i nie nastawionego tak szowinistycznie radcy szkolnego Lorenza. I sama wieś również na tej zmianie przynależności skorzystała. Wprawdzie Jeżowe posiadało nieustannych „stróżów" w Górnie, ale już takich represji – jak pod władzą starosty rzeszowskiego – do końca okupacji nie było.

Kierownik Baumberger wielokrotnie był w beznadziejnej sytuacji, wskutek licznej absencji nauczycieli i niemożności zorganizowania zastępstwa musiał puszczać dzieci bez nauki do domu. Niekiedy całymi tygodniami prowadził szkołę we dwójkę z panią Mandecką, organizując lekcje co drugi dzień. Trzeba było naprawdę ogromnych wysiłków, by utrzymać szkołę na poziomie i nadrabiać braki – tak w dziale wychowania, jak i dydaktyki. Trudno było w takich warunkach kadrowych prowadzić w miarę normalne zajęcia i umożliwić dzieciom zaliczenie kolejnego roku szkolnego oraz promocję do następnej klasy.

* * *

Wyzwolenie Jeżowego nastąpiło 26 lipca 1944 roku – pojawili się wtedy żołnierze Armii Czerwonej, wraz z nimi zaś oddziały polskiego wojska. Ludowcy skupieni w ROCH-u podjęli natychmiast działania zmierzające do przywrócenia do życia instytucji publicznych na terenie gminy. Kilka dni później przybyli do Jeżowego „organizatorzy władzy ludowej" i spotkali się z SL ROCH. Jednak w naszej wsi nie utworzono Rady Narodowej, która popierałaby PKWN, lecz zorganizowano Urząd Gminy. Pierwszym powojennym wójtem został Józef Siudak. Zniszczenia wojenne były ogromne, ale mieszkańcy starali się przywrócić normalne funkcjonowanie życia społecznego we wsi. Szybko przygotowane zostały budynki szkolne i już 1 września 1944 roku rozpoczęto naukę w szkole. Proboszcz Leon Zaziemski wraz z niektórymi gospodarzami zorganizował na plebani kuchnię, która wydawała ponad sto obiadów dziennie najbardziej potrzebującym.

Po raz pierwszy w czasie wojny rok szkolny mógł się rozpocząć w szkolnym budynku nie remontowanym po wielu kwaterunkach różnych wojsk. Praca w szkole rozpoczęła się przy huku armat niezbyt dalekiego jeszcze frontu. Skład grona nauczycielskiego uległ dużej zmianie, można było wrócić do przedwojennych etatów. Wróciła do pracy zmuszona przez okupanta do porzucenia zawodu w marcu 1940 roku Henryka Baumbergerowa, ponadto w składzie powiększonego grona nauczycielskiego znalazły się panie Stanisława Delecka i Wanda Jasińska.

Rok szkolny 1945/46 był trudny ze względu na rozluźnienie się dyscypliny pracy grona nauczycielskiego. Kierownik Rudolf Baumberger miał pewne problemy z częścią kadry nauczycielskiej, która nie akceptowała jego sporych wymagań i metod pracy. Mimo tych ciężkich warunków, realizowane były, zwłaszcza w klasach wyższych, podstawowe zadania szkoły, a uczniowie brali udział w ważnych wydarzeniach narodowych i państwowych. Aby chociaż częściowo odrobić straty spowodowane wojną, zorganizowano Kurs Oświaty Młodych, zajęcia na poziomie klasy VI i VII. Naukę na Kursie prowadzili członkowie grona nauczycielskiego: Rudolf Baumberger, ks. Stanisław Grębski i Henryka Baumbergerowa. Ukończyło go 15. uczestników. Młodzież wyższych klas korzystała z biblioteki szkolnej. Bibliotekę dla starszych w okresie od listopada do końca kwietnia prowadziła Henryka Baumbergerowa. Zawsze życzliwie do spraw szkolnych odnosił się Komitet Rodzicielski.

* * *

W styczniu 1945 roku córka Baumbergerów – Halina, została zabrana przez hitlerowców do kopania rowów przeciwczołgowych we Wrocławiu. W maju, po zakończeniu wojny, nie wróciła już do Jeżowego, ale ułożyła sobie życie w Cieplicach-Zdroju. Mieszkała tam przez kilkanaście lat. Córki Haliny, którymi dziadek Rudolf mógł się jeszcze przez jakiś czas nacieszyć, mieszkają obecnie w Poznaniu. A Halina zmarła w 2007 roku, mając 89 lat. Z kolei ich syn, Tadeusz, został zachęcony apelami władz do odbudowywania przemysłu okrętowego w Gdańsku

i w lipcu 1945 roku postanowił tam wyjechać. Mimo iż był bardzo zżyty z Jeżowem i z rodzicami, tu przez lata mieszkał z budynku szkoły wraz z nimi i przyjeżdżał na każde wakacje z Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Krakowie (w którym zdał maturę w 1932 roku), chciał uczestniczyć w dziele tworzenia przemysłu okrętowego w powojennej Polsce. Wyjechał zresztą z innym mieszkańcem Jeżowego – Kazimierzem Borkiem. Tadeusz w znacznej mierze kontynuował społecznikowską pasję ojca, był człowiekiem niezwykle aktywnym. Przez jakiś czas pracował w Warszawie, gdzie jego córka Zofia się kształciła. Organizował wówczas dla uczniów jej klasy wycieczki na Wybrzeże, zabierając na nie także te dzieci, których rodzice nie mogli im tego opłacić. Ze stoczni i okrętowych zakładów produkcyjnych pościągał urządzenia przydatne do wyposażenia pracowni ZPT. W Gdańsku z kolei dzięki niemu klasa Zofii często chodziła na co ciekawsze wodowania statków w stoczniach, oglądała wnętrza statków. Tadeusz współpracował z Wyższą Szkołą Ekonomiczną w Sopocie, późniejszym Wydziałem Organizacji i Zarządzania Produkcji na Uniwersytecie Gdańskim. Ze swoimi współpracownikami był pomysłodawcą utworzenia dla studentów Koła Naukowego Ekonomiki Przemysłu Okrętowego (KNEPO).

Można powiedzieć, że w Gdańsku zrobił później karierę. Stał się jednym z pionierów przemysłu stoczniowego w Polsce, cenionym ekonomistą. Nie tylko przyczynił się do rozwoju tego przemysłu, ale także pisał artykuły na ten temat (na przykład o organizacji przemysłu okrętowego). Stał się jednym z najwybitniejszych, najbardziej zasłużonych członków Koła Naukowego przy Katedrze Ekonomiki Przedsiębiorstw Uniwersytetu Gdańskiego. Był także nagradzany i odznaczany, między innymi srebrnym krzyżem zasługi przez prezydenta w 1952 r., a dzisiejszym członkom Koła Naukowego UG przyznaje się coroczne nagrody im. Tadeusza Baumbergera za najlepszą działalność twórczą. Tadeusz Baumberger zmarł w 1985 roku w wieku 71 lat.

* * *

W 1945 roku Rudolf i Henryka Baumbergerowie zostali w Jeżowem sami, dzieci znalazły się w bardzo odległych zakątkach południowo-zachodniej i północnej Polski. Ponieważ ich córka Halina miała ustabilizowaną sytuację mieszkaniową i rodzinną, postanowili za namową obojga dzieci osiedlić się w Cieplicach-Zdroju. Rudolf wyjeżdżając z Jeżowego w lipcu 1946 roku był przekonany, że jedzie w miejsce, w którym ma pewne zatrudnienie. Takie obietnice składały mu władze oświatowe w Rzeszowie i Wrocławiu. Rzeczywistość okazała się jednak dla niego okrutna, bowiem jego podania o pracę były załatwiane odmownie. Na każde pytania o powód braku zatrudnienia odpowiadano mu arogancko, że może w każdej chwili wrócić do Jeżowego lub że władze nie muszą się tłumaczyć przed nim.

Zdjęcie rodziny Baubergerów, w tym córki i wnuczki

Pani Zofia Daszuta ma bardzo osobiste i pełne rozterek listy Henryki Baumbergerowej do syna (a ojca pani Zofii) Tadeusza, które potwierdzają te fakty. Rudolf Baumberger próbował podjąć pracę bądź w szkolnictwie zawodowym, bądź w administracji szkolnej, jednak bez rezultatu. Nie umiano i nie chciano docenić jego wysokich kwalifikacji, zdolności organizacyjnych, a przede wszystkim całkowitego poświęcenia się zawodowi. Władze w tamtym regionie nie potrafiły wykorzystać walorów cenionego nauczyciela, kierownika szkoły i organizatora. Po 3 latach bezskutecznej walki o pracę, w 1949 roku przeszedł na emeryturę, cały czas czując żal i rozgoryczenie. W sierpniu 1951 r. w Cieplicach-Zdroju zmarł i tam jest jego grób. Pani Henryka miała więcej szczęścia w staraniach o zatrudnienie – udało jej się dostać pracę na pół etatu w szkole w Jeleniej Górze i pracowała tam do 1953 roku. Od 1967 r. Henryka Baumbergerowa zamieszkała w Gdańsku ze swoim synem Tadeuszem, pomagając w wychowaniu wnuczki Zofii po śmierci jej matki. Zofia zresztą dowiedziała się od niej, iż w 1923 r. przebywała w niedalekim od Trójmiasta Wejherowie, w którym odbywała szkolenie dla nauczycieli. Wie nawet, w którym to było budynku (do dziś on istnieje) i przechowuje zeszyty z jej notatkami. Henryka Baumbergerowa zmarła w listopadzie 1980 r. w Gdańsku, mając prawie równe 90 lat.

Rudolf Baumberger przez całe swoje życie czuł się Polakiem, był prawdziwym patriotą i potrafił to udowodnić w najtrudniejszych czasach. Razem z żoną byli niezwykle przywiązani także do działalności oświatowej i swojej małej ojczyzny – Jeżowego. Pani Zofia wie od swojej babci Henryki i od ojca Tadeusza, że Jeżowe to było miejsce, które w ich sercach miało szczególne znaczenie. Po wyjeździe z Jeżowego w 1946 r. Henryka Baumbergerowa utrzymywała kontakt listowny z bardzo bliską jej sercu osobą, Katarzyną Sagan – byłą uczennicą ich obojga, a później pomocnicą w prowadzeniu drobnych prac domowych. Babcia zawsze z niecierpliwością czekała na listy od pani Kasi, było to dla niej niejako przedłużenie pobytu w Jeżowem. Żyli wówczas przecież dawni uczniowie Baumbergerów i inni znani im mieszkańcy, i babcia pani Zofii łaknęła każdej wiadomości o tym, co działo się w jej ukochanym Jeżowem.

W latach 60. i 70. gościli u państwa Daszutów mieszkający na Wybrzeżu Jeżowiacy, dawni wychowankowie Rudolfa i Henryki Baumbergerów, którzy z ogromną wdzięcznością wyrażali się o nich, zwłaszcza o nieżyjącym już Rudolfie. Twierdzili, że dzięki jego namowom do dalszej nauki osiągnęli w życiu tak wiele. W początkach lat 70. zwrócił się do Henryki Baumbergerowej dobry znajomy jej i męża, pan Tomasz Sagan, autor książki „Konspiracja w Natanie" i w swojej książce wspomniał o dokonaniach wojennych Baumbergerów.

***

Pani Zofia Daszuta w przesłanym liście wyraża swoją wdzięczność za pamięć o dokonaniach dziadka, żywą w jeżowskim Zespole Szkół i w samym Jeżowem, które tak mu zawsze było drogie. Jest bardzo dumna ze swojego dziadka, ale nie chce tworzyć sama jakiejś historii, która by go gloryfikowała. Pragnie przekazać garść nieznanych faktów, pewne rzeczy wyjaśnić, sprecyzować, dopowiedzieć. Jak pisze: Dziadek był piątym pokoleniem – ja jestem siódmym (...) Na mnie zakończyło się nazwisko. Wierzę również, że moja dorosła już córka przekaże w przyszłości z dumą wiadomości o Pradziadkach i Prapradziadkach swojemu obecnie 2-letniemu synkowi Kostkowi.

Dzięki pani Zofii mogliśmy rzeczywiście sporo tajemnic związanych z osobą Rudolfa Baumbergera i jego rodziny odkryć, przywołać pewne nowe fakty. Być może kontakt z Zofią Daszutą zaowocuje nie tylko kolejnymi ciekawymi informacjami, ale także zacieśnieniem jej więzi z małą ojczyzną dziadków, która ich pamięć stara się podtrzymywać, a wdzięczność za ich dokonania zaszczepić młodym pokoleniom.

Mieczysław Kuriański

Ze wspomnień repatrianta – Memories of a repatriate

I. Z Kresów Wschodnich na Śląsk. Lata dzieciństwa – From the Eastern Frontier to Silesia. Childhood (1945 – 1960)

W kolebce ojców

Jazłowiec[1] – miejscowość położona na podolskich pagórkach, latem pokrytych zieloną trawą, zimą puszystym śniegiem. Strumyk Jazłowczyk i rzeka Olchowiec spotykają się razem w rynku tworząc jeden nurt. W wielowiekowej przyjaźni ich wody okrążają zamkowe wzgórze i płyną w kierunku Nowosiółki. Tu każdy kamień jest namaszczony historią, po której zostało trochę pamiątek, często zniszczonych, ale przypominających lata świetności. O tym okresie dziejów opowiadają niektóre zachowane zabytki, wśród nich: kościół parafialny pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, będący w ruinie; fragment zamku z bramą wjazdową; późnobarokowy pałac, w 1863 roku zaadaptowany na klasztor, następnie zamieniony po wojnie na sanatorium przeciwgruźlicze;[2] cerkiew ormiańska[3], strasząca kikutami murów; jak też zdewastowany cmentarz z kaplicą grobową ostatnich właścicieli dóbr jazłowieckich, baronów Błażowskich. Wspomniane miasteczko było niegdyś kresową twierdzą Rzeczypospolitej i powstrzymywało impet wojsk tureckich. Z czasem podupadło i straciło na znaczeniu militarnym. Do dziś jego imię rozsławiają renesansowy kompozytor, Mikołaj Gomółka (1535 – 1609), pochowany w kruchcie farnej świątyni, oraz współzałożycielka zakonu sióstr niepokalanek, fundatorka domu generalnego na górze Jasia Łowcy , późniejsza błogosławiona, Maria Marcelina Darowska (ur.1827), która spoczywa w jednej z katakumb klasztornych w Jazłowcu.

Właśnie moje dzieciństwo kształtowało się w uroczej, ale wojną zniszczonej mieścinie. Po ustaniu działań wojennych rodzice wraz z dziećmi[4] wrócili z ewakuacji do swojego domu. Nie mogli jego poznać, ponieważ był zupełnie wyszabrowany, bez okien; tylko ściany i dach oparły się wandalizmowi. Nie lepiej wyglądały zabudowania towarzyszące, należące do dwunastohektarowego gospodarstwa. Stacjonujące tam bowiem wojsko niemieckie, pod nieobecność gospodarzy, paliło wszystko to, co nadawało się do spalenia. Resztę zniszczeń dopełnili miejscowi rabusie, których nie brakowało w okolicy. Nikt z mieszkańców nie mógł wyjść

[1] Większość danych pochodzi z okresu 1945 – 1957; niektóre z nich są w jakiejś mierze nieaktualne, ale nie na tyle, żeby deformowały historyczny obraz.Wszystkie przypisy zamieszczone w niniejszym artykule pochodzą od autora.

[2] Od kilku lat funkcjonuje tam nieliczny konwent niepokalanek, który prowadzi szkołę dla dziewcząt, najczęściej narodowości ukraińskiej.

[3] Dziś cerkiew odrestaurowana służy do celów liturgicznych grekokatolików.

[4] Moja rodzina składała się z następujących osób: ojciec – Adolf Kuriański (ur. 30 XI 1905 w Jazłowcu, zm. 10 VIII w Młodoszowicach, tam pochowany na lokalnym cmentarzu, następnie ekshumowany na jesień 2006 roku i przeniesiony do kaplicy rodzinnej w Św. Katarzynie), matka – Józefa z domu Szymańska (ur. 14 V 1913 roku w Capowcach, pow. Tłuste, zm. 21 X 2004 w Brochowie, pochowana w kaplicy rodzinnej w Św. Katarzynie), brat – Franciszek, brat – Rafał, brat – Kazimierz oraz Mieczysław (ur. 28 XI 1945 roku w Jazłowcu), autor cyklu artykułów pod wspólnym tytułem: „Ze wspomnień repatrianta." Data i miejsce urodzenia, ewentualnie zgonu, pozostałych członków rodziny będą podane w następnym numerze opracowania.

In the cradle of my fathers

Jazlowiec[1] – a village of Podole region situated in the hills, covered with green grass in summer, in winter with fluffy snow. The Jazłowczyk Stream and the Olchowiec River come together to form one river in the Market Suqare. In the friendship for many centuries the waters encircle the castle hill and flow in Nowosiółka direction. Here, every stone was anointed with history, after which there are few remains, often mutilated, but remembering glorious years. About this period of history say some preserved monuments, among them: the parish church of the Assumption of the Blessed Virgin Mary, which now is in ruins, a part of the castle gate, a late-Baroque palace, converted into a monastery in 1863, after the war[2] turned into a tuberculosis sanatorium; an Armenian church[3], frightening with stumps of walls, as well as the devastated cemetery-mortuary chapel of last Jazłowiecki landowners, the Błażowski barons. This borderland town was once the fortress of Poland and stopped the momentum of the Turkish army. With time, it decayed and lost its military significance. To this days its name is famous for Renaissance composer Mikołaj Gomółka (1535 - 1609), buried in the church porch, and co-founder of the Nuns of the Immaculate Monastery, the founder of the house at the top of Jaś Łowca Mountain, later blessed Maria Marcelina Darowska (born 1827), which lies in one of the catacombs of the monastery in Jazłowiec.

My childhood was shaped in the lovely but destroyed by the war little town. After the cessation of the warfare my parents and the children[4] returned from evacuation to their home. They could not recognize it because it was completely robbed, no windows, only walls and the roof resisted vandalism. The flanking buildings belonging to the farm did not look better. The German army stationed there, in the absence of the owners, was burning everything suitable for incineration. The rest of the damage was fulfilled by local bandits that were prevalent in the area. None of the residents could go on the field in order to make the spring crops, because there were mines everywhere, threatening

[1] Most data is from the period 1945 - 1957, some of it is outdated in some way, but not enough to deform the historical picture. All footnotes in this article come from the author.

[2] The Convent of the Immaculate Nuns has been working there for a few years, which runs a school for girls, most of Ukrainian.

[3] Today it is rebuilt for the purpose of Greek Catholics liturgical.

[4] My family consisted of the following persons: our father - Kuriański Adolf (b. 30 Nov 1905 in Jazłowiec, d.10 Aug 1970 in Młodoszowice buried there in the local cemetery, then exhumed in autumn 2006 and moved to the family chapel in St. Catherine) , mother - nee Josepha Szymański (b. May 14, 1913 in Capowce, district Tłuste, d. 21 Oct 2004 in Brochów, buried in the family chapel in St. Catherine), brother - Franciszek, brother - Rafal, brother - Kazimierz and Mieczysław (b. 28 Nov 1945 in Jazłowiec), author of a series of articles under the title: ' Memories of a repatriate'. The date and place of birth, or death, other family members will be included in the next issue of the development.

w pole celem dokonania wiosennych zasiewów, jako że nie mieli zboża, na dodatek wszędzie walały się miny, grożące niespodziewanym wybuchem. Wszystkim groziła śmierć, wszakże jej rodzaj, jak na ironię losu, można było sobie wybrać. Pierwszy rodzaj – to śmierć głodowa; drugi rodzaj – to śmierć w torturach, zadawana przez grasujących banderowców. Jedni, którzy zdecydowali się nie opuszczać miasteczka, z racji braku jedzenia skazywali się na powolne konanie; inni, wychodząc poza miejscowość w poszukiwaniu chleba dla siebie i umierających dzieci, padali nierzadko ofiarą z rąk oprawców spod znaku Tryzuba, wyzutych z wszelkich skrupułów. Ojciec, spuchnięty z głodu, wyczekiwał miłosierdzia Bożego i doczekał się jego. Dzięki przedsiębiorczości, zaradności i niezłomnej wierze mojej matki cała rodzina została ocalona. Ona (jako kobieta mniej narażona na prześladowania ze strony oprawców) udawała się pieszo w rodzinne strony, ponieważ nie były dotknięte skutkami frontu. Znała dobrze język ukraiński, co pozwalało jej szczęśliwie przechodzić kontrole żołnierzy sowieckich i różnej maści bandytów. We wsi, gdzie mieszkała do zamążpójścia, zamieniała swoje drogie ubiory za marne racje zboża, ziemniaków lub jakiejkolwiek żywności. To pozwoliło nam przetrwać najtrudniejsze czasy. Potem zainstalował się stalinizm, który siał terror wśród lokalnej ludności. Polaków maltretowano za narodowość i katolicyzm. Byliśmy drugą kategorią ludzi. Gospodarstwo, oprócz domu mieszkalnego i działki przyzagrodowej, upaństwowiono.

Ojciec z najstarszym synem Franciszkiem podjęli pracę w miejscowym kołchozie, dwaj młodsi od niego bracia uczęszczali do szkoły i pomagali prowadzić domowe gospodarstwo, ja chodziłem do siedmioklasowej podstawówki; z racji wieku byłem przeznaczony do drobnych posług, pasienia krowy i kóz. Na barkach matki spoczywał ciężar funkcjonowania domu i rodziny. Wszystkich nas trzymała w ryzach i nie pobłażała naszym kaprysom. Od czasu od czasu jedliśmy chleb. Systematycznie jednak poprawiał się stan materialny. Nazywano nas Lachami bądź kułakami. W szkole nie mieliśmy problemów z nauką. Pracowaliśmy i bawiliśmy się z Ukraińcami, Rosjanami, Żydami. Nierzadko wyrażano żal, że jesteśmy Polakami. Mimo tego rodziły się trwałe przyjaźnie. Wrastaliśmy w nową rzeczywistość, jednakże opartą na depozycie wiary i polskości. W każdą niedzielę, kiedy matka krzątała się przy kuchni, brat Rafał, który znał język polski, przewodził modlitwom. Recytowaliśmy cały katechizm i śpiewaliśmy godzinki lub gorzkie żale albo kolędy – w zależności od liturgicznego okresu. Nieraz wierciliśmy się z powodu przedłużającej się liturgii, za co byliśmy karceni. Troska rodzicielska o nasze wychowanie uzdatniała nas do zachowania religijno – narodowej tożsamości.

Moje dzieciństwo sielskie i zarazem anielskie nabrało rumieńców z chwilą przybycia do sanatorium pulmonologicznego w Jazłowcu (powstałego z klasztoru sióstr niepokalanek) ludzi, reprezentujących świat sztuki. Pojawili się tam poeci, pisarze, malarze, architekci. Chodziłem za nimi, jak koza za sianem. Dlatego często inkasowałem razy za swoją niefrasobliwość i sprzeniewierzanie się obowiązkom. Godzinami przesiadywałem z malarzami przy sztalugach albo słuchałem recytacji wierszy ukraińskich poetów. Patrząc z perspektywy czasu, wielu z nich nie podzielało ówczesnej ideologii. Pewien architekt z ich grona pomógł otworzyć pobliską cerkiew i chciał mnie zabrać do Kijowa na dalszą naukę do szkoły malarskiej. Nic więc dziwnego, że wieść o rychłym wyjeździe do Polski nie wprawiła mnie wcale w zachwyt, wywołała raczej nostalgię za światem, który miałem wkrótce porzucić na zawsze.

with an unexpected explosion. All threatened with death, however, its nature, such as irony, one could choose. The first type - the death from starvation, the second type - a death in the torture inflicted by marauding Banderas. Some who choose not to leave the town because of lack of food were condemned to a slow agony, others, going beyond the village in search of bread for themselves and dying children often fell as a tortured victim to the hands of bandits under the sign of Tryzub witch were without any scruples. Our father, swollen with hunger, waiting for God's mercy lived in hope to see it. Through entrepreneurship, resourcefulness and sheer faith of my mother the entire family was saved. She (as a woman less vulnerable to persecution on the part of executioners) went up on foot to her family's areas because they were not affected by the war. She knew the Ukrainian language well, which allowed her to pass safely control of Soviet soldiers and bandits of various shades. In the village, where she lived until her marriage she exchanged hers expensive clothes for the miserable rations of grain, potatoes or any food. This allowed us to survive difficult times. Then the Stalinism was installed that sowed terror among the local population. The Poles were maltreated by nationality and Catholicism. We were the second category of people. The farm, except dwelling house and plots, was nationalized.

Our father and eldest brother Franciszek worked in the local collective farm, two younger brothers went to school and helped to lead the farm household. I went to a seven-grade primary school, due to the age I was destined for minor ministries like grazing cows and goats. On our mother's shoulders was home and family functioning. We all were kept strict and were not allowed to have any whims. We ate bread from time to time. Systematically, however, the material condition improved. We were called Lachy or kulaks. In school, we had no problems with studying. We worked and we played with Ukrainians, Russians, Jews. They often expressed regret that we were Poles. Despite that many friendships were made. We were growing in the new reality, however, based on the deposit of faith, and Polish nationality. Every Sunday, when the mother was busy in the kitchen, Rafal, who knew the Polish language, led the prayers. We recited the whole catechism and sang church songs, or Christmas carols - depending on the liturgical period. Sometimes we were impatient because of a prolonged celebration, for which we were rebuked. Parental concern about our education helped us to preserve the religious and national identity.

My idyllic and angel childhood became more exciting upon arrival people from the world of art at the sanatorium for lungs diseases Jazłowiec (resulting from the monastery of the Nuns of the Immaculate). Poets, writers, painters, architects appeared there. I walked behind them, like a goat for hay. That is why I often were told off for my light-heartedness and compromises my obligations. I would sit for hours at an easel with paints or listen to Ukrainian poets reciting poems. Looking in retrospect, many of them didn't support the contemporary ideology. One of the architects of the group helped to open a nearby church and wanted to take me to Kiev to continue my education in painting school. No wonder that news of the imminent departure to Poland was not which set me at all in raptures, provoked rather nostalgic for the world, which I would soon leave for ever.

Pożegnanie z ojcowizną

Trwały przygotowania do wyjazdu do Polski. Całością akcji kierował brat Rafał, który był w domu i załatwiał różne dokumenty niezbędne do repatriacji. Najstarszy brat Franciszek służył jeszcze w rosyjskim wojsku. To jednak on był *spiritus movens,* zwłaszcza że został dobrze poinformowany przez rosyjskiego bezpartyjnego oficera o możliwości wyjazdu do kraju. Notabene wcześniej przed wojskiem został skazany na 8 lat łagrów, z czego odsiedział 2,5 roku za rzekomą malwersację i wrogą postawę wobec sowieckiego ustroju. Tymczasem sprawy posuwały się naprzód. Władze terenowe stwarzały coraz to nowe przeszkody biurokratyczne, żal im przecież było utracić tylu mężczyzn, przyszłych „krasnoarmiejców." W takich okolicznościach należało więc wykazać się niezwykłą cierpliwością. Nagle wydarzył się wypadek. Rafał uległ groźnej kontuzji kręgosłupa, kiedy wracał autobusem z Tarnopola do Jazłowca. Miał przy sobie ważne dokumenty. Mimo że samochód spadł z mostu do rzeki, papiery zawinięte w celofan, nie uległy zniszczeniu. Należy nadmienić, że każde uchybienie w dokumentacji dyskwalifikowało wyjazd do Polski. W tym splocie na pozór przypadkowych wydarzeń można dostrzec jedynie szczęście w nieszczęściu. Pacjent po paru dniach dotarł stopem na łono rodziny. Na przemian to leżąc w łóżku, to chodząc po izbie, bardzo cierpiał. Wreszcie przyjechał z wojska na stałe do domu Franciszek, który oddał się bez reszty przygotowaniom do podróży.

Zaczęto czynić intensywne zakupy. Wśród znajomych radzono się, co kupić. W tym względzie panowały różne opinie. W rezultacie o towarze decydowała zawartość trzosa, a nie był on za obfity. Nabyto w końcu z dziesięć zegarków na rękę marki „kama", maszynę do szycia, kilka karakułowych kołnierzy, duże radio „mińsk" oraz motor „iż", który okazał się z czasem naszą matką karmicielką. Lepszą bieliznę przeznaczoną do Polski poprano, poprasowano i złożono na strychu, natomiast na co dzień chodziliśmy w starej. Rodzice i bracia żegnali się stopniowo ze znajomymi. Ja, jako najmłodszy członek rodziny, nie byłem świadomy najbliższej przyszłości. Chodziłem do szkoły, bawiłem się z kolegami. Tylko zaprzyjaźnieni sąsiedzi wypytywali mnie o zdanie w sprawie wyjazdu. W ich grymasie twarzy widziałem jakąś nutę niepewności, może szczyptę zazdrości. To wszystko schodziło jednak na margines beztroskiej dziecinnej egzystencji. Wydawało się wówczas, że nic się nie wydarzy zaskakującego, zaś monotonia i powtarzalność sytuacji życiowych będzie trwać w nieskończoność. Nic podobnego.

W Dzień Wszystkich Świętych 1957 roku, kiedy na dworze było słonecznie i gorąco niczym latem, najstarsi bracia pojechali do rodzinnej wsi matki, Capowiec (koło Tłustego). Na tamtejszym cmentarzu odwiedzili i oprawili po raz ostatni groby zmarłych z rodziny. Po powrocie do domu nie szli na tzw. kawalerkę, jak to czynili zazwyczaj, lecz udali się na spoczynek. Wszyscy zapadliśmy w sen. Około godziny pierwszej w nocy obudził nas skowyt psa, który stukał łapą do okna. Obudziliśmy się. Brat Kazimierz zaczął krzyczeć: „Pożar!!!" Biła łuna. Jakiś „życzliwy" człowiek podpalił dom kryty strzechą. Ogień momentalnie ogarnął cały budynek. Paliła się rozlana benzyna na ścianie. Ratunek dobytku był mało skuteczny. Większość rzeczy spaliła się, mimo że ludzie z pobliskiego młyna przyszli na pomoc. Mnie przestraszonego i ojca chorego odprowadzono do sąsiadów na „nocleg." Nasz stosunkowo spokojny i błogi świat zamienił się w koszmar. Wszędzie widzieliśmy zgliszcza oraz bandytę czyhającego na nasze życie. Byliśmy nadzy i bosi. Od tego momentu czas uległ przyspieszeniu. Nie imał się nas ani sen, ani apetyt.

Teraz końcowe przygotowania do podróży trwały tylko kilka dni. Podstawiono kołchoźny samochód ciężarowy. Pospiesznie

Farewell to the inheritance

There were preparations for the departure to Poland. Rafal headed whole shares , who was in the house and took care of the various necessary documents for repatriation. The eldest brother Franciszek still served in the Russian army. But he was the driving force behind, especially that he was well informed by the Russian officer about the possibility of leaving the country. Incidentally, in the past in the army he was sentenced to 8 years in the camps, of which he served 2.5 years for alleged embezzlement and hostile attitude towards the Soviet regime. Meanwhile, things were moving forward. The authorities created new bureaucratic obstacles, yet they were sorry to lose so many men, the future 'Red Army men'. In such circumstances, it was so unusual to show patience. Suddenly an accident occurred. Rafal had a serious spinal injury when he was returning from Tarnopol to Jazłowiec by bus. He had important documents with him. Although the car fell off a bridge into the river, the documents wrapped in cellophane paper, were not destroyed. It should be noted that any failure in the documents could make the trip to Poland impossible. The interconnectedness of seemingly random events can be seen only as happiness in misery. The patient after a few days reached the bosom of the family. Alternately lying in bed, then walking through the room, he suffered a lot. Finally Franciszek arrived from the army at home for good and gave himself completely to the preparations for the journey.

They began to do extensive shopping. We were advised on among the friends what to buy. In this matter prevailed different opinions. Finally, the purse content decided the commodity, and it was not too abundant. At the end we acquired ten brand watches for sale 'Kama'; a sewing machine, some lamb collars, a big radio 'Mińsk' and a motorcycle 'Iż', which proved to be our foster-mother by the time. Better underwear designed for wearing in Poland was ironed and put up in the attic, and every day were wearing the old one. My parents and brothers said goodbye to friends gradually. I, being the youngest member of the family, was not aware of the near future. I went to school, played with friends. Only befriend neighbors questioned my opinion about the trip. I saw a grimace of a note of uncertainty and perhaps a pinch of jealousy In their faces. But it all descended on the margin of a carefree childhood existence. It seemed then that nothing surprising would happen, and the monotony and repetition of the life events will continue indefinitely. Nothing of the sort.

On All Saints Day 1957, when it was sunny and hot like in the summer, the oldest brothers went to the home village of his mother, Capowiec (near Tłuste). At the local cemetery they visited and dressed the graves of the dead with the family for the last time. After returning home they did not go on so called 'bedsit', as they usually did, but went to bed. We all got asleep. About at one at night we were woken up by a whimpering dog, which tapped his paw at the window. We got up. Kazimierz began shouting: 'Fire!' Some 'friendly' man set fire to the thatched house. The fire immediately engulfed the entire building. Poured gasoline burned on the wall. The rescue of our belongings was ineffective. Most of the things burned, despite the fact that people came from a nearby mill for help. Me scared and our sick father were led back to the neighbors for that night. Our relatively calm and blissful world turned into a nightmare. Everywhere we saw ruins and a bandit wanting our lives. We were naked and barefoot. Since then, time has accelerated. We had neither sleep nor appetite.

Now, final preparations for the trip lasted only a few days. A truck was prepared for us. The men hurriedly loaded our

mężczyźni załadowali uratowany dobytek. Na koniec z bólem serca i łzami pożegnaliśmy się z sąsiadami. Pod osłoną nocy opuszczaliśmy Jazłowiec, kolebkę ojców, naszą wiekową ojcowiznę: pole, dwie skały kamienia piaskowca, 1,5 ha lasu dębowego, duży sad z drzewami owocowymi, murowany dom oraz obiekty inwentarskie. Nikt nie słyszał naszych pożegnalnych okrzyków i szlochu. Samochód warcząc i kołysząc się po wyboistych drogach zmierzał w kierunku Buczacza, potem w kierunku Medyki. Nad ranem szczęśliwie dotarliśmy do granicy ukraińsko – polskiej. Wszędzie widziałem rojowisko ludzi, biednych, usiłujących z różnym skutkiem rozmawiać w swoim ojczystym języku. Bracia pojechali w nieznane towarowym pociągiem, ja z rodzicami pociągiem osobowym do punktu repatriacyjnego w Zgorzelcu. Tam zastała nas epidemia grypy. Wśród kłębowiska repatriantów, pochodzących z bezkresnego Związku Radzieckiego, dominowały hałas i gorączka poszukiwania rodziny w Polsce. Ciągle rozlegały się kordialne powitania, płacz i radość. W tej euforii nikt nie pytał o jutro. Po dwóch tygodniach pobytu w Zgorzelcu stryj zabrał naszą całą rodzinę do siebie. W listopadowy wieczór dotarliśmy do jego domu, gdzie zatrzymaliśmy się na kilka miesięcy.

Nowa mała ojczyzna

Młodoszowice, wieś, do której przybyliśmy, miała charakter typowo rolniczy. Mieszkali w niej przede wszystkim rolnicy indywidualni i trochę pracowników państwowych, najczęściej zatrudnionych w Państwowym Gospodarstwie Rolnym i Spółdzielni Produkcyjnej. Wszędzie odczuwało się tymczasowość pobytu oraz dychotomię myślenia: nasi i komuniści. Wbrew pozorom nasza ówczesna codzienność kręciła się wokół tych wartości. W tym czasie chłopi ciężko pracowali na roli ledwo wiążąc koniec z końcem. Doskwierały im obciążenia podatkowe i kontyngenty w postaci produktów rolnych. Stąd marzeniem ich dzieci było opuścić wieś i zamieszkać w mieście, zwłaszcza że wszędzie preferowano państwowość. Moja rodzina znajdowała się na innym etapie rozwoju: hołdowała indywidualnej własności, przywiązaniu do ziemi, wyniesionego ze Wschodu. Obejmując ośmiohektarowe gospodarstwo i robotniczy dom bez zabudowań gospodarczych, odczuwała umiarkowaną satysfakcję z tytułu częściowej rekompensaty mienia pozostawionego na Kresach. Ojciec, który uchodził za zdecydowanego wroga wyjazdu na Zachód, został nieco udobruchany przez to, że zobaczył z czasem własne pole, w stajni krowy i konie – wszystko przypominało fabułę z serialu *Sami swoi.* W tamtych czasach uczestnictwo we mszy świętej niedzielnej pozostawiało dużo do życzenia. Ci, co za Bugiem uczęszczali do kościoła, regularnie odwiedzali świątynię w Młodoszowicach. Inni, nie mający większego związku z religią, żyjący na wiarę, stronili bardzo od księdza, wręcz uważali go za wroga. Jednak po latach i oni w dużej mierze nawrócili się i parę razy w roku kłaniali się św. Marcinowi, patronowi miejscowego kościoła.

W marcu 1958 roku podziękowaliśmy za gościnę stryjowi, bo otrzymaliśmy na skraju wsi robotniczy domek wraz ze stajenką. Nowi znajomi urządzili nam przyjęcie. Cieszyliśmy się, że byliśmy na swoim, chociaż zimą po ścianach ciekła woda i wszędzie zionęło zimnem, a śnieg prószył przez dziurawy dach (co prawda po remoncie), zalegając swym puchem strych tudzież schody. Zaczął się nowy rodzaj historii, wykuwała się bowiem nowa mała ojczyzna na Śląsku, o której nie wielu słyszało na Wschodzie. Praca w gospodarstwie , w większości ręczna, pochłaniała nas wszystkich bez reszty. Byliśmy nader biedni. Po kilku latach na stole pojawił się chleb i do chleba. Uporządkowaliśmy obejście, zasadziliśmy sad przydomowy i grządki; zaczęło się robić przytulniej i swojsko, także dostatniej. Wścibscy przechodnie pytali nas nieraz, czy przypadkiem nie chcemy pozostać tu na stałe? Ale i pytający

saved belongings. At the end with heavy hearts and in tears, we said goodbye to our neighbors. Under cover of the night, we left Jazloviec, the cradle of our fathers, our aged patrimony , the field, two sandstone rocks, 1.5 hectares of the oak forest, a large orchard of fruit trees, the brick house and livestock facilities. No one heard our cries and tears of farewell. The car was growling and swinging through rough roads aimed to the Buczacz direction, then into Medyka. In the morning we arrived safely to the Ukrainian – Polish border. Everywhere I saw a swarm of people, the poor, trying in varying degrees of success to speak in their native language. The brothers went into the unknown by freight train, I and my parents went to the point of repatriation in Zgorzelec by train. There we found the epidemic of influenza. Among the returnees from the endless Soviet Union dominated the noise and fever of seeking families in Poland. I still heard a cordial greeting, tears and joy. In the euphoria, no one asked about tomorrow. After two weeks in Zgorzelec our uncle took our whole family together. In the November evening, we arrived at his house, where we stopped for a few months.

New small homeland

Młodoszowice - the village, in which we arrived, was a typical farm. People lived there were mainly farmers and some government workers, mostly employed in the State Farm and Agricultural Production Cooperatives. Everywhere there was felt of the temporality of residence and dichotomy of thought: we and communists. Contrary to appearances, our daily routine revolved around these values. At that time, the peasants worked hard on the role barely making the ends meet. Taxes and quotas in the form of agricultural products were big obstacles. Hence the dream of their children was to leave the village and live in the city, especially since everywhere statehood was preferred. My family was at a different stage of development: adhered to individual ownership, attachment to land, elevated from the East. Covering eight hectare farm and a workers house and no farm buildings, our family felt moderately satisfied with partial compensation for property left on the Borderlands. Our father, who was regarded as a strong foe of departure for the West, was a bit delighted that saw his own field, with time, a cow and a horse in stables - everything was like a plot from the show 'Sami Swoi' At that time people's participation in Sunday Mass left a lot to be desired. Those who had attended to the church behind the Bug River visited the temple in Młodoszowice regularly. Others, having no more relation to religion, living on faith, shunned a priest and even considered him an enemy. However, after years they were largely converted and a few times a year bowed St. Martin, the patron of the local church.

In March 1957 we thanked our uncle for his hospitality because we got a worker cottage with a manger on the edge of the village. Our new friends organized a party for us. We were glad that we were on our own, although in winter the walls were wet , everywhere was liquid water and cold and the snow was snowing through the leaky roof (admittedly after repair). A new kind of history began, in fact new small home in Silesia started to form, of which many were not heard in the East. The farm work, mostly manually, was consuming all of us perfectly. We were very poor. After several years bread on the table appeared .We put in order the workaround , planted an orchard and flowerbeds, it began to make cozy and familiar, and prosperous. Meddlesome pedestrians often asked us if by chance we do not want to stay here permanently. But in time the asking turned into the work ethos. Only a few peasant

z czasem oddali się etosowi pracy. Tylko nieliczni chłopi spośród braci wieśniaczej pozostali wierni Bachusowi, żłopiąc tanie wino codziennie pod sklepem.

Trzeba powiedzieć, iż w tamtych latach nie dostrzegało się zbyt dużego rozwarstwienia społecznego. Większość reprezentowała mniej więcej równy poziom materialny. Zdani na wzajemną współpracę z powodu braku usprzętowienia, chcąc nie chcąc, wchodzili ze sobą w liczne kontakty i relacje. Tu i ówdzie dochodziło do nieporozumień i spięć. Nie przeszkadzało to jednak, żeby razem uczestniczyć w różnego typu zabawach, jak dożynki, sylwester, czy wspólny opłatek. Do dobrego tonu należało, jeśli w tych wydarzeniach brał czynny udział tamtejszy proboszcz, który wtedy w opinii ogółu uchodził za swojego, równego gościa. Każdy każdego znał na wylot i wołał po imieniu. Wszyscy mieszkańcy tworzyli rozrywkę na własną rękę, gdy telewizor należał do rzadkości. Ludzie z Młodoszowic, pochodzący przeważnie zza Bugu i Centrali, powoli integrowali się i zakładali nowe rodziny.

Ważnym ośrodkiem duchowym był wspomniany kościół, po wojnie zaniedbany i ogołocony ze wszystkiego. Repatrianci traktowali go pierwotnie z rezerwą, gdyż budynki były poniemieckie. Istniało przeto podejrzenie o jego niesakralność. Pierwsi księża nie wiedzieli, gdzie ręce włożyć. Parafia obszarowo była rozległa, dzieci i młodzież zostały pozbawione regularnej katechezy, funkcjonowały małżeństwa bez sakramentu, dla wielu msza jawiła się jakimś dziwnym teatrem. Jednak współpraca z duszpasterzami przyniosła w końcu pozytywne rezultaty. Zmieniło się nie do poznania religijne oblicze parafii. Większość mieszkańców zaczęła regularnie uczęszczać na mszę świętą, zaś budynek świątyni dzięki ich ofiarności i pracy został przywrócony do stanu używalności. Katecheza, usunięta niedawno z murów szkolnych, odbywała się w różnych pomieszczeniach kościelnych.

Na początku stycznia 1958 roku zawitałem do szkoły w towarzystwie mojej stryjenki, dobrotliwej krewnej. Kierownik podstawówki, Maksymilian Krupa, wysoki i smukły mężczyzna, przyjął mnie bardzo życzliwie i umieścił w piątej klasie. Początkowo bałem się niezmiernie i wstydziłem się potwornie. Wkrótce skrępowanie ustało. Zaczęło być wesoło, gdyż w licznym towarzystwie codziennie pokonywaliśmy dwukilometrową drogę do Kolnicy, gdzie znajdowała się siedmioklasowa szkoła podstawowa. Jechaliśmy na starych poniemieckich rowerach albo szliśmy pieszo po błotnistej szosie. W czerwcu zrywaliśmy czereśnie z drzew w przydrożnej alei, zaś zimą tarzaliśmy się po śniegu. Nie brakowało wówczas radości i głośnych śmiechów, jako że dzieci potrafią się cieszyć spontanicznie, i to z byle czego. Podczas podstawowej edukacji najwięcej kłopotu miałem z historią i językiem polskim, ponieważ ten język był dla mnie prawie obcy. Nie umiałem ani czytać, ani pisać po polsku, tym bardziej rozmawiać. Koledzy przezywali mnie Ruskiem. Ten epitet znosiłem boleśnie, ale cierpliwie, tym bardziej że na Wschodzie musiałem używać argumentów *baculi* wobec drwiących z mojej narodowości złączonej więzami krwi z Lachami. Ku zaskoczeniu moich adwersarzy uzyskałem świadectwo siódmej klasy na pięć. Kierownik uznał za stosowne, żebym od nowego roku szkolnego podjął naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Grodkowie. Z końcem czerwca (może na początku lipca) towarzyszył mi przy egzaminach wstępnych, podczas których czułem nieustannie jego przyjazny uśmiech i uścisk dłoni. Potem do domu wracaliśmy rowerami, po drodze częstował mnie kanapkami; ich smak czuję do dziś. To był naprawdę przyjaciel. Następnego dnia zakomunikował, że zaliczyłem pomyślnie próbę z przedbiegów i dostałem się do liceum. Od tej chwili zrozumiałem, że moja mała ojczyzna jest teraz tu, na Śląsku, przede wszystkim z książką w ręku, chociaż wówczas w moim środowisku nie było mody na uczenie się.

Święta Katarzyna, dn. 23 grudnia 2009 roku

farmers remained loyal to Bachus drinking cheap wine at the store every day.

It must be said that in those years there were not visible too much social stratification. Most people represented more or less equal level of material status. Rely on mutual cooperation in the absence of all farmer appliances , willy-nilly, entered together in a number of contacts and relationships. Here and there were misunderstandings and tensions. However, this did not bother to participate together in various games, such as the harvest festivals, New Year, or a common wafer. Had a good tone, if in these events the local pastor took an active part, who was then in the general opinion considered as an equal guest. Everyone knew all and called by name. All residents created their own entertainment when TV was a rarity. People in Młodoszowice, coming mostly from behind the Bug River and the Central, slowly integrated and founded a new family.

An important spiritual center was mentioned church ,after the war neglected and stripped of everything. Returnees initially treated it with caution, because the buildings were formerly German. Hence, there was suspicion about its holiness. The first priests do not know where to put their hands. The parish was extensive, children and youth were deprived from regular catechetical, marriages functioned without the sacrament of marriage, for many the mass appeared to be some strange theater. However, working with pastors brought positive results in the end. The face of religious parish changed beyond recognition. Most residents began regularly attend to the holy mass, and the building of the temple was restored to working condition because of their dedication and work. Catechesis, recently removed from the walls of the school, took place in different rooms of the church.

At the beginning of January 1958 I visited the school accompanied by my aunt, a kindly relative. The Head of primary school, Maximilian Krupa, tall and slender man, received me very warmly, and placed in the fifth grade. Initially I feared exceedingly, and was terribly ashamed. My awkwardness soon ceased. It began to be merry, as in the company of many we daily went along two-kilometer road to Kolnica where was a seven- grade-primary school. We rode on an old former German bikes or walked on foot on the muddy road. In June we picked up cherries from the trees in a roadside of the avenue played in the snow in winter. There was a lot of joy and loud laughter, as the children are able to enjoy spontaneity with just anything. During my education the biggest trouble I had with History and Polish language because the language was strange for me. I could neither read nor write in Polish, the more speak. My colleagues called me Russian. The epithet I hated painfully, but patiently, especially since the East I had to use arguments to mocking of my nationalities united by blood with Poles. To the surprise of my opponents I got the best certificate of seventh grade . The Head considered it appropriate for me that since the new school year I should enroll in high school in Grodków. At the end of June (maybe at the beginning of July), he accompanied me during the entrance examinations, during which I felt constantly his friendly smile and handshake. Then we returned home, by bicycle, on the way he gave me sandwiches. I feel the taste even today. It was really a friend. The next day he announced that I was in high school. From that moment I realized that my little home is now here, in Silesia, mainly with a book in my hand, but then in my environment was not the fashion for learning.

Święta Katarzyna, 23rd December 2009

Ruiny zamku w Krzemieńcu

Przed gimnazjum krzemienieckim

Niszczejąca kamieniczka i odnowiony pomnik żołnierzy sowieckich z granatem. (fot. W. Gąsiewski 27 maj 2005 r.)

Włodzimierz Gąsiewski

REMINESCENCJE KRZEMIENIECKIE

Poezja i historia

Przed gimnazjum krzemienieckim stary zamek góruje
gród średniowiecznych słowiańskich Dulebów
relikt książąt ruskich i walecznego króla węgierskiego
zapora dla hord mongolskich Batu-hana
nieugięty Tatarom bastion księcia Halickiego

Zamek na dumnej Górze Bony
na pamiątkę przyjaźni litewsko-polskiej
gniazdo Wielkiego Księcia Witolda
i królowej co przyszła z Ziemi Włoskiej

W południowej i upalnej majowej ciszy
w krzemienieckiej sjeście szumią młode zielone liście
jak kiedyś skrzydła husarskiej kawalerii
jak świst kozackich szabel wojowniczego Krzywonosa
który na tej zielonej Ukrainie obrócił w ruinę
marzenia kresowego renesansu

Jednak to może Bona Sforza tchnęła ducha odrodzenia
które pozostało w kamieniach, murach i wieży
może to stamtąd przyszła myśl krzemienieckiej wszechnicy
i padło ziarno na kresową żyzną ziemię
nie tylko w stepowe trawy i dorodne pola
lecz również uduchowione myślą, nauką i poezją

Kiedyś stanąłem u stóp tego zielonego wzgórza
przed starodawnymi drzwiami gimnazjum
spojrzałem w nie i zapukałem, łudząc się,
a nuż może za nimi odpowie mi Słowacki
a może książe Czartoryski, może Kołłątaj, może Czacki...

Może znów zabrzmi polska mowa,
łacina, greka i niemiecki. Może hebrajski i rosyjski
wielu narodów krzemienieckich żyjących zgodnie od zarania
mimo zaboru i ucisku, carskich represji, oraz zsyłek
Potem raz jeszcze odrodzonych
w wolnej i niepodległej znów Polonii
aż przyszedł wrzesień, klęska, schyłek
a potem wiele lat agonii

Dziś przed gimnazjum Słowackiego
sowiecki sołdat granat trzyma
drugi z pepeszą gna do przodu
pomnik z betonu, pobielony
wprost na zamkowe idą wzgórze
zastygli w pozie, już bez życia,
obok klasztoru są ruiny
w kościele cerkiew
a w gimnazjum dziś kolegium
dla pedagogów
spadkobierczyni pól i kresów
dziś niepodległej Ukrainy

Krzemieniec 27 V 2005 r.

Ks. Józef Mandziuk

Postacie z dziejów Kościoła śląskiego w czasach nowożytnych (cz. IX)

CESARZ LEOPOLD I HABSBURG I DOMINACJA KATOLICYZMU ŚLĄSKIEGO

Po zakończeniu długiej i krwawej wojny 30-letniej na Śląsku rozpoczęła się wielka praca ewangelizacyjna, prowadząca do rekatolicyzacji. Była ona oparta o dwie przesłanki: polityczną – *cuius regio eius religio* oraz religijno-duszpasterską – wprowadzanie w życie dekretów reformacyjnych *Tridentinum*. Pokój westfalski z 1648 r. przypomniał tę zasadę tragiczną, nietolerancyjną, wypracowaną przez samych protestantów w 1555 r. w pokoju augsburskim. Służyła ona wówczas wielkiemu rozwojowi wyznań protestanckich, a jej pokłosie widoczne jest do dzisiaj w niektórych rejonach Niemiec. Bez przesady można powiedzieć, że doprowadziła ona do dominacji protestantyzmu w drugiej połowie XVI stulecia. Habsburgowie, upokorzeni przez katolicką Francję w wojnie 30-letniej, cały czas trwali przy katolicyzmie, a w protestantyzmie widzieli nie tylko wroga katolicyzmu, ale i samej władzy cesarskiej. Mając władzę w poszczególnych księstwach śląskich, świadomie korzystali z *ius reformandi*, umożliwiając wyznaniu katolickiemu dominację na ich terytoriach. W historiografii akcję tę nazwano kontrreformacją. Historycy o orientacji marksistowskiej reformację protestancką uważali za zjawisko postępowe, pozytywne, „nowoczesne", a pod nazwą kontrreformacji widzieli tylko zło, nietolerancję, „dragonów Lichtensteina". Należy z mocą podkreślić, że kontrreformacja, czyli wprowadzenie katolicyzmu, odnowionego przez prace Soboru Trydenckiego, przy pomocy „ramienia świeckiego", odbywała się przede wszystkim dzięki wypracowanej przez innowierców zasadzie czyja władza, tego religia. Tak działo się na Śląsku, podobnie też było w mniejszym lub większym stopniu w innych częściach chrześcijańskiej Europy.

Efektem tej zasady była tzw. redukcja kościołów, czyli przyjmowanie przez katolików świątyń dawniej im zabranych przez innowierców, a nawet wybudowanych przez nich. Prawie wszystkie kościoły protestanckie przeszły w ręce katolików, zostały odrestaurowane i dostosowane do potrzeb kultu katolickiego.

Do dominacji katolicyzmu przyczyniło się nowe duszpasterstwo i nowe duchowieństwo, kształcone i wychowywane w zakładanych seminariach duchownych. Dzięki Tridentinum nastąpił rozkwit życia synodalnego, choć ostatni synod w diecezji wrocławskiej odbył się w Nysie w 1653 r. Wprowadzono w życie obowiązek wizytacji kanonicznych parafii oraz wizytacji biskupów od limina Apostolorum. W wyniku pracy duszpasterskiej kleru parafialnego wyrastało nowe pokolenie ludu Bożego, który otrzymał wzór życia chrześcijańskiego. Każdy człowiek mógł dostrzec, że czas opamiętać się i zreformować najpierw samego siebie. Osoby odpowiedzialne za losy Kościoła zostały napełnione zbawiennym optymizmem, wewnętrzną pewnością siebie, nabrały odwagi kontynuowania obrony przed natarciem reformacji oraz zaangażowania się w odbudowę. Zrodziła się chęć odzyskania utraconych pozycji. Ci, którzy przepowiadali upadek „starego Kościoła" po prostu byli w błędzie. Zajaśniała jutrzenka, która zwiastowała nadejście wielkich promieni słońca katolicyzmu. I to była droga do dominacji.

Oznaką dominacji były osiągnięcia Kościoła śląskiego w dziedzinie szkolnictwa i wychowania na różnych szczeblach. Szkoła stała się znowu instytucją kościelną podległą biskupowi, który miał obowiązek jej wizytowania. Plebani mieli obowiązek popierania dzieci ubogich rodziców i ułatwiania im nauki. W drugiej połowie XVII w. aż 93% parafii biskupstwa wrocławskiego posiadało własne szkoły, będące pod opieką duchowieństwa. Nauczaniem w wiejskich szkołach parafialnych objętych było ponad 7 000 uczniów. W rozkwicie były szkoły miejskie: gimnazja i szkoły łacińskie, dalej szkoły kolegiackie, a przede wszystkim szkoły klasztorne, na czele z kolegiami jezuickimi.

Synowie św. Ignacego Loyoli wnieśli ogromny wkład w życie kulturalne Śląska. Szkoda, ze przybyli tutaj zbyt późno i musieli nadrabiać zaległości. Realizowali oni zasadę życiową: niech starzy pozostaną przy swoich przekonaniach, a my zdobywajmy młodych. Gdy w świątyni będzie młodzież, to przyjdą do niej również i starsi. Ojcowie bowiem pójdą za synami! Zakonnicy starali się uczyć młodzież tak, aby wraz z nauką „nabierała godnych chrześcijan obyczajów". Stąd nawet niektórzy protestanci posyłali swoich synów do szkół jezuickich, bowiem „obchodzono się w nich z dzieckiem zgodnie z jego naturą". Największą chlubę jezuitom śląskim przyniosło założenie uniwersytetu we Wrocławiu. Ta uczelnia z powodzeniem konkurowała z ówczesnymi uniwersytetami Czech, Niemiec i Rzeczpospolitej. Pokonawszy wiele sprzeciwów i trudności stała się kolumną Kościoła katolickiego na Śląsku i wielką podstawą dominacji katolicyzmu.

Przejawem dominacji śląskiego katolicyzmu była akcja charytatywna, związana z zakładaniem i prowadzeniem szpitali, ochronek, przytułków, domów starców, także i dla księży. Klasycznym przykładem dominacji katolicyzmu na ziemi śląskiej w zakresie opieki społecznej był szpital generalny w Nysie, wzniesiony przez biskupa Franciszka Ludwika Neuburga. Skupiały się w nim wszystkie lecznice i przytułki rozproszone w stolicy biskupiego księstwa nysko-otmuchowskiego.

Wyrazem zewnętrznym dominacji Kościoła katolickiego na Śląsku była sztuka barokowa, która w myśl Tridentinum miała zachwycać i wzruszać, pouczać, przekonywać oraz pobudzać do m modlitwy i pobożności. Do naszych czasów przetrwały wspaniałe świątynie i budowle klasztorne, a także liczne ruchome zabytki sztuki stylu „jezuickiego". W Krzeszowie cystersi wznieśli największy kościół barokowy w Środkowej Europie. W Lubiążu zbudowali największy klasztor w tej części Europy, który ciągle czeka na oddanie go do użytku po wieloletniej odbudowie. We Wrocławiu jezuici wznieśli barokowy kościół uniwersytecki, który był tak piękny, że nie powstydziłby się nim sam Rzym!

Nie ulega wątpliwości, że do dominacji katolicyzmu na Śląsku przyczyniła się współpraca cesarza Leopolda I Habsburga i biskupa Franciszka Ludwika Neuburga. Ich rządy trwały pół wieku i odznaczały się wielką troską o państwo i Kościół. Cesarz był człowiekiem pobożnym, specjalną troską otaczał biednych, był miłośnikiem i mecenasem sztuki, zwłaszcza muzyki, popierał rozwój nauki, tworząc nowe wyższe uczelnie w Wiedniu i we Wrocławiu.

BISKUP KAROL FERDYNAND WAZA

WOBEC PRZYNALEŻNOŚCI METROPOLITALNEJ WROCŁAWIA

Od 1000 roku biskupstwo wrocławskie wchodziło w skład metropolii gnieźnieńskiej. Biskupi wrocławscy brali udział osobiście lub przez zastępców w synodach prowincjonalnych, dopuszczali metropolitę do wizytacji diecezji, składali przysięgę posłuszeństwa, a niektórzy otrzymali sakrę z rąk arcybiskupa. W okresie burzy reformacyjnej więź Wrocławia z Gnieznem jeszcze bardziej wzmocniła się. W walce z innowierstwem zwłaszcza wrocławska kapituła katedralna odwoływała się do metropolity i szukała pomocy u króla polskiego Zygmunta I Starego. Biskupi śląscy starali się uczestniczyć w synodach prowincji gnieźnieńskiej, nieraz usprawiedliwiali swoją nieobecność i ogłaszali w diecezji postanowienia synodalne.

Jednak około 1560 r. ze strony Habsburgów pojawiły się w Rzymie pierwsze starania o wyłączenie Wrocławia spod jurysdykcji Gniezna. Usiłowania te zniweczyła zdecydowana akcja dyplomatyczna króla Zygmunta II Augusta i sprawa na kilkanaście lat ucichła. Biskup Marcin Gertsmann przyjął postanowienia synodu piotrkowskiego z 1577 r., dotyczące akceptacji uchwał Soboru Trydenckiego i ogłosił je we Wrocławiu. Dowodem łączności z metropolią było przyjęcie na początku XVII stulecia rytuału i patronatu polskiego do ksiąg liturgicznych na Śląsku. Wydarzenia pierwszych lat wojny 30-letniej jeszcze bardziej zbliżyły biskupstwo śląskie do metropolii. Biskup Karol Habsburg w obliczu katastrofy katolicyzmu na Śląsku i likwidacji rządów habsburskich zwrócił się o pomoc do swojego szwagra, króla polskiego Zygmunta III Wazy i do arcybiskupa gnieźnieńskiego Wawrzyńca Gembickiego. W listach do metropolity oddawał się pod jego opiekę i przypominał prawa zwierzchnie metropolii gnieźnieńskiej nad biskupstwem nadodrzańskim.

Sprawa egzempcji diecezji wrocławskiej została podniesiona z okazji wyboru młodocianego królewicza Karola Ferdynanda Wazy na biskupa śląskiego. Na tym wyborze bardzo zależało królowi Zygmuntowi III Wazie, który w wystawionym 5 V 1624 r. dokumencie spełnił żądanie wrocławskiej kapituły katedralnej, iż skłoni arcybiskupa gnieźnieńskiego do zrzeczenia się uprawnień metropolitalnych w stosunku do Wrocławia. Jednak metropolita Henryk Firlej i jego następca Jan Wężyk nie poszli po myśli króla i nadal wysyłali zaproszenia do udziału w synodach prowincjonalnych. Metropolita Wężyk skierował nawet w imieniu uczestników synodu warszawskiego z 1634 r. prośbę do papieża Urbana VIII, aby potwierdził przynależność Wrocławia do Gniezna. Papież rzeczywiście w specjalnym liście apostolskim spełnił prośbę metropolity, a bullą *Militantis Ecclesiae regimini* z 20 IX 1735 r. zatwierdził statuty synodu warszawskiego, w którym znalazł się artykuł o przynależności Wrocławia do prowincji gnieźnieńskiej. W takiej sytuacji biskup Karol Ferdynand 10 II 1637 r. złożył uroczyste oświadczenie w imieniu własnym i swoich następców, że „biskupstwo wrocławskie podlega arcybiskupowi gnieźnieńskiemu jako swojemu metropolicie".

Powyższe oświadczenie spowodowało wzmożenie wysiłków zniemczonej kapituły katedralnej w kierunku zniesienia zależności metropolitalnej od Gniezna. Został opracowany specjalny memoriał w tej sprawie do cesarza Ferdynanda III, w którym zostały wypunktowane przede wszystkim warunki polityczne, które umożliwiłyby oderwanie biskupstwa wrocławskiego od metropolii gnieźnieńskiej. Cesarz zażądał od kapituły bliższych danych na temat czasu i okoliczności zerwania więzi metropolitalnej z Gnieznem. Chciał w ten sposób zdobyć argumenty przeciwko władcy polskiemu, popierającemu metropolitów gnieźnieńskich. Całą sprawę przynależności metropolitalnej poruszył kanonik Jan Best 20 II 1641 r. na sejmie Rzeszy w Ratyzbonie. Powyższe usiłowania miały charakter wyłącznie polityczny. A przecież cała sprawa należała do Stolicy Apostolskiej, która odnośnie łączności Wrocławia z Gnieznem nie wydała żadnej decyzji. Jednak niektórzy badacze niemieccy uważają, ze po 1640 r. na mocy decyzji cesarskiej nastąpiła egzempcja diecezji śląskiej.

Ostatni zatarg wrocławskiej kapituły katedralnej z biskupem Karolem Ferdynandem Wazą o przynależność metropolitalną wynikł z powodu mającego nastąpić zatwierdzenia przez cesarza Ferdynanda III statutów synodu nyskiego z 1653 r. Kapituła w opracowanym memoriale do władcy sugerowała zastosowanie cesarskiego veta wobec przyjętych statutów

Monument Karola Ferdynanda Wazy w rodzinnym Wyszkowie na Mazowszu. Źródło: albumowyszkowie.blox.pl

synodalnych, które jej zdaniem były niezgodne z prawem powszechnym, ustawodawstwem świeckim i ze zwyczajami diecezji. W memoriale znalazł się obszerny traktat na temat egzempcji Wrocławia, a argumentacja kapituły szła w kierunku przedawnienia praw arcybiskupów gnieźnieńskich i zasiedzenia tego prawa przez diecezję wrocławską. I tym razem kanonicy wrocławscy usiłowali przenieść cały problem z terenu kościelnego na polityczny, szukając poparcia nie u papieża, lecz u cesarza.

W XVIII w. widoczna była egzempcja faktyczna diecezji wrocławskiej, chociaż prawne jej potwierdzenie nastąpiło dopiero w 1821 r. na mocy bulli papieża Piusa VII *De salute animarum.*

С.М. Паўля Волчэк, назарэтанка

Błogosławione siostry z Nowogródka - jubileusz

26 Lutego 2010

Siostra M. Kanuta

Dziesięć lat temu, w Rzymie, 5 marca 2000 r., Jan Paweł II wyniósł do grona Błogosławionych 11 Sióstr Nazaretanek z Nowogródka. Błogosławiony - to szczęśliwy, święty. Ojciec Święty nazwał je patronkami rodzin.

Siostry ofiarowały swoje życie za aresztowanych w 1943 r. ojców rodzin, którym groziło rozstrzelanie. Siostry prosiły Boga: «Mój BOŻE, jeżeli potrzebna jest ofiara z życia, niech raczej nas rozstrzelają, aniżeli tych, którzy mają rodziny...». ”

Bóg wysłuchał ich błagania. 31 lipca 1943 r. siostry zostały wezwane do gestapo. Tam zostały uwięzione i po spędzonej w więzieniu nocy wywiezione poza miasto i rozstrzelane o świcie 1 sierpnia 1943 r. Siostry zapłaciły swoją krwią za miłość świadczoną bliźnim w strasznych dniach okupacji, w dniach pełnych niepewności i trwogi. Po kilku dniach po ich śmierci mężczyźni zostali uwolnieni.

Jeżeli dziś zaczniemy czytać dokładnie życiorysy błogosławionych sióstr, to zauważymy, że Bóg przez całe życie każdą siostrę przygotowywał i dawał im różne znaki, by o świcie 1 sierpnia 1943 r. mogły one powiedzieć: «Fiat!» i rozradowane spotkać się ze swoim Oblubieńcem!

Rok minął długi od dnia pogrzebu i znów marcowe słońce nam płonie I srebrne krzyże biegną ku niebu biała Fara w blaskach znów tonie.

Maria Dobrzyńska-Karawajska

Najbardziej pełna tajemnic jest postać S. M. KANUTY - JÓZEFY CHROBOT. Urodziła się ona 22 maja 1896 r. w zachodniej części Polski, w Raczynie powiatu wieluńskiego. Już następnego dnia, 23 maja 1896 r., otrzymała chrzest w kościele parafialnym w Raczynie. Nie uczęszczała do szkoły: ojciec Józefy zajmował się rolnictwem i ciesielstwem, córka pomagała rodzicom w pracach gospodarskich i domowych.

Do Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu została przyjęta 21 kwietnia 1922 r. w Częstochowie.

Bóg w swoim wielkim miłosierdziu prowadził ją do męczeństwa nieco odmienną drogą, drogą szczególnego wybraństwa, włączonego w swoisty sposób w najgłębsze tajemnice. Pierwszy fakt zwracający naszą uwagę dotyczy życia Józefy niedługo przed wstąpieniem do Zgromadzenia. Urodziwą i miłego usposobienia córkę rodzice namawiali do małżeństwa, co nie wydaje się dziwne, gdyż o stanie zakonnym nigdy nie myślała, nie znała też zakonnic, ich sposobu życia. Sama Józefa, tak jak inne dziewczęta, myślała o założeniu rodziny. Wybrano więc zgodnie kandydata - syna sąsiadów, wyszły dwie zapowiedzi w kościele parafialnym i... nagle Józefa zmieniła zdanie.

Swoją decyzję uzasadniała, jak sądzili najbliżsi i otoczenie, mało dorzeczną argumentacją opartą na wewnętrznym przeczuciu, a przede wszystkim - co bulwersowało wszystkich - na jakimś śnie. Postanowienie było mocne, nie pomogły perswazje matki, gniew ojca, uzasadniona obraza narzeczonego i jego rodziny, wreszcie nagana samego ks. proboszcza i oburzenie okazywane przez wiejską społeczność. Skąd więc ten wielki upór, ta moc przetrwania bolesnego zerwania ze wszystkim, co jeszcze niedawno było najbliższe sercu, jedyne?

Najpierw pojawił się dziwny niepokój - zwierzała się siostrom już w nowicjacie przyszła męczennica. Wyszły wprawdzie dwie zapowiedzi, Stanisław - narzeczony - przypadł do gustu Józefie, ale czuła się «nieswojo». Gorąca, długotrwała modlitwa Józefy rozkwitła wreszcie nocą zwiastowania. Sen, który ją ogarnął, był tak inny, tak sugestywny. Zdawało się jej, że się modli klęcząc i słyszy silny męski głos: «Józefo, nie wychodź za mąż za Stanisława, bo twój Oblubieniec czeka na ciebie w Grodnie. Tam będzie twój ślub, a na prezent ślubny dostaniesz od Niego czerwoną sukienkę». Obudziła się natychmiast i zdawało się jej, że jeszcze słyszy ten głos. I tak się przejęła tym głosem o dziwnie przekonywującym brzmieniu, że powiedziała zaraz swej matce, że nie wyjdzie za mąż za Stanisława!

Powyższa sytuacja, jak i wyjątkowa, natychmiastowa gotowość Józefy, przywodzi na myśl postać jej nazaretańskiego Patrona Maryi czy Samuela, otwartych na głos Boży. Widzimy tu również pewną analogię do zdarzenia z życia św. Maksymiliana Kolbego, do jego proroczego snu, zapowiadającego męczeństwo i chwałę. Nieświadoma jeszcze do końca rozwijającej się w niej szczególnej łaski Bożej, Józefa - jakby intuicyjnie - zaczyna poszukiwać swojego miejsca w planach Stwórcy. Ze swą matką i grupą pielgrzymkową wyrusza niezwłocznie do Częstochowy, szukając wskazówek u Tej, która nigdy nie zawodzi.

W cudownej kaplicy zapłakana Józefa wpatrywała się w oblicze Maryi i błagała: «Matko Najświętsza, powiedz, co mam robić, bo nie wiem, czego żądał ode mnie ten Głos!» I wtedy usłyszała wyraźnie w swym sercu żądanie: «Wstąp do klasztoru!»

Zdarzenia potoczyły się błyskawicznie, momentalnie opuściła ją wszelka niepewność i lęk, była gotowa natychmiast spełnić życzenie Matki Bożej. Słowa «momentalnie», «natychmiast» zdradzają nie tylko czasową rozpiętość zdarzeń, lecz wymownie świadczą o mocy objawienia, przynoszącej całkowitą otwartość i gotowość spełnienia woli Bożej. Sytuacja Józefy swoją bezzwłocznością przypomina ewangeliczne powołanie uczniów. Decyzja o wyborze drogi życiowej zapada w ciągu jednej chwili - jak Maryjne «Fiat!» i od razu potwierdzona jest konkretnym działaniem Józefy. Rozejrzała się po kaplicy i spostrzegła dwie zakonnice, wychodzące właśnie stamtąd. Pobiegła szybko za nimi i zaraz w przedsionku zatrzymała je i powiedziała, że chce wstąpić do klasztoru. Zdziwione formą zgłoszenia zakonnice (były to dwie nazaretanki) zaprowadziły ją i matkę do naszego domu tuż przy Jasnej Górze. Czekając na przyjście matki przełożonej, Józefa powiedziała swojej matce o tym wewnętrznym głosie w duszy, który przyjęła jako odpowiedź Matki Bożej na jej niepewność, co ma dalej czynić, i matka też to przyjęła jako wolę Bożą. Historia jak z apokryfów wczesnochrześcijańskich, a jednak Bóg w kolejnych wydarzeniach wyraźnie potwierdzał swą namacalną ingerencję. Z notatek siostry Ezechieli dowiadujemy się, że matka Antonia Iwanowska «chętnie zgodziła się na przyjęcie kandydatki, której prośbę poparła obecna przy tym matka. Przełożona powiedziała o warunkach przyjęcia, a gdy te zostaną wypełnione, ...panienka odbędzie postulat

w jednym z naszych domów i pojedzie później do nowicjatu w Grodnie». Józia zadrżała. Grodno, a więc jest już coś, co potwierdza prawdziwość Głosu we śnie.

Bóg zaczyna spełniać swoje obietnice. Po postulacie odbytym w Częstochowie, pod macierzyńską opieką Tej, która wskazała jej drogę, Józefa wyjeżdża do Grodna, gdzie «czeka na nią Oblubieniec». Jakie myśli i uczucia budziły się w jej sercu, jakie oczekiwania? Zapewne była świadoma, że obietnica się spełnia. W Grodnie otrzymuje biały nowicjacki welonik i nowe imię - Maria Kanuta. Oblubieniec przyjął ją po królewsku, wszak jej patronem uczynił samego św. Kanuta, królewicza duńskiego - męczennika. Przyobleczona w dziewiczą niewinność, pod kloszem łaski, rozkwita nadzwyczaj szybko dla nieba. Siostry od razu zauważają jej oddanie Zgromadzeniu, jej wielką ofiarność i prawość. Dnia 16 lipca 1925 r., po dwu latach nowicjatu, siostra Kanuta składa pierwsze śluby. O tym, jak ciągle żywa jest dla niej zapowiedź Bożych darów, świadczą skrzętnie zanotowane słowa wypowiedziane w dniu pierwszej profesji: «Sen się sprawdził - ale niezupełnie. Gdzie jest prezent ślubny? Mam już Oblubieńca, ale gdzie jest czerwona sukienka?» Siostry tłumaczyły, że kolor sukienki oznaczał prawdopodobnie kolor miłości, z jaką wkładała czarny habit. Ale to tłumaczenie nie przekonywało jej. Czy było to tylko intuicyjne uświadomienie sobie, że czas Bożych obietnic jeszcze się nie spełnił, czy może już powoli Pan jej serca kształtował ją do przyjęcia królewskiej purpury?

Po pierwszych ślubach siostra Kanuta przebywa w Stryju i we Lwowie, posługując w kuchni, przy furcie, pomagając w pracach szewskich. W prawdziwie nazaretańskim ukryciu dojrzewa do ofiary. Opinie sióstr są jednoznaczne: «bardzo dobra, ceni i kocha Zgromadzenie i powołanie, pobożna, charakter prawy, obowiązkowa, wybiera dla siebie w pracy, co najcięższe i najtrudniejsze, cicha, spokojna, zdrowie ma liche, jednak nie zwraca na to uwagi». Ze zdrowiem rzeczywiście musiała mieć poważne kłopoty, jeśli taką adnotację zamieszczono także w spisie sióstr domu lwowskiego z 1930 roku Z powyższej charakterystyki wynika, że już wtedy, przed profesją wieczystą, siostra Kanuta żyła Bogiem, wychodząc niejako poza siebie. Zanurzyła się w obecności Tego, który objawił jej «szaloną» miłość - odwracającą bieg życia, unoszącą w nowe przestrzenie istnienia. Pamiętajmy jednak, że jej udziałem była także szara, pełna trudu codzienność ciężkiej pracy, zmaganie się z fizyczną słabością i cierpienie, nieodzowne na drodze do Królestwa.

Śluby wieczyste siostra Kanuta składa 22 lipca 1931 r. w Grodnie, przyjmując tajemnicę od Pana Jezusa w Ogrójcu. Wchodzi więc coraz głębiej w misterium zbawczego konania, miłosiernej ofiary. Zaraz po ślubach wyjeżdża do Nowogródka, gdzie kontynuuje pracę w kuchni. Przebywająca razem z nią jakiś czas siostra Veritas napisze: «Cechowała ją specjalna pracowitość: od rana do nocy niestrudzenie pracowała mimo swej słabości fizycznej; nie odpoczywała, nieraz cierpiała bardzo, jednak nie położyła się, ale niestrudzenie stała przy kuchni z miłości do Pana Jezusa. Naprawdę umiała zawsze dogodzić swymi smacznymi potrawami siostrom i gościom. Nie uskarżała się nigdy na nikogo i na nic. Gdy jej było ciężko, wówczas wpadała do kaplicy i nieraz ukradkiem łzę z oka otarła, a w wolnych chwilach od zajęć jak się ślicznie modliła. Gdy wybuchła wojna, codziennie do północy krzyżem w kaplicy leżała i błagała o miłosierdzie i o to, aby Królestwo Boże owładnęło całym światem». Dnia 1 sierpnia 1943 r., opromieniona pierwszymi blaskami jutrzenki, wyszła na spotkanie Oblubieńca. Zapewne wewnętrzny głos mówił jej, jak przed laty, że nadszedł czas obiecanej tajemnicy, że czas zaślubin zaplanowany przez Boga właśnie się spełnia...

W uroczystość św. Józefa - 19 marca 1945 r. - odbyła się ekshumacja. Nowogródzcy przyjaciele Męczennic upomnieli się o swoją ukochaną własność. Wymodlili śnieg i mróz, by móc saniami przewieźć grząskimi drogami z nowojelskiego lasu swe orędowniczki i wybawicielki. Spod śnieżystego całunu, przesyconego wonnościami sosnowego igliwia, wydobywali szczątki swych bohaterek, Panien Mądrych, zasiadających na uczcie Baranka.

Siostra Speranca Bortnowska, biorąca bezpośredni udział w tym wydarzeniu, zanotuje: «Najbardziej wzruszająca była postać siostry Kanuty. Prawdopodobnie została tylko ranna, więc przykucnęła na klęczkach w rogu mogiły i zastygła z rękami splecionymi na kolanach i głową schyloną w dół jakby w zamyśleniu, jakby w adoracji...» Ekshumacja odkryła rąbek owej tajemnicy, kryjącej zazdrośnie ostatnie chwile jej życia; zapewne, gdy piaszczysta ziemia coraz bardziej zasypywała leżące obok ciała sióstr, sącząca się z rany mocnym strumieniem krew przyozdabiała ją królewską purpurą na zaślubiny. Spoza czerwonych ogni objawiającego się słońca przybył Oblubieniec... I wypłukała szaty we krwi Baranka, łącząc się z Nim w mistycznym blasku chwały, by - jak wskazuje jej imię - srebrzystą bielą wejść do Królestwa.

Dziś do Nowogródka przyjeżdża sporo ludzi z różnych stron świata, aby u Błogosławionych Sióstr wypraszać potrzebne łaski dla swoich rodzin. Wspólnota Sióstr Nazaretanek w Nowogródku codziennie przedstawia różne intencje ludu wiernego swoim Błogosławionym Współsiostrom.

Kamień obelisk przed „Białą Farą" w Nowogródku wystawiony na pamiątkę męczeńskiej śmierci sióstr nazaretanek. Lipiec 2008 r. (fot. W. Gąsiewski)

Adam Szostak

Współczesny stan sztuki performance'u na Białorusi

Najnowsza przestrzeń kulturalna, oczywiście, powinna łączyć w sobie rozwój rozgałęzionych rodzajów sztuki, przestrzeń artystyczna współczesności jest bardzo rizomatyczna. To typ europejski przestrzeni artystycznej, w którym przynajmniej jeden ten sam człowiek może być kreatorem w różnych gałęziach, różnych rodzajach sztuki...

Na Białorusi jako zachodniej forpoczcie postradzieckiej ideologii, w latach 1990-tych odbywa się naturalne „przerwanie" sztuki aktualnej. Aktualnej, mianowicie nie „współczesnej", lecz „aktualnej" *(not even modern and not even contemporary but actual)*, t.j. *sztuki potrzebnej tu i dziś.* Sztuki, która z jednej strony przeciwstawiana jest sztuce masowej, z drugiej strony jest reprezentacją jej przejawów; sztuki, która z jednej strony jest potwierdzeniem konceptu autorskiego, z drugiej strony jest sztuką we współautorstwie z odbiorcą (widzem, słuchaczem, czytelnikiem etc.). Sztuki, która niweluje pierwiastek narodowy, z jednej strony i *sztuki ponadnarodowej*, bo tylko przez uświadamianie ogólnego można zrozumieć narodowy szereg kontentny...

Sztuka aktualna, która „przerywa się" na Białorusi po upadkach murów i kurtyn, sztuka, której się potrzebuje, naturalnie, spróbuje zostać ogólnoeuropejską. Ogólnoeuropejską na zasadzie *„ex pluribus unum".*

W latach 1990-tych liczni artyści zwracają się do łączenia rodzajów sztuki, stwarzając unikatowe instalacje, happeningi, performance'y. Przestrzeń wystawową uważa się nie za powierzchnię, lecz za aktywne miejsce akcji: wizualne przeistacza się w procesualne (obiekty artystyczne, performance'y).

Badacz rosyjski Walerij Sawczuk (Sankt Petersburg) mówi o „urodzeniu performance'u z ducha malarstwa" *(„Konwersja sztuki").* W przestrzeni białoruskiej raczej jest to formowanie tak ze strony malarstwa (tacy artyści, jak Aleś Puszkin, Ludmiła Rusawa, Wiktar Piatrou...), jak i ze strony literatury: performance'y stwarzali poeci Wiktar Żybul, Illa Sin, Juraś Barysiewicz..., Zmicier Wiszniou to jest „wielopostać": pisarz, wydawca, malarz, performer (co prawda, to ostatnie w przeszłości).

Preformance „Urodziny ciszy-1", Mińsk 2006

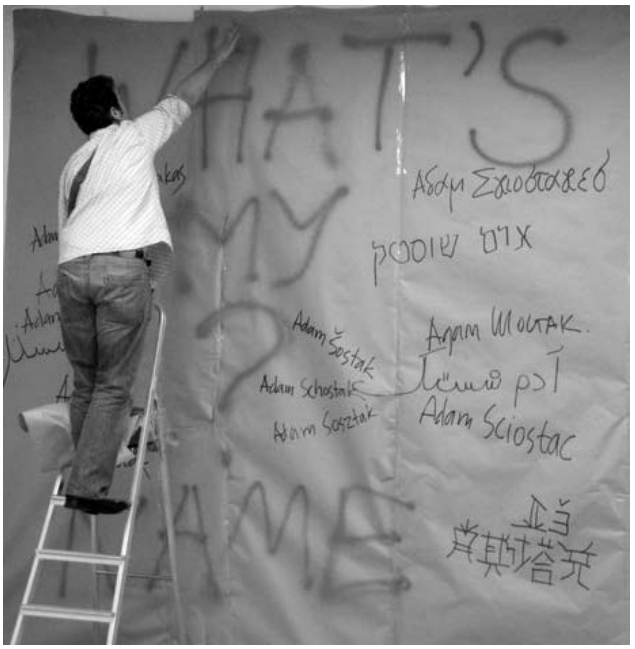

Ja osobiście zajmuję się performance'm poczynając od 2005 roku. Przedtem zajmowałem się literaturą, muzyką, teorią sztuki. Uczestniczę m.in. w festiwalu performnce'u „Navinki", który odbywa się w Mińsku co rok we wrześniu.

Jestem współzałożycielem i stałym uczestnikiem zespołu performance'owego „Ona-trzy-on" („Jana-try-jon" po białorusku).

Wśród moich prac są „Niedosiężny", „Surdoprzekład. Metro", „Urodziny ciszy", „Vox populi"... Niżej podaję opis tego ostatniego performance'u „Nazywam się..." („My name is...")

Identyfikacja osobowości rozpoczyna się w głębokim dzieciństwie z najbardziej prostych wyrazów: „mamo", „tatusiu", z uświadomienia własnego imienia, „pierwszego imienia" (first name), które ci się nadaje przy urodzeniu.

Swoje „drugie imię", nazwisko (last name) ty otrzymujesz w spuściźnie. Jednak przez ostatnie sto lat moje nazwisko zmieniano niejednokrotnie, wymawiano i transliterowano w różnych papierach oficjalnych w różnych okresach historii (krańce Imperium Rosyjskiego, Kresy Wschodnie...). Nawiasem mówiąc, istotę „first" i „last" imienia zmieniono każdemu z nas za Sowietów, gdy pierwszą rubryką zostało nazwisko, zaś imię – drugą.

...Nawet kiedy deportuje się twoje imię, twoja istota („bulba") wszystko jedno pozostaje. Bardziej złożona jest deportacja samej osobowości ze społecznego, narodowego, kulturalnego, językowego środowiska...

...„What is your name?..." – „My name is..." – są to zwroty banalne, bodajże najprostsze konstrukcje języka najbardziej globalnego, bez którego nie sposób egzystować we współczesnym świecie...

Ja stawiam pytanie: „What's my name?" – i odpowiadam w różnych językach, tych wszystkich, które zdążyłem znaleźć w okresie od narodzenia idei performance'u do jej realizacji: w języku angielskim, polskim, rosyjskim, włoskim, szwedzkim, czeskim, litewskim, węgierskim, perskim, chińskim, arabskim, hebrajskim i innych...

Dziękuję za tłumaczenia mojego imienia Aleksemu Odyńcowi, Tatianie Cwiatkowej, Aleksandrowi Łyczauce, Isaakowi Siegelsteuntzowi; oraz też Ninie Marhajewej i Wiktorowi Piatrouowi za wsparcie techniczne.

Adam Szostak
tłum. z białoruskiego A.Odyńca

Wieczór literacki, którego nigdy nie było...

On zawsze plątał dwa stołeczne muzea: Muzeum Historii Literatury Białoruskiej oraz Muzeum Literackie imienia Maksyma Bahdanowicza... Nic dziwnego: one znajdują się na jednej ulicy, mają w swym adresie liczbę nieparzystą, choć jeden wśród nich – z literką „a", bo trochę „ukryty" jest przed zgiełkiem ulicznym, oba znajdują się w jednym kwartale i, zrozumiałe, w samym centrum historycznym miasta.

Niegdyś przeczytałem w prasie (a możliwe, że gdzieś słyszałem), że ekologia wzdłuż ulicy Bahdanowicza to ta z najbardziej złych w stolicy. Przez otwarte okno, przez letni upał, przez dźwięki poezji eksperymentalnej do mnie dolatywały inne dźwięki – nie kończących się aut i trolejbusów... W nosie zaczynało nawet coś łaskotać... Przepraszam, szanowni, uczulenie na kurz!..

A z umownej sceny do mnie dolatują dźwięki. Dźwięki ulicznej poezji współczesnej...

i liryka, i socjalszczyna,
i śmietnik, niby wprost jama

A ty czekasz na mnie... Moja zbędna inteligencja nie pozwala mi wstać i wyjść z sali... Może mi nie pozwalają wyjść utwory literatów-prelengentów...

Najbardziej interesujące, że trafiłem tu niespodzianie, niemal przypadkowo, bo poplątałem dokładne miejsce akcji. A w sąsiednim muzeum tymczasem o wiele ciekawsza impreza!.. Przecież, ja całkiem nie jestem przekonany co do ostatniego...

Ja nie mogę wstać z krzesła i odejść, ale mi powtórnie się tego chce, do tego znajduję się niemal w ostatnim rzędzie tej „widowni". Łapię siebie na myśli, że nic mi nie przeszkadza odejść. Ale, pewnie, ja sam sobie przeszkadzam.

Przez otwarte szyby okienne obserwuję, jak trolejbusowi zleciały „rogi", jak czemuś nad wyraz długo i marudnie naprawia je zmieszana dziewczyna motornicza w pomarańczowej „speckamizelcy"...

i po prostu trolejbusu „rogi"
wszystkie zamknęły drogi

Chcę zbiec stąd... Dokądkolwiek. Owszem, nie do sąsiedniego muzeum, w żadnym przypadku... Owszem, chcę zbiec mianowicie do niej, do kochanej, która jak zazwyczaj czeka w tym czasie!..

Motornicza majsterkuje z „rogami", za zepsutym trolejbusem już kolejka z trzech, czterech „współbraci"... Tymczasem po rosyjsku czyta poetka skądś z daleka, wydaje się z Homla, ma włosy farbowane niemal na pomarańczowo; jej roztargnione spojrzenie chwyta niechcący moje i przesuwa się postępowo na ruch ulicy...

A ja powoli patrzę, jak kolejkę trolejbusów objeżdżają karetki pogotowia ratunkowego, które kierują się do gmachu Drugiego Szpitala Klinicznego, który po przekątnej widać z mego okna.

Adam Szostak z małżonką Julią Zabłocką

Prowadzący imprezę spostrzega moje – i nie tylko moje – pilne spojrzenie do akcji na ulicy i zamyka okno. Z przeciwległego boku audytorium słychać szept. Poetka schodzi ze sceny. Pierwszy trolejbus „wyrwał się z punktu" i powolnie podjechał do czerwonego sygnalizatora świetlnego...

Najbardziej wielką chęcią w tym momencie było spotkać ją. Ja zerwałem się z krzesła i błyskawicznie wybiegłem z sali. Ja biegłem dalej i dalej... Chciałem spotkać kogoś, choć jednego człowieka w stanie normalnym, bez tego kompletnego pomieszania zmysłów, nie dało się... Błądziłem bardzo długo, czas leciał: chwila po chwili, ja jeszcze bardziej spóźniałem się do niej. Powstawało wrażenie, że ja jestem jedynym człowiekiem, który nie zdołał znaleźć żadnego dokoła... Powstawało wrażenie, że ona nie idzie naprzeciw, a oddala się dalej i dalej, tylko usłyszawszy kroki moje... Nawet nie było słychać już stukotu jej obcasów: ona szła umyślnie nie po asfalcie, lech po trawniku...

– Wybacz, proszę bardzo, że ja nic nie zdołałem zrobić dzisiaj... Wybacz, proszę bardzo... Że ja nic nie zdołałem zrobić i nabyć, prócz natchnienia do nowych utworów, prócz zarysów w notesie na temat „Jak nie warto pisać"... Spróbowałem przynieść w prezencie natchnienie i dla ciebie, bo ty, zdaje się, fachowo interesowałaś się pewną „analizą estetyczną" sztuki współczesnej...

...Ale jej dzisiaj potrzebne były całkiem inne rzeczy. Ona wybaczyła... Niby tego wieczoru nigdy nie było...

Następnego dnia trzeba czytać wiersze w tym muzeum (czy w sąsiednim?). Ponieważ już nie mogę odmówić, ja dokładnie powiem przed swoim występem, nawet nie powiem, a natarczywie poproszę wyjść z sali wszystkich, na kogo w domu oczekują kochani. To jest tego warte...

Robert Czop - recenzje

Vesna Miculinić-Preśnjak „Światło w ciemności”

Wydaje się nieprawdopodobne, że w tej drobnej i drżącej kropli jest tak ogromna siła, która przynosząc nam szczęście, potrafi otulić i obronić przed przeciwnościami losu dorosłego człowieka, przeganiając wszelkie lęki, a także stając się balsamem dla zranionego ptaka:

To mewa bez skrzydła błaga
A dobra nimfa ją
Kroplą morską
Pieści

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, iż w tym przypadku mewa symbolizuje nasze ludzkie przeznaczenie, kiedy przed burzą wszelkich nieszczęść, poszukujemy ratunku u innych, licząc na ich dobre serca. Zaczynamy wierzyć w to, że cień tęsknoty i niepokojów powinien przegrać z blaskiem namiętności, nadziei i z cudem narodzin.

Oprócz morskiego ptaka pojawiają się też inne elementy związane z morzem jak fale, kotwica, perła, muszla, zatoka, wybrzeże czy latarnia morska, która staje się dla nas drogowskazem, abyśmy bezpiecznie zawinęli do portu ukojenia:

Kiedy zorza budzi
Zbocza ogarnia świt
Ty bądź latarnią morską
Moim morzem

Podmiot liryczny poszukuje kogoś, kto pozwoli wydobyć się z ciemności, stając się światłem, które nie pozwoli na to: „by słowa zamilkły/ I głos miłości we mnie”. Czy takiej przemiany może dokonać inny bliźni, czy też potrzebny do tego jest sam Bóg? Chwilami wydaje się, że mamy do czynienia z pięknem poezji miłosnej, która opowiada nam o związku z ukochanym mężczyzną i nie ma tutaj nic nadzwyczajnego, jednak z drugiej strony odnosimy wrażenie jakby oblubieńcem był sam Stwórca, a dokładnie Jezus Chrystus, o czym świadczyłyby te wersy: „nosisz mój krzyż”; „dotykałam zachód słońca/ Twojego raju? Jeszcze przed moimi narodzinami”; „Jesteś blisko mego ramienia/ A ja/ Owieczka twa mała”. Być może podałem tu zbyt ryzykowną interpretację, zwłaszcza, że w wierszu „Byłeś i jesteś” zostały wyjaśnione granice między Ojcem, który jest w Niebie, a postacią uwielbianą w omawianych przez nas wierszach:

Byłeś i jesteś
Dla mnie bogiem
.....
Byłeś bogiem
I Bóg to wie
.....
I bogiem moim
Jesteś
Gdziekolwiek jesteś

ale, mimo że bardzo stonowany, odczuwany jest ten ton, niemalże bałwochwalczy, skierowany ku tajemniczej postaci, do której się zwraca osoba mówiąca na stronach tego tomiku.

To bardzo miłe, kiedy zamykamy oczy i zanurzamy się w świat baśni o tym, czego tak bardzo pragniemy. W takich chwilach marzymy, aby ten stan nigdy się nie skończył i wówczas: „Mocno się trzymam/ Za krawędź snu”. Bo właśnie na krawędzi czy „Na zboczu snu/ Wcześniej niż/ Powieki się zamkną” pojawia się ta kraina, którą tak bardzo lubimy. Coś pośredniego miedzy jawą a głębokim snem:

I kiedy noc
Ubierze się w jedwab
Śnię w błękicie
Jak na palcach
Przychodzisz do mnie ty

Nasze rozważania chciałbym zamknąć wierszem „(Wstęp)”, który równie dobrze mógłby znaleźć się na końcu tej książki, podkreślając pewną prawdę o uciekającym przed nami bezpiecznym schronieniu, o którym wszyscy mówią, a tak naprawdę jeszcze nikt do niego nie dotarł. Wydawałoby się, że:

A do celu tylko mila
Widzę światłość w ciemności,
W bezpiecznym schronieniu

a tymczasem to, co wydawałoby się być na wyciągnięcie ręki, wciąż nam umyka. Pozostają jakby dwie możliwości: biec ciągle do przodu, licząc iż w którymś momencie dosięgniemy cel naszej drogi lub zatrzymać się, a wówczas cisza i ukojenie same do nas przyjdą. Wydaje się, iż podmiot liryczny zdecydował się na tę pierwszą możliwość, co sprawia, że cały czas dzielnie idzie ku swojemu obrazowi, który stworzył w swojej wyobraźni lub pamięta go ze snu, wierząc i mając nadzieję, iż dotrze do tego upragnionego miejsca, o którym wciąż marzy i śni. Siła tęsknoty, za tym wyobrażeniem jest tak silna, że nie zamierza się zatrzymać, wierząc, iż właśnie tam rozwinie się z ziarna prawdziwa miłość.

Trzeba tu jeszcze wspomnieć o ilustracjach Joanny Smoli oraz o projekcie okładki Kamila Krowickiej i Olgi Lalić-Krowickiej, które idealnie współgrają z utworami poetki urodzonej w Chorwacji.

Vesna Miculinić-Preśnjak, *Światło w ciemności*, przekład Olga Lalić-Krowicka, Krosno 2008, s. 64.

Franjo Franćić „Dwie tęcze”

Czy można dać kobiecie szczęście, miłość i bezpieczeństwo, skoro nie uporządkowaliśmy swojego świata? Czytając wiersze z wyżej wymienionego tomiku, odnosimy wrażenie, jakby główny bohater zadawał sobie to i wiele jeszcze innych pytań, na które nie potrafi dać ostatecznej odpowiedzi. Niepokoi go, a nawet przeraża wiele rzeczy, które sprawiają, że jakikolwiek związek z kobietą nie ma szansy na najmniejsze powodzenie, mimo że na początku może połączyć ich wzajemna fascynacja, gdyż za plecami zawsze będzie się czaił ten złowieszczy cień, który po pewnym czasie może zniszczyć wszystko to, co w ich związku najpiękniejsze:

Siedzieli na balkonie bez powodu
zakochani, poszukiwali się wiekami
.....
przytulone ciała
w jej oczach gwiazdy
.....
na lśniącym błękitnym niebie czar,
dwie tęcze w jedną złączone,
za jej plecami nóż

Bardzo trudno odnaleźć swoją lepszą stronę, a każda decyzja ma swoją cenę. Za uległość wobec kuszenia przez węża w Raju, wciąż ponosimy konsekwencję i po kilku życzliwych słowach nasze usta są pełne jadu żmii i sami stajemy się gadami, podstępnie pełzającymi, aby ukąsić swoją ukochaną czy ukochanego. Udowadniamy w ten sposób, że prowadzimy jakąś dziwną grę:

Szaleństwo miłości,
.....
Okrutna gra,
Skóra węża,
Miłości szaleństwo,
Nierozwiązane problemy,
Gorzki piołun,

Najburzliwszym okresem czasu dla podmiotu lirycznego jest pojawienie się w jego życiu Nataszy, która wprawdzie wnosi w jego dotychczasową egzystencję, z której nie jest zbytnio zachwycony, przyjemne chwile, gdy, uciekając przed samotnością, odnajduje coś niepowtarzalnego w bliskości drugiej osoby, to jednak i ta znajomość jest skażona kłamstwem, zdradą i chorobą, a przynajmniej jemu się tak wydaje. W związku z tym, iż nie potrafi sobie poradzić z rozwiązaniem tego węzła gordyjskiego, zaczyna przegrywać w walce o kolejną szansę wyrwania się ze swojej skorupy, by ostatecznie zobojętnieć:

powiedziałaś, że nasze chwile to mosty, żebym ci przyniósł słońce,
puste i napuchnięte słowa
.....
latami jeździłaś na herze,
spaliło ci pół mózgu,
przegryzłaś krzywdę, za całe zło miałaś tysiące żmij w ustach,
w twoich rękach zawsze był przygotowany nóż, lustro więc schowałaś,
możliwe, że nie potrafiłaś inaczej,
mnie też zwabiłaś do piekła,

Czy to znaczy, że nie dojrzał do związku? Sam przecież wyznaje, że zbyt późno nauczył się podstawowych rzeczy i nic nie wie o ludziach, szczęściu i miłości. Czy narkotyki zniszczyły ten związek? A może po prostu nie mógł unieść na swych zbyt wątłych barkach jej prośby o ratunek, kiedy dzwoniła do niego parę dni przed swoją śmiercią.

Poszukiwanie odpowiedzi na to i inne pytania pozostawiam czytelnikowi, by miał możliwość odkryć coś dla siebie.

———

Franjo Frančić, *Dwie tęcze*, z języka słoweńskiego przełożyła Olga Lalić-Krowicka, Krosno 2009,

Nie dzielmy Boga ani człowieka!

Wydawałoby się, że po tak wstrząsających doświadczeniach jakie przyniosły I i II wojna światowa, już nigdy nie powinno dojść do jakiegokolwiek konfliktu. A tymczasem Bałkany, mimo że i tych terenów nie oszczędziły wyżej wymienione kataklizmy, znów stały się miejscem nienawiści, gdzie niepotrzebnie przelano niewinną krew.

Zdawałoby się, iż pokolenie „porażonych wojną" i mówiących przez „zaciśnięte gardło", nie doczeka się chwili, kiedy młodzi ludzie znów będą powracać do tego ponurego, wciąż niestety pojawiającego się tematu, który już dawno powinien zostać zamknięty. Natomiast dzisiaj spotykamy się z sytuacją, że nie tylko pisze się wiersze o wojennej tragedii, ale powraca się w sposób pośredni i bezpośredni do twórczości poprzedników, odnajdując w wersach o ziemskim piekle z minionych lat swoje własne przeżycia, jak to ma, na przykład, miejsce w poezji Olgi Lalić-Krowickiej.

Autorka tomiku „Niepokoje Niepokoju" już na samym początku książki podkreśla, że cały zbiór dedykuje Iwie Adriciowi i Tadeuszowi Różewiczowi jej Mistrzom od Niepokojów. Ale także możemy dostrzec podobieństwa wiersza „Mama biegła niosąc brata" do „Pamiętnika z powstania warszawskiego" Mirona Białoszewskiego, a utwór „Rekwiem" do „Charakterów" Zofii Nałkowskiej.

Mimo że minęło tak wiele lat i powoli poranione społeczeństwo leczy rany, to jednak trudno zapomnieć o tym koszmarze, który wciąż powraca, domagając się kolejnych wypowiedzi –ostrzeżeń, by już nigdy więcej.

Bezsilność wobec zachodzących zjawisk, strach o własne oraz o życie innych, zmarnowane ludzkie istnienia i talenty, które mogły zostać wykorzystane do bardziej wzniosłych celów i niekończąca się tułaczka w obce strony, gdzie nie zawsze mamy szansę na zrozumienie i pomoc:

Szare miasto nie potrzebuje
uchodźców z Bałkanów.
Szare miasto ma swoich ubogich.

ukazują tę straszną i bolesną stronę tych, których skrzywdzono.

Po tym wszystkim pozostaje tylko świadomość ocalenia, ale nie mamy sił, by się z tego powodu cieszyć, choć szczęściem jest już to, iż nie trafiła nas kula („Szczęście"). Pojawia się także pragnienie pozostawienia przez innych w spokoju, gdyż nikt, kto tego nie przeżył, nie potrafi zrozumieć i właściwie pocieszyć. Pozostaje więc jedynie bardzo wymowne milczenie i zagłębianie się we własnych myślach, dopóki Bóg nas od tego nie wyzwoli. W tym wypadku religia staje się ukojeniem, ale także szansą na przetrwanie najgorszego czasu. I mimo że sami zapominamy o naszym Stwórcy i jesteśmy przekonani, iż On nas opuścił, to jednak po pewnym czasie dostrzegamy, że cały czas miał nas w swojej opiece:

Pociąg jechał
A ja zapomniałam
Włożyć ikonę do serca

W 2006 roku na prowincji Polski
Ikona otoczyła mnie mocą
Jej blask miał schronienie w Serbii
Odległość nie zna granic
Ikona którą zapomniałam
Włożyć do serca
Otworzyła okno do Boga

Ta sytuacja na Bałkanach, którą w swojej twórczości ukazuje Olga, przypomina mi przeszłość związaną z pograniczem polsko-ukraińskim, gdy nikt nie miał pretensji, że przedstawiciele obu narodowości przyjaźnią się ze sobą ani też nikt nie prześladował par mieszanych. Wspólnie obchodzono jedne i drugie święta z szacunkiem podchodząc do różnych obrządków. I dopiero polityka sprawiła, iż pojawiły się podziały i syn wystąpił przeciwko matce, a córka zbuntowała się przeciwko ojcu, a później już nikt nie pamiętał, kto zaczął, ponieważ wszyscy zaczęli ulegać sile nienawiści i pragnieniu odwetu. Zaślepieni gniewem postępowali jak opętani, mordując swoich najbliższych, a fali zbrodni nie widać było końca. Kiedy przyszło opamiętanie, ludzie byli przerażeni tym, co uczynili. A przecież poetka apeluje, by nie dzielić Boga ani człowieka, bo jeśli to zrobimy, to pozostanie nam jedynie wypalony granat w sercu, szloch mamy i taty oraz:

„Piękno wieczności spalone". Dlatego proszę nie dzielmy Boga ani człowieka, bo nie zmartwychwstaniemy, jak słusznie zauważa Tadeusz Różewicz w „Ludożercach".

———

Olga Lalić-Krowicka, *Niepokoje Niepokoju*, Krosno 2009, s. 40.

Borys Pasternak

SZOPEN

(przekład z rosyjskiego: Mirosław Grudzień)

Опять Шопен не ищет выгод,
Но, окрыляясь на лету,
Один прокладывает выход
Из вероятья в правоту.

A Szopen znów nie szuka zysków,
lecz skrzydła biorąc, w locie w dal
Tę jedną drogę wciąż przebija
Od „może być" do „tak być ma".

Задворки с выломанным лазом,
Хибарки с паклей по бортам.
Два клена в ряд, за третьим, разом
Соседней Рейтарской квартал.

Opłotki z wyłamaną dziurą;
Chałupki wbite w pakuł płaszcz;
Dwa klony tuż za trzecim, sznurem;
Sąsiedni rewir dalej masz…

Весь день внимают клены детям,
Когда ж мы ночью лампу жжем
И листья, как салфетки, метим,
Крошатся огненным дождем.

Dzień cały strzegą klony dzieci
I gdy w noc lampka błyska gdzieś
Znakując liście jak serwetki
Rozkrusza je ognisty deszcz

Тогда, насквозь проколобродив
Штыками белых пирамид,
В шатрах каштановых напротив
Из окон музыка гремит.

I gdy na wylot je przewierci
Białych piramid ostry sztych
W budkach z kasztanów, tam naprzeciw
Słyszysz? muzyka z okien grzmi

Гремит Шопен, из окон грянув,
А снизу, под его эффект
Прямя подсвечники каштанов,
На звезды смотрит прошлый век.

To bucha z okien ton Szopena
A z dołu - na ten czysty dźwięk
Wznosząc lichtarze kasztanowe
W gwiazdy zagląda przeszły wiek

Как бьют тогда в его сонате,
Качая маятник громад,
Часы разъездов и занятий,
И снов без смерти и фермат!

Jak biją w Szopena sonacie,
W gigant-wahadła takt i stuk
Zegary zajęć i rozjazdów
Bez śmierci, bez fermaty, znów

Итак, опять из-под акаций
Под экипажи парижан?
Опять бежать и спотыкаться,
Как жизни тряский дилижанс?

Zatem ponownie spod akacji
Popod paryskich koła bryk,
Jak życia trzęsąca się drynda
Wbiec, potknąć się i pomknąć w mig

Опять трубить, и гнать, и звякать,
И, мякоть в кровь поря, — опять
Рождать рыданье, но не плакать,
Не умирать, не умирать?

I dalej trąbić, gnać i dzwonić
Spruwając tkanki ciała w krew
Znów rodzić szloch, lecz łez nie ronić
I nie umierać, nie umie…!

Опять в сырую ночь в мальпосте
Проездом в гости из гостей
Подслушать пенье на погосте
Колес, и листьев, и костей.

I znów w powozie szorstką nocą
Gdzieś w gości jadąc, wieczny gość
Podsłuchać, jak wśród starych grobów
Śpiewają koła, liść - i kość.

В конце ж, как женщина, отпрянув
И чудом сдерживая прыть
Впотьмах приставших горлопанов,
Распятьем фортепьян застыть?

W końcu się żachnąć jak kobieta,
Gdy musi strzymać zgiełk i gwałt
Wrzeszczących w mroku nachalników…
- Uśpić fortepian w krzyża kształt?...

А век спустя, в самозащите
Задев за белые цветы,
Разбить о плиты общежитий
Плиту крылатой правоты.

Gdy minie wiek - w obronie własnej
I wlokąc białych kwiatów kiść
Rozbić o płyty codzienności
Swoje skrzydlate "tak ma być".

Опять? И, посвятив соцветьям
Рояля гулкий ритуал,
Всем девятнадцатым столетьем
Упасть на старый тротуар.

I znów? W ofierze dźwięcznej kwieciu
Składając fortepianu szloch
Całym stuleciem dziewiętnastym
Na stary chodnik runąć w proch.

Borys Pasternak (1890 -1960) – poeta i prozaik rosyjski, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1958.

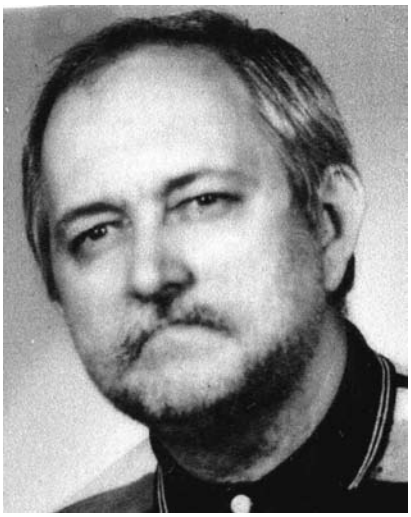

MIROSŁAW JAN GRUDZIEŃ

Urodzony dn. 7.12. 1951 r. w Starachowicach, dzieciństwo spędził w Sandomierzu i Kraśniku Fabrycznym, młode lata w Lublinie. W latach 70-tych studiował polonistykę na lubelskim UMCS i anglistykę na UJ w Krakowie. Od 30 lat jest tłumaczem przysięgłym języka angielskiego. Obecnie mieszka w Stalowej Woli, pędząc spokojny żywot rencisty zagrożonego postępującą głuchotą.

Przez wiele lat pobytu w Lublinie związany był z kręgiem ówczesnych młodych twórców lubelskich lat 70-tych, debiutował wierszem w lubelskiej Kamenie w 1972 r. Jego wiersze trafiły później do mikroantologii młodych poetów lubelskich, wydanych w 1981 roku: „GDZIE JABŁONIE SŁODKOPIENNE" oraz „OKO, ANIOŁ, KRZYK".

Podczas stanu wojennego pisywał ulotne wiersze polityczne, krążące w obiegu „z rąk do rąk", niektóre także do wydawnictw podziemnych, pod pseudonimem A.R.L. lub anonimowo (jeden z nich pt. Stała matka trafił do Śpiewnika wojny polsko-jaruzelskiej).

Miłośnik literatury krajów anglojęzycznych, przekładał na język polski poezje m.in. D. H. Lawrence'a i W. B. Yeatsa … ale także z języka rosyjskiego: A. Achmatowej i B. Pasternaka.

Po wielu dziesięcioleciach milczącej nieobecności powraca na scenę literacką, pisząc refleksyjne liryki wieku dojrzałego - kilka z nich tutaj zamieszczamy.

Szklanka

cierpliwa i łagodna
z godnością pełni funkcję
w kosmicznym ładzie

tylko czasami
gdy już nie może znieść
pęka zmarszczkami gniewu
dziewczynka
nagle zmieniona w staruchę

lecz bywa dzień
gdy szklanka potrafi ożyć
zaistnieć pełnią swego losu
brzmieć melodią niebiańskich sfer
naczynie wybrane i czyste

pod palcem pijaka
zataczającego
doskonałą krzywiznę okręgu
boski symbol corso e ricorso

(1979)

Z cyklu SPOTKANIA (2009)

tylko nic

dostała mieszkanie
puste i nagie in statu nascendi
bez cieni krzyków szeptów

szła zamyślona zbyt późno go spostrzegła
nadchodził nie patrząc cześć
powiedziała półgłosem jak tajemne hasło
tak długo cię nie było a ja
dostałam wreszcie mieszkanie
możemy je wypełnić dźwiękami
barwami zapachami

palcami nagle czułymi
trzymała guzik jego kurtki
gdy zauważyła obrączkę

odeszła
czując nadal
nieobecny kształt
guzika
w opustoszałych palcach

chiaroscuro

Mężczyzna z małym chłopcem wszedł do sklepu.

Stała odwrócona mając drzwi za plecami.
W mrocznym sklepie
jasny odblask z wąskiego okna pełgał po włosach
upiętych w węzeł spływał na ramiona i gubił się
w tajemniczych wzgórzach obietnicy.

Mężczyzna omiótł wzrokiem półki
wziął syna za rękę i wyszedł
mając w oczach słońce nad tamtą łąką
gdzie dwa oddechy spływały się w jedno.
Stała w mroku
odwrócona plecami
kamienna

pejzaż liryczny

Jesteś.

Piec.
Jabłko.
Światło i cień.

Mrok dudni.
Piec mruczy.
Ptaki śpią.

Za chwilę pójdę
twoją linią życia
jak drogą.

* * *

stoimy w pół kroku w bramie do której zabroniono wejścia
pośpiesznie wymieniamy drobne upominki między
jednym i drugim deszczem

słowa jak zwykle nie te i nie takie
o drukarzach wydawcach piwnych barach
tak naprawdę istotny jest tylko
twój naszyjnik dobrany do oczu

patrzę na zielone kulki wokół twojej szyi
zielone planetarne globy okrążające kołem swoją gwiazdę
a ja na jednym z nich maleńki mniejszy od pyłku
śniący sen o dwóch bliźniaczych źródłach zielonej wody

* * *

odchodziłaś świetlistym południem
odwróciłaś się podniosłaś dłoń
zniknęłaś za rogiem

chciałem dźwignąć stopę nagle ciężką
wyszedł sąsiad z psem
zawarczał ochryple przejeżdżający tir

twoja dłoń bieleje nadal w wieczornym półmroku
to czego pragnę i przed czym uciekam
kryje się w cieniach pamięci gdzie
ulica ciągle zalana słońcem

Mirosław Osowski

„Genius loci" Mieczysława Łypa

10 lipca 2009 r. w klubie „Zodiak" w Rzeszowie odbyło się spotkanie autorskie Mieczysława Łypa, poety, krytyka literackiego, a także – jak pisze o sobie - edytora i fotografika. Warto przypomnieć, że jest on członkiem rzeszowskiego Oddziału ZLP, a także aktywnym promotorem kultury i sztuki Podkarpacia, obecnie zaś pracuje również jako nauczyciel akademicki w Centrum „Polonus" Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Mieczysław Łyp jest autorem kilku zbiorów poetyckich, redaktorem i wydawcą serii „Poeci Podkarpacia" i „Krajobrazów". Warto przypomnieć, że poprzednio wydał tomik zatytułowany „Ars longa, vita brevis", teraz zaś w podobnej szacie graficznej - „Genius loci". Spotkanie w „Zodiaku" miało właśnie charakter promocyjny i wiązało się z wydaniem wspomnianej książki.

Książka Łypa nie jest zwyczajnym tomikiem poetyckim, jakich znajdziemy wiele w każdym, a także w rzeszowskim środowisku. Są w niej, co się rzadko spotyka, zdjęcia (Zatrzymane w kadrze), jakby robione dla albumu, gdyż autor tomiku – o czym dowiadujemy się z książki - ma status artysty fotografika. „Genius loci" zawiera również „Glossarium" z tekstami wypowiedzi, które mają charakter recenzji jego wierszy. Ich autorami są rzeszowscy naukowcy, poeci i krytycy – Zdzisława Górska, Małgorzata Janda, Teresa Paryna, Joanna Rusin. W książce znajdują się także tłumaczenia jego utworów m.in. na angielski, niemiecki, ukraiński i włoski, a także rosyjski, białoruski i rumuński, dokonanych głównie przez słuchaczy letniej szkoły języka polskiego Centrum „Polonus" Uniwersytetu Rzeszowskiego.

„Genius loci" – jak pisze Anna Niewolak-Krzywda, odwołując się do „Słownika mitów i tradycji" Władysława Kopalińskiego – „to zbiorowy duch opiekuńczy konkretnego miejsca, rodowodem z mitologii rzymskiej. W kulturze współczesnej kojarzy się z tym wszystkim, co decyduje o szczególności, oryginalności, czyni – w subiektywnym odbiorze i przeświadczeniu – konkretny punkt na mapie – miejscem magicznym. Takie właśnie miejsca (i ich wyjątkowość, urodę) odnajduje, a zarazem kreuje M. A. Łyp w najnowszym tomiku".

„Nowy tomik, w którym zebrano 25 tekstów – pisze dalej Anna Niewolak – stanowi swoiste itinerarium, dziennik – bliższych i dalszych podróży w poszukiwaniu (lub: odkrywaniu) owych „miejsc magicznych", cieszących się zgodnie z antyczną tradycją opieką ducha miejsca. Są one rozmaite, lokowane nie tylko w przestrzeni, także w czasie. Trasę tych pierwszych wyznaczają: układ poszczególnych utworów w książce oraz staranne adnotacje autora dotyczące miejsca, gdzie powstał wiersz lub jego zamysł i daty powstania. Te drugie, czyli wędrówki w czasie (subiektywnym i historycznym) to powroty w krainę dzieciństwa oraz wycieczki w przeszłość historyczną i kulturową.

Mieczysław A. Łyp jest poetą kultury, co więcej, jest miłośnikiem kultury. W swoich rozlicznych pasjach twórczych poszukuje ładu i harmonii pomiędzy naturą a człowiekiem. Dostrzega ich symptomy w twórczości, w kulturze. Poeta wykształcony na spuściźnie Norwida, doskonale wie, jak trudno „odpowiednie dać rzeczy słowo", stąd w jego utworach dostrzegamy uparte poszukiwanie kluczy do takiej „translacji". W sukurs poecie przychodzi pamięć, tradycja, świadomość własnej egzystencji: dzięki temu obraz poetycki staje się w odbiorze wielowymiarowy (por. cykl Obrazki bieszczadzkie)":

W Berehach
cisza śpiewa chorał
Nie umiem śpiewać a mój głos
Łemka Harasyma pasterskich Bojków
Ukraińcow mieszańców Mickiewiczów
Razem z Połoniną Wetlińską
Pnie się prosto do nieba

„Taki obraz – dodaje Anna Niewolak – buduje autor z opisu konkretnego miejsca. Jest on zwykle pełen barw i kształtów. Dzięki grze świateł, staje się dynamiczny, co uruchamia sferę asocjacji kulturowych bądź wspomnień osobistych, by w konkluzji dopełnić się refleksją nad upływem czasu, miejscem człowieka w naturze, historii, wielkiej i małej ojczyźnie".

Można jeszcze dodać, że jak niezwykła i wielobarwna jest książka M. A. Łypa, tak również podobnie barwna była jej promocja. Przybyli na nią do „Zodiaku" nie tylko jego przyjaciele, znajomi, współpracownicy, studenci uniwersytetu i zagraniczni goście - słuchacze Centrum „Polonus", ale także zespoły śpiewacze i muzyczne zajmujące się kultywowaniem tradycji ludowych i folkloru na Podkarpaciu: z Niebylca i Haczowej. A recytatorami byli m.in. pracownicy kultury z kilku zaprzyjaźnionych z poetą miast i gmin, a nawet burmistrz Błażowej, Stanisław Najda.

Mieczysław A. Łyp – „Genius loci", Rzeszów 2009.

IMPRESJE

Mieczysław Łyp – poeta, krytyk literacki, edytor i fotografik już po raz kolejny wydał interesującą pod względem edytorskim książkę - album „W krainie złotej muzyki. Impresje z Futomy".

Łyp jest absolwentem WSP w Rzeszowie i Studium Podyplomowego Psychologii Wojskowej w Warszawie. W latach 1990-93 prowadził Wojskową Galerię Malarstwa. Od 1993 r. redaguje rocznik „Krajobrazy", a od 2000 r. serię wydawniczą „Poeci Podkarpacia". Opublikował monografię „Literacka młodość Rzeszowa 1945-1990". Zredagował też „Almanach Jarmarku Poezji o Laur Prometeja". Wydał tomiki poezji: „Na ścieżkach pamięci" (2005), „Ars longa vita brevis" (2008), „Genius loci" (2009). Jest członkiem ZLP, współzałożycielem Towarzystwa Przyjaciół Rzeszowa, a także prezesem Stowarzyszenia Artystycznego „W Dolinie Wisłoka" i członkiem Stowarzyszenia Twórców Fotoklubu RP w Warszawie. Posiada tytuł artysty fotografika. Obecnie pracuje także jako nauczyciel akademicki Centrum „Polonus" Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Album składa się z kilku części: pierwszą – stanowi galeria muzyków, członków kapeli „Futomianie"; drugą – rys historyczny wsi Futoma, miejscowych zabytków i kapeli ludowej, a także wykaz jej nagród i dokonań w latach 1996-2009. Ta część zawiera również biogramy artystów, informację o Stowarzyszeniu Kultywowania Kultury i Tradycji Ziemi Futomskiej; trzecią – wiersze M. Łypa zatytułowane „Impresje z Futomy" i ich tłumaczenia na angielski - przez Łukasza Łypa, francuski - Stefana Błaszczyka, ukraiński - Irenę Czajkowską, turkmeński - Maję Amandurdyjewą; czwartą – recenzja Małgorzaty Jandy „Triumf poezji i muzyki". Na cykl „Impresje z Futomy" składa się 9 utworów. Tak pisze o nich M. Janda: „(...) bohater liryczny Mieczysława Łypa poszukuje ładu, ukojenia i dlatego zwraca się ku tajnikom sztuki. Kreuje ją potęgą swej wyobraźni. Już w pierwszych słowach wiersza autor konfrontuje własne wnętrze z realiami przyrody, bo oto do niego „przychodzą" antropomorfizowane „zioła z Brzeziny", rozchodnik od matki", czy „macierzanka

Z FUTOMY

z listów Anny". Muzyka natury, sugerowana przez nagromadzenie swoiście brzmiących spółgłosek, niesie równowagę duchową. Przyroda istnieje całą swą pełnią – stąd obecność animizacji i personifikacji. Natura jest rzeczywistością, która wywołuje różnorodne wrażenia – od obrazu lipcowej muzyki, poprzez urzekające walorem smakowym słodkie czarne trześnie, aż po plastycznie zobrazowaną grykę, jak śnieg białą, rodem z Mickiewiczowskiej epopei (na duchowe filiacje z księgami Pana Tadeusza wskazuje – rzecz oczywista – tytuł omawianego utworu Mieczysława Łypa)".

„Odwołania do twórczości romantycznej – pisze Janda - wydają się istotne ze względu na wywodzącą się od dziewiętnastowiecznych wieszczów koncepcję pokrewieństwa środków wyrazu, właściwych poszczególnym gałęziom artystycznym". „Romantyczne koncepcje okazały się bliskie autorowi „Impresji z Futomy" – pisze dalej recenzentka. - Stąd upodobanie poety do wzbogacania słowa elementami właściwymi sztuce muzycznej. Środkiem artystycznym, którego Mieczysław Łyp używa dla spotęgowania wrażenia, jest polifonia. Termin - o rodowodzie muzycznym – oznacza technikę kompozytorską, polegającą na równoczesnym prowadzeniu kilku linii melodycznych. Motywy poezji Mieczysława Łypa bywają przekazywane z jednego „głosu" do drugiego. W romantyzmie „najbardziej intymne porozumienia między artystami dokonywało się (...) na drogach correspondance des arts. Odnajdując te drogi, docieramy do samych korzeni romantycznej syntezy sztuk (...)". „Liryki cyklu „Impresje z Futomy" są zatem

Strona tytułowa publikacji

próbą stworzenia nastrojowości, korespondującej ze sztuką muzyczną". „Bywa, że słowo nie jest w stanie wyrazić głębi lirycznych doznań. Wtedy pojawia się niedopowiedziane, na swój sposób „puste" miejsca, pozbawione znaczeniowego dopełnienia. Zgodnie z ideą symbolistów, miejsca te „wizualnie oddzielają kolejne momenty myśli, tak jak są one oddzielone w procesie naszego życia psychicznego". „Poezja Mieczysława Łypa, w której znaczenie niosą poszczególne słowa, zestawione w nich głoski, rytm, intonacja, a nawet sugerowana cisza, czyni opisywaną rzeczywistość niemal namacalną. Ta poezja brzmi – skrzypcami, harmonią, kontrabasem, cymbałami – pisze w zakończeniu swej recenzji Małgorzata Janda. - Dzięki temu jest na wskroś autentyczna".

Uzupełniając uwagi recenzentki należy wspomnieć także o wielu nawiązaniach poetyckich do osób prezentowanych w albumie i na fotografiach. Można się także dopatrywać wielu odniesień intertekstualnych zarówno do poetów dawnych, jak i współczesnych, bliskich poecie. Album „W krainie złotej muzyki" – łączący dokument, fotografię artystyczną i poezję - stanowi ciekawy przykład pewnej syntezy, nieobcej współczesnej literaturze. Poeta hołduje stylowi kultury wysokiej i wyraźnemu parnasizmowi, pewnie w opinii młodych „zalatującym nieco myszką", czymś „staromodnym", ale biorąc pod uwagę pokolenie, do którego należy M. Łyp, nie jest to czymś odosobnionym czy wyjątkowym.

Książka jest wyjątkowo pięknie i starannie wydana, co się rzadko zdarza w wydawnictwach regionalnych. Mieczysław A. Łyp - W krainie złotej muzyki. Impresje z Futomy, Rzeszów 2010.

Mirosław Osowski

Stalowowolska nagroda

Gałązki Sosny

Po raz 9. przyznano nagrodę m. Stalowa Wola twórcom i działaczom kultury. Tym razem jej laureatami zostali Stanisław Sądej, tenor z Chóru Lasowiackiego i prof. Anna Sieradzka, autorka publikacji Muzeum Regionalnego poświęconej stylowi art deco w hutniczym mieście. Do tej ważnej w mieście nagrody nominowanych zostało 7 osób. W kategorii literatura: Anna Sieradzka, współautorka i redaktor naczelny książki „Szlakiem architektury art deco w Stalowej Woli" oraz Kazimierz Linda, autor tomiku „Dryf" i Andrzej Moskal za dokonania w zakresie twórczości literackiej. W kategorii wydarzenia kulturalne: Stanisław Sądej – za arie operetkowe w gali „Wielka sława to żart", wygrywając z pozostałymi nominowanymi, którymi byli: Mirosław Osowski – za dorobek twórczy i działania w dziedzinie popularyzacji miejscowej kultury i literatury, Wiesław Sady – za małą architekturę zapałczaną oraz dyr. Muzeum Regionalnego Lucyna Mizera – za „Noc muzeów", imprezę nawiązującą do czasów powstania miasta w latach 30. XX wieku.

„Gałązka Sosny" jest doroczną nagrodą przyznawaną od 2000 r. Początkowo była to nagroda literacka. Teraz przyznawana jest także osobom, zespołom, organizacjom i instytucjom wyróżniającym się w tworzeniu, upowszechnianiu i ochronie dóbr kultury, a które mają siedzibę lub działają na terenie Stalowej Woli.

Mirosław Osowski

Robert Czop

Tu w górach zbudujemy dom - Jerzy Harasymowicz wśród zielonych wzgórz

W historii Bieszczad, znajdujemy nazwiska najwybitniejszych twórców, którzy nie potrafili przejść obojętnie obok uroków, jakimi obdarowywała ich tutejsza przyroda.

Omawiane przez nas ziemie olśniewały tych wszystkich, którzy choć raz zawędrowali do tej krainy, jak na przykład: Józef Bliziński, Aleksander Fredro, Zygmunt Kaczkowski, Oskar Kolberg, Wincenty Pol, January Poźniak, Ryszard Wiktor Schramm, Janusz Szuber czy Mirosław Żuławski.

Do grona tych wielkich, należy także Jerzy Harasymowicz, dla którego w górach było wszystko to, co kochał, więc tworzył malownicze obrazy, gdzie Połonina Caryńska i Wetlińska stały na niebie *jak zaprzęg wołów w szronie*, a droga jest *miękka pod stopami jak jedwab.* Również zagajnik stał się żaglowcem kołyszącym się *na wiosennym rozlewisku*, a *Zakole Osławy / po kolana stoją w błękicie / jak żubry Bieszczady* . Niewątpliwie autor tych wersów bardziej sobie cenił piękno tego zakątka, niż urok miast: *Zawsze kiedy tam wracam / Siedzę na ławce z księżycem / I szumią brzóz kropidła / Dalekie miasta są niczem.* Zafascynowany tymi krajobrazami, rejestrował zjawiska, które go oczarowywały: *Kto wejdzie / Na tę górę / Wyciera ręce / W błękitny ręcznik / Zachwyceń.*

Porównania i metafory tego wybitnego poety uplastyczniają świat, który obserwował i przyczyniają się do tego, że przedstawione obrazy są łatwe do wyobrażenia. I choć czasem odnosimy wrażenie, jakbyśmy byli w bajkowej krainie, to nie możemy zapominać o tym, że i takie potrafią być te tereny, zniewalające miłośnika przyrody swoimi bukowymi puszczami oraz połoninami, ale także przeróżnymi strojami, w które przebierały się w różnych porach roku, zaskakując i zachwycając wrażliwą duszę piszącego. I właśnie to, w sposób mistrzowski, oddał w swojej twórczości Harasymowicz, starając się towarzyszyć Bieszczadom w radościach i smutkach, oddychając głęboko powietrzem wolności, którego mu tak bardzo brakowało w mieście. Pociąga go ta, nie skażona jeszcze cywilizacją, dzikość przemierzanych dróg, gdzie jedynym znakiem drogowym jest puchacz. Zatacza się pijany zapachem dzikich goździków i bratków i pada na piersi połonin. Nie przechodzi obojętnie obok świerszczy, ważki i trzmieli, a burza w lesie podpowiada mu temat na nowy wiersz. Także rzeka San zostanie obdarowana poezją, którą teraz możemy analizować, czytając omawiany przez nas zbiorek. Przyroda jakby czuła, że ma przed sobą wyczulonego na jej wdzięki artystę, więc się bardzo starała, aby jak najwdzięczniej pozować do poetyckich fotografii.

Zapatrzony w zjawiska, które go poruszają, odnajduje w swojej żonie – Marii bratnią duszę, potrafiącą razem z nim dzielić te niezapomniane wrażenia:

nie śpij przez liści wielki kapelusz spójrz
jaki mróz gwiazd i na dachu powój

Otaczające ich krajobrazy okazują im na każdym kroku swoją wdzięczność za to, że potrafią odkryć i docenić ich piękno. Dlatego te tereny starają się umilać im czas, sprawiając zaskakujące i niezapomniane niespodzianki w postaci kapeli świerszczy lub basów trzmieli, które przygrywają w czasie ich srebrnego wesela. Rozwija się mocna więź między zakochanymi w sobie małżonkami, a przyrodą. Odnosimy wrażenie, że osoba mówiąca w omawianych przez nas utworach, traktuje otaczające ją środowisko jak najbliższą rodzinę, gdzie nie ma pychy ani obłudy, a gdzie można znaleźć serdeczność i pociechę, kiedy to *Szumi nam dobrym słowem / Drzewo i pejzaż złoty*. Zakochany w Bieszczadach traktował siebie jako cząstkę, nierozerwalnie związaną z tym zakątkiem silnym węzłem, dlatego nie ukrywa, iż kiedy tu wraca to:

W górach jest wszystko co kocham
Wszystkie wiersze są w bukach
Zawsze kiedy tam wracam
Biorą mnie klony za wnuka

Bukowa puszcza, góry, jeziora, trzy łanie i połoniny stały się poetyckimi bohaterami Harasymowicza, gdzie między bogactwem przyrody jeszcze bardziej promieniowała królewskim blaskiem miłość do ukochanej kobiety.

Ale nie tylko przyroda zachwyca poetę, gdyż dzieli się z nami swoim zauroczeniem kulturą mieszkańców, zamieszkujących te tereny do momentu wysiedlenia: *Bojków / muzyka (...)/ Ludzie / spletli się ramionami / z górami tańczą.* Staje się również miłośnikiem architektury i nie ukrywa swojego zauroczenia spotkanymi cerkiewkami. Ubolewa jedynie nad niepowetowaną stratą tego, co w sposób bezmyślny zostało zniszczone od 1945 roku: *Okna cerkwi w białej / Lamówce zbawień (...) / Bani złotej / Bęben ogromny, Nieruchomi święci / jak który padł / tak leży.*

Pochylał się nad cierpieniem tej ziemi i nie ukrywał swojego wielkiego żalu, że tak bardzo krwawiły te strony. Jak bardzo były mu przykre widoki pozostawionych ruin cerkwi i cmentarzy, mówią o tym zamieszczone w tej książce między innymi wiersze: *„Bieszczady – Bystre", „Hoszów", „Rzepedź", „Komańcza" czy „Ruiny cerkwi" i inne.*

Kolej rzeczy nie pozwala nam tutaj zostać na zawsze i kiedyś będziemy musieli stąd odejść. Taką konieczność bierze pod uwagę autor tych niezwykłych utworów, zdając sobie sprawę, że jego serce jest coraz słabsze, dlatego pragnie, aby nawet wtedy, kiedy przestanie bić, pozwolono mu zostać wśród tych zielonych wzgórz na zawsze:

Kiedy jak buki na mróz serce mi pęknie
połóżcie mnie na wóz z widokiem na Bieszczady
na wielki pożar gór na wielką jesień
którą sam roznieciłem pisaniem

Podmiot liryczny pragnie, aby i jego kiedyś poniosły *Buki pradziady moje* i żeby zaproszono *Rawki jak siostry / I Połoninę Caryńską.* Ten majestatyczny pochód nawiązuje z jednej strony do dobrze nam znanego utworu Norwida „Bema Pamięci żałobny – rapsod", w którym poeta domaga się uczczenia pamięci wielkich ludzi. Z drugiej natomiast strony została podkreślona w szczególny sposób ta wyjątkowa jedność duchowa z tą częścią kraju, kiedy: *Nad niebo nad Bieszczadem / Dusza jak sokół się wzbije.* Pisząc te słowa, zapewne nawet nie przypuszczał, jak bardzo były one prorocze.

Niewątpliwie Janusz Szuber trafnie określił pozycję Jerzego Harasymowicza na tych terenach: *Dobrze się stało, że Bieszczady nieposiadające dotąd swego literackiego patrona,*

pozyskują go w osobie znakomitego poety Jerzego Harasymowicza. Widzieliśmy się w Sanoku na trzy tygodnie przed jego śmiercią. Nieuprzedzonym okiem widać było, że Jerzy umiera, wrastając równocześnie biologią gasnącego ciała w tutejszą naturę, jej włókna, komórki, stają się jej organiczną cząstką: Harasym-Broniuszyc, nowy gatunek wpisany do bieszczadzkiego zielnika.

Sam Jerzy Harasymowicz nie ukrywał, że: *Bieszczady są królestwem przestrzeni i zawsze wydawało mi się, że jest to kraina, gdzie moja poezja czuje się najlepiej i gdzie moje wiersze pokrywają się zielonymi listkami*, a jednak i on nie ukrywa, że obawia się, iż jego ślad może zaginąć i nikt o nim więcej nie wspomni. Może nie mówi tego wprost, ale za woalem nadziei, że nie umrze wszystek, kryje się niepokój, podsycany obserwacjami z wędrówek po lesie:

W puszczy widać najlepiej
że tego samego dnia
kiedy rozpadniemy się
jak stare drzewo
tego samego dnia zaczną zarastać
nasze ślady

Od dłuższego już czasu myśli się o tym, aby wybudować dom twórczy, poświęcony tak wybitnej osobie, gdzie mogliby się spotykać artyści związani z tą krainą, ale czy właśnie o taki dom chodziło poecie? Można przypuszczać, że Jerzy Harasymowicz myślał o „domu", który nie byłby ograniczony jakimikolwiek ścianami, ponieważ wówczas straciłby to, co właśnie w nim jest najcenniejsze – piękno krajobrazu i historię. Już chociażby spis materiałów w wierszu „Burzliwa pogoda", z których ma zostać wybudowana ta budowla, uświadamia nam, że nie o zwykły dom tu chodzi: *Tu w górach / zbudujemy dom (...) / Materiał zwieziony / sztaby gromów (...) / Pod fundamenty domu / niebo z chmur.*

Kończąc nasze rozważania o miłości poety do tego miejsca, przytoczmy tutaj słowa Marii Harasymowicz, które odkrywają najważniejszy cel poezji jej męża: *Opisując urodę Bieszczad nie układał przewodnika turystycznego. Pragnął, żeby w kontakcie z pięknem gór czytelnik odkrywał samego siebie.*

Jerzy Harasymowicz, *Bieszczady,* Wydawnictwo BOSZ, Olszanica 2003.

Edward Guziakiewicz
w Podkarpackiej Izbie Poetów

Z polotem, wszystkie swoje dokonania na niwie literatury, przedstawił Edward Guziakiewicz w trakcie spotkania 21 stycznia 2010 r., jakie odbyło się w Klubie „Turkus" Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie (wersja komfort – po remoncie generalnym!) w ramach Podkarpackiej Izby Poetów, prezentującej od wielu lat dokonania twórców naszego regionu.

Spotkanie rozpoczęło się od tradycyjnego powitania gospodarza Izby Czesława Drąga. Powitał on Edwarda Guziakiewicza i wszystkich dostojnych gości: członków Związku Literatów Polskich – Oddział Rzeszów na czele z panią prezes Martą Pelinko (m.in. Jerzego Nawrockiego, Ninę Ataman – Gąsiewicz, Adama Decowskiego, Bogusława Kotulę i Ryszarda Kulmana), rzeszowską poetkę Dorotę Kwokę, słowackiego poetę Radowana Brenkusa, dr Marię i dr Edwarda Ożogów z Uniwersytetu Rzeszowskiego, kierownika Klubu „Karton" Rzeszowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej Józefa Tadlę, przedstawicieli mediów rzeszowskich (wśród nich red. Ryszarda Zatorskiego z „Naszego – Domu Rzeszów", członków Grupy Literackiej „Słowo" z Mielca (obecni byli: Zbigniew Michalski, Mieczysław Działowski i Piotr Durak) na czele z dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Mielcu Marią Błażków, kleryków Wyższego Seminarium Duchownego w Rzeszowie i wielu miłośników literatury.

Witając gości Czesław Drąg pokrótce przedstawił dokonania Edwarda Guziakiewicza, absolwenta teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, prozaika, dziennikarza, pasjonata Internetu, laureata „Złotego Pióra"- nagrody rzeszowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich za rok 2009, którą otrzymał za powieść „Zdrada strażnika planety".

Wkrótce potem rozpoczęła się, jedyna w swoim rodzaju, publiczna spowiedź gospodarza wieczoru członka Związku Literatów Polskich i Grupy Literackiej „Słowo" przy Towarzystwie Miłośników Ziemi Mieleckiej im. Władysława Szafera w Mielcu. Podzielił on swoją spowiedź na panele tematyczne, w których dominowały kolejno wypowiedzi dotyczące publikacji dla dzieci, młodzieży i osób starszych (fantastyka). W czasie pierwszej przerwy w spowiedzi animator kulturalny z Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie

Edward Guziakiewicz (fot. W. Gąsiewski)

Danuta Pado przedstawiła fragmenty utworów Edwarda Guziakiewicza. Znalazły się pośród nich także wiersze dla dzieci, chociaż sam autor podkreśla, że nie czuje się poetą to znalazł się pośród uznanych twórców w... antologii poezji dziecięcej. Ma on w swoim dorobku także dramat w slangu „Szukanie Boga". W swojej wypowiedzi podkreślał, że swoje doświadczenia w pracy z dziećmi i młodzieżą zdobywał na oazach w Krościenku, a także przez podglądanie zwyczajów młodzieży w... sieci. Zaprosił także wszystkich obecnych do odwiedzania swoich serwisów w sieci, wraz z głównym www.guziakiewicz.pl, których jest blisko czterdzieści. W czasie drugiej przerwy gościnnie wystąpiła Agnieszka Ryś, testując niejako nagłośnienie klubu „Turkus": występ młodej radomyślanki bardzo przypadł do gustu wszystkim zgromadzonym. Świadczyły o tym dobitnie oklaski, jakie otrzymała młoda uzdolniona solistka!

W trzeciej części spowiedzi bylimy świadkami ciekawych dialogów na tematy zgoła filozoficzne i teologiczne. Wzięli w nich udział Edward Guziakiewicz i Jerzy Nawrocki, Ryszard Kulman, dr Maria i dr Edward Ożogowie, Adam Decowski, a także klerycy Wyższego Seminarium Duchownego w Rzeszowie. Poruszano tematy pokrewne literaturze, poprzez spojrzenie absolwenta teologii Edwarda Guziakiweicza, a nierozerwalnie związane z istotnymi problemami człowieka. Półtoragodzinne spotkanie zakończyły zwyczajowe gratulacje i podziękowania jakie otrzymał gospodarz wieczoru.

Zbigniew Michalski

Dominika Gil

Uczennica klasy II Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowem, mieszka w Kamieniu-Podlesiu, ale gimnazjum kończyła w miejscowości Cholewiana Góra. W roku 2009 była laureatką trzech ogólnopolskich konkursów: zdobyła wyróżnienie XIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Adama Mickiewicza w Słupsku, została laureatką IV Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Poetyckiej im. Jacka Kaczmarskiego „Rytmy nieskończoności" w Warszawie oraz jest zdobywczynią III miejsca (II wyróżnienia) w V Ogólnopolskim i Polonijnym Turnieju Poetyckim o „Srebrne Pióro" Prezydenta Miasta Mielca. W roku 2010 zdobyła wyróżnienie XVI Międzynarodowych Spotkań Poetów „Wrzeciono 2010" w Nowej Sarzynie-Leżajsku oraz została laureatką V edycji „Rytmów nieskończoności" w Warszawie.

Miłość – najważniejsze powołanie

niech miłość ma będzie
jak Westerplatte którego chcę bronić
walecznie z odwagą stanąć naprzeciw
niesprawiedliwej śmierci

chcę otwierać kneble na głosach ludzkich sumień
zamazywać numery hańby na przedramieniu
i czuć że miłość przezwycięża to wszystko co złe

niech ludzką siłą
na zawsze
wbrew wszystkiemu
zostanie – miłość

Nadzieja – Jezu ufam Tobie
zamykam oczy
zawiązując je delikatnie jedwabną chustą

czekam na Ciebie Jezu
z pokorą czekam aż wstaniesz
weźmiesz za rękę
i wskażesz drogę po której mam stąpać

bez ciebie wszystko nie daje oddychać –
dusi

stojąc nad przepaścią
nadal czekam...

i ufam, wcale nie mniej

Szukanie

odkryj swój kawałek nieba
i przybliż go do ziemi
tak jak filigranowy człowieczek
dosłyszalny tylko wraz z echem
spełń to – o czym marzysz,
nakarm ptaka w klatce
i nie mając gdzie iść kopnij piekło

tak jak ślepiec baw się w ciuciubabkę
mądrego nonsensu

Karolina Kaleta

Mieszka w Jeżowem i jest uczennicą klasy IIIa tamtejszego Liceum Ogólnokształcącego. Swoje wiersze publikowała w gazetce szkolnej „Post Scriptum", za debiut prasowy należy uznać ukazanie się jej wiersza i notki o niej w stalowowolskiej „Sztafecie". Zdobyła wyróżnienie XV Międzynarodowych Spotkań Poetów „Wrzeciono 2009" w Nowej Sarzynie i wyróżnienie honorowe „Wrzeciona 2010".

To, co nieuniknione...

Przyszła do niej za wcześnie.
Zabrała i otuliła liliowym puchem.
Nigdy nie wypuści ze swych
czarnych nici.
Wpadła w sieć pajęczyn.
Próbuje, stara się wyplątać, lecz
nie może.

Wie, że nigdy się nie uwolni.
Jej młodość przetrwała wszystkie
Burze. Jej dusza krzyczy,
pragnie wolności.

Minęły lata, ona dalej
leży w ciemnobrązowej
trumnie. Leży bez ruchu.
Jej wielkie serce przestało bić.
Czarne, długie włosy złożone
są na białej, puchowej,
niczym białe płatki śniegu
poduszce.

Wszystko jest idealnie ułożone.
Całe ciało ani mrugnie ruchem.
Twarz taka blada, powiewa
zimnym chłodem.

Zasnęła na zawsze i nigdy
ani nikt jej nie obudzi.
Błądzi w tunelu śmierci
przykuta łańcuchem, ciągnie
za sobą ciężar wspomnień
złych i dobrych.
Dąży do światła...

Sens

zabrakło światła
nadzieja odeszła
słońce utraciło blask
wyblakł świt

niekontrolowane słowa
tysiące tłumionych myśli
skamieniałe serce

zgasł płomień
wypełniający pustkę
gdzie jest cel
jak szukać by
trwać dalej w męce

czy ktoś wie po co
żyjemy
czy po zapadnięciu kurtyny
przedstawienie
musi trwać

Karolina Szewczyk

Uczennica klasy Ia Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowem. Mieszka w Zalesiu. Zdobyła wyróżnienie XVI Międzynarodowych Spotkań Poetów „Wrzeciono 2010" w Nowej Sarzynie-Leżajsku i została laureatką V Przeglądu Twórczości Poetyckiej „Rytmy nieskończoności" w Warszawie.

Sztuka przemijania

na kartce zapisanej łzami
czarne litery w żałobie
nieświadome przemocy zabijają przyszłość
przekreślone wspomnieniami milkną
przytłoczone grozą pustki
tak bliskie i obce

z odległych dni wczorajszych gdy wszystko było inaczej
wciąż za młodzi na cierpienie
bezsilni wobec starzejących się serc
uczymy się przemijać
niepotrzebnie

Ku bramie zapomnienia

płynę poprzez czas do bramy zapomnienia
pogrążyć się w słodkiej nieświadomości życia
uleczyć myśli uciszyć pragnienie
Miłość puka do drzwi których nie umiem otworzyć
śpiewa do mnie o szczęściu które przeminie
obłąkane z tęsknoty serce nadaremnie usiłuje znudzić śpiące ciało
upajający zapach róż cierniowej korony wzywa
nieco inna melodia otumania zmysły
spoglądam przez okno i widzę
jak blaskiem smutnych oczu
tłumaczy bezsensowność

POEZJA I MODA

W sobotni wieczór 20 marca br. mieszkańcy Mielca mieli do wyboru dwie imprezy artystyczne. Pierwszą z nich było zorganizowane przez mielecką Grupę Poetycką „Słowo" działającą przy TMZM w Mielcu, z okazji Światowego Dnia Poezji spotkanie autorskie z Kazimierzem Lindą poetą i prezesem Stowarzyszenia Literackiego „Witryna" ze Stalowej Woli. Spotkanie to odbyło się w Miejskiej Bibliotece Publicznej i ozdobione było mini koncertem akordeonowym oraz recytacjami wierszy.

Alternatywą dla kameralnej poezji był bodajże pierwszy w Mielcu pokaz mody, zorganizowany i reżyserowany przez Ilonę Jankowską, modelkę z Mielca, który odbył się w sali widowiskowej mieleckiego Domu Kultury.

W wieczorze poezji wzięło udział ok. 20 osób, w pokazie mody co najmniej 10 razy więcej, choć obie imprezy należy zaliczyć do udanych. A może by tak kiedyś tytułem eksperymentu połączyć poetycki nastrój z pięknem kreacji i prezentujących je modelek i modeli.

W. Gąsiewski

* * *

chwytam dzień
dla brylantów rosy
i złotych nitek słońca
w źrenicach
chwytam dzień
dla ciepła południa
i kwiatów motyli
chwytam dzień
dla szarości zmierzchu
i cichnącego gwaru
chwytam dzień
dla spokoju snu
i oczekiwania
na następny

Kazimierz Linda, *Dryf*. Stalowa Wola 2008.

Na zdjęciach, od prawej: modelka podczas pokazu mody, u dołu od lewej: Kazimierz Linda oraz Stach Ożóg i Dorota Kwoka z Rzeszowa podczas recytacji wierszy (fot. W. Gąsiewski)

Mieczysław Kuriański

FELIKS KONECZNY

(1862 – 1949)

O PRAWACH DZIEJOWYCH (4)

Wstęp

Feliks Koneczny w swoich rozważaniach historiozoficznych stwierdził, że jeżeli w świecie zachodzi jakiś porządek, to muszą istnieć pewne prawa. Również i w historii. Z badań historycznych daje się wysnuć szereg praw i prawideł, decydujących o szczegółach życia zbiorowego. Uczonemu chodziło jednak o takie prawa, które rozstrzygają o ładzie historycznym po wszystkie czasy i u wszystkich populacji naszego globu, o prawa – fundamentalne. Wobec tego czymże będzie historia? W prostej konsekwencji będzie nauką o cywilizacjach i stosunkach panujących między nimi. Te z kolei podlegają sześciu zasadniczym prawom: współmierności (*compatibilitas),* ekspansji (*expansio),* nierówności *(inaequalitas*), niemożliwości syntez *(non – syntheses),* szkodliwości mieszanek *(toxicum miscelarum*) i przewagi niższości *(praestantia inferioritatis*).[1] Najwyższe prawo praw brzmi: „Nie można być cywilizowanym jednocześnie na dwa sposoby."[2]

Skoro nauka o cywilizacjach – według F. Konecznego – stała się nowym ujęciem historii, ponadto dotarła do wykrycia praw dziejowych, na wzór dyscyplin przyrodniczych; tym samym upadły wszelakie wątpliwości co do jej wartości naukowej. Notabene w ujęciu przedstawicieli *„of science",* nauką jest tylko to, co prowadzi do wykrycia praw. Zatem profesor wileński sprostał wymogom stawianym przez przyrodników, którzy swoimi poglądami zdominowali dziewiętnastowieczne myślenie, zwłaszcza za sprawą teorii K. Darwina i filozofii materialistycznej K. Marksa i F. Engelsa. W dużej mierze dzięki niemu historii został przywrócony należny prestiż.

Znajomość praw dziejowych jest niezbędna do racjonalnego postępowania ludzkich zrzeszeń, pozwala im unikać błądzenia i zużywania na darmo energii. „Chcąc opanować przyrodę – dywaguje historiozof - musimy postępować zgodnie z jej prawami. Chcąc tworzyć historię, trzeba pracować zgodnie z prawami dziejowymi. Trzeba się nauczyć, jak te prawa wyzyskiwać dla swych celów."[3] Tu dochodzi do głosu historia jako *magistra vitae*.

Z prawami dziejowymi (vel cywilizacyjnymi) łączy się nierozerwalnie problem Opatrzności Bożej. W tym miejscu rodzi się nieodparcie pytanie, skąd tyle zła, które panoszy się wokół nas? „Moim zdaniem – pisze uczony – zło pozostaje z zaniedbania dobra. Nie ma bowiem próżni etycznej, nie można nigdy zrobić sobie pauzy od moralności, w takiej luce lęgnie się od razu zło. Zło nie wytwarza atoli siły twórczej samo z siebie, pod tym względem jest jałowe."[4] Dowiadujemy się dalej, że znajomość praw dziejowych nie usuwa bynajmniej problemu, któremu na imię *Providentia Divina*. Albowiem zarówno prawa przyrody, jak prawa historii nie eliminują Boga z dziejów świata, lecz podpowiadają człowiekowi, żeby używał rozumu i wolnej woli do dobrych celów.

W niniejszym przedłożeniu spróbujemy przybliżyć bardzo skrótowo zaanonsowaną wyżej problematykę, prezentując kolejno 6 praw rządzących dziejami ludzkimi. Owe prawa stanowią integralną część koneczniańskiej nauki o cywilizacjach i należą bez wątpienia do niekwestionowanych osiągnięć naukowych w dziedzinie poznania ludzkiego.

1. Współmierność *(compatibilitas)*

Według F. Konecznego, prawo współmierności polega na różnicy bez sprzeczności. Żadna z kategorii pięciomianu bytu ludzkiego nie może być w opozycji do innej, bo inaczej zrzeszenie doznaje rozstroju i zanika kultura czynu. „Kategorie quincunxa – zauważa profesor - tak dalece zachodzą na siebie i łączą się z sobą tak ściśle, iż jedno z nich nie może się zjawić, żeby zaraz nie pojawiło się drugie. Albowiem istnieje ścisły związek pomiędzy naszym umysłem a naszym ciałem."[5] Duchowa współmierność panuje w agregacjach, gdzie czyny są przewidywalne. Brak harmonii w stosunku do pięciu kategorii bytu pociąga za sobą negację współmierności. Również kompromis między cywilizacjami prowadzi niechybnie do zakłamania, półprawd, paraliżu duchowego. Współmierność myśli i czynu niezbędna jest w sprawach małych, cóż więc dopiero w kwestiach doniosłych, odnoszących się do dobra wspólnego. Dlatego rozwój zrzeszeń zawisł od stopnia przyswojenia zasad postępowania zgodnego z przyjętym quincunxem.

Już na etapie trójprawa u ludów pierwotnych można dostrzec zróżnicowanie metod zrzeszeniowych, w wielu momentach nieprzystawalnych do siebie. Panuje tam na ogół nieustanny stan wojny między sąsiadującymi plemionami. Przeto rodzą się nieodparcie pytania: Czy monogamista zechce sprzedać córkę poligamiście? Czy można pogodzić monogamię z poligamią w dziedziczeniu? Czy odważy się ojciec wydać córkę na nędzę do pobliskiego plemienia, w którym nie wolno posiadać niczego więcej, niż się potrzebuje? A jak pogodzić majorat z minoratem? albo odmienne rachuby czasu oraz sposoby opanowywania go?[6] Dopiero jednakowe lub podobne zapatrywania na kategorie quincunxa pozwoli im zaniechać kłótni i utarczek zbrojnych, a przejść do współpracy i solidarności. Z czasem wytworzą się zrzeszenia znaczniejsze o większym potencjale materialno – duchowym.

Monizm bądź dualizm pojawił się na szczeblu społeczności, na etapie bardziej zaawansowanej socjalizacji. W niektórych cywilizacjach przyjęła się monogamia (np. cywilizacja łacińska, bizantyjska), z którą łączy się nierozerwalnie własność osobista. Naruszenie jednej z tych instytucji prowadzi do upadku drugiej. „Wszystkie ruchy rewolucyjne zrywające z jednożeństwem – zauważa profesor – znosiły zarazem własność prywatną od albigensów do adamitów czeskich, od nowochrzczeńców niemieckich i holenderskich aż do bolszewików."[7] Dziś współczesna ekonomia mocno burzy kompatybilność cywilizacyjną współczesnego świata, narusza zasadę współmierności, kreuje bezetyczność, stawiając za cel nad cele: maksimum zysku.[8] Jak wiadomo, działania pożyteczne można rozwijać tylko w obrębie współmierności, podnosić kulturę czynu w jednolitości cywilizacyjnej, w tym etycznej.[9]

Również społeczeństwo i państwo, jako najwyższe szczeble agregacji ludzkich, muszą być współmierne pod względem cywilizacyjnym. Tam, gdzie zabrakło tego wymiaru, zniknęły z horyzontów historii zrzeszenia, konstruowane świadomie bądź ślepym trafem losu wedle innego klucza. Często bywa tak, że państwo usiłuje odgrywać rolę głównego sprawcy cywilizacji pośród swych obywateli. Tymczasem państwo ma ułatwić społeczeństwu rozwój kulturalny, ma być narzędziem cywilizacyjnym, ale nie

[1] M. Kuriański, *Cywilizacja bizantyjska w ujęciu Feliksa Konecznego (1862 – 1949). Studium historyczno – teologiczne*, Wrocław 2004, s. 69 nn. (maszynopis – Biblioteka Fakultetu Papieskiego we Wrocławiu).
[2] F. Koneczny, *O ład w historii,* Wrocław 1999, s. 45.
[3] Tamże, s. 46.
[4] Tamże.
[5] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*, Komorów 1997, s. 163.
[6] Tamże, s. 168 - 170
[7] Tamże, s. 171
[8] Tamże, s. 172
[9] Por. M. Kuriański, *Cywilizacja bizantyjska*…, dz. cyt., s. 71

cywilizatorem, uciekającym się nierzadko do niekompatybilnych zapożyczeń z różnych metod zrzeszeniowych. W wyniku takich pociągnięć powstaje chaos cywilizacyjny i rozkład tych państw.

F. Koneczny podał na to wiele przykładów. Starożytne cesarstwo rzymskie rozpadło się nie dlatego, że nie posiadało oręża, lecz z racji rozszerzania się terytorialnie ku wschodowi szybciej od postępu latynizacji, którą w dużym stopniu zastąpił orientalizm, niekoherentny z zasadami kultury Rzymu. Wschód więc wziął górę, co pociągnęło za sobą zadomowienie się monizmu prawa publicznego w całym imperium[10] – po prostu bizantynizm zatriumfował w tamtym świecie w całej rozciągłości.[11] Współmierności zabrakło również Helladzie. Oprócz zbieżnego poglądu na kategorię piękna, zamiłowania do nauki i wspólnego handlu, nie wykształtowało się ewolucyjnie wspólne trójprawo. Każde państwo – miasto miało swoją metodę życia zbiorowego, począwszy od demokracji w Atenach, skończywszy na rządach wojskowych w Sparcie i despocji w Syrakuzach. Albo w okresie wojen krzyżowych, kiedy ścierały się dwa nurty, które nawzajem przeszkadzały sobie: nurt łączenia i syntezy świata bizantyjskiego i łacińskiego przeciwko islamowi oraz nurt układania się Bizancjum z przedstawicielami cywilizacji turańskiej – z Seldżukami przeciw cywilizacji łacińskiej. Te dwie opozycyjne siły zniweczyły ideę uniwersalizmu chrześcijańskiego.[12] Nie inaczej było w 1415 roku w Konstancji. Na forum soborowym starły się dwie przeciwstawne koncepcje szerzenia chrześcijaństwa wśród pogan. Profesor krakowski Paweł Włodkowic stał na stanowisku, iż poganie mają prawo do wyboru wiary i do posiadania swojej ziemi. Tymczasem według rozpowszechnionej wówczas teorii, cesarz rezerwował sobie zwierzchnictwo na ziemiach pogańskich, tzw. niczyich, oraz sposoby chrystianizacji. Pogląd cesarski dał asumpt krzyżakom do krwawych represji względem pogan oraz aneksji terytoriów spacyfikowanych „ogniem i mieczem." Myśl polska stała zatem w opozycji do bizantynizmu krzyżackiego. Wreszcie bliżej naszych czasów. Obecnie polityka nie liczy się z nikim i niczym, staje się tworem samym dla siebie. Profesor ujął sprawę tak: „Polityka naszego okresu historycznego nie jest amoralną, lecz antymoralną; nie cywilizacyjną, lecz antycywilizacyjną względem cywilizacji łacińskiej."[13] Tym gorzej, że zrodziła ona cywilizowaną Europę.

Powyższe przykłady winny nam uzmysłowić, jak na każdym odcinku życia potrzebna jest współmierność cywilizacyjna. Fakty historyczne zarówno proweniencji starszej tudzież najnowszej pokazują, że nie można być cywilizowanym na dwa, a może więcej sposobów. Gdy będziemy znać te prawidła dziejowe, łatwiej nam będzie zrozumieć zwycięstwa i porażki w historii, wzloty i upadki państw oraz społeczeństw.[14]

2. Ekspansja ***(expansio)***

Pytanie o dynamikę, ekspansję, wigor cywilizacji to pytanie o żywotność cywilizacyjną. Co więc powoduje, że jedne cywilizacje odeszły z areny dziejów ludzkich, drugie mimo swojego wieku nadal są witalne, jeszcze inne ukończyły swój bieg, zatrzymując się na etapie organizacji rodowej? Reprezentanci biologizmu twierdzą, iż o życiu agregacji decyduje starość.[15] Niegdyś nastąpiło jej zrodzenie i wzrost, później śmierć. Prawa przyrody zadziałały z całą konsekwencją. F. Koneczny odrzucił ów pogląd, gdyż przyczynowość i determinizm w przyrodzie nie mają zastosowania w zrzeszeniach ludzkich. Tu obowiązują zgoła odmienne prawa: cywilizacjami rządzi myśl, kierują pojęcia, będące produktami rozumu i niezdeterminowanej woli.[16] Dlatego cywilizacje nie giną ze starości, ale z powodu człowieka, jego woli. Dla przykładu cywilizacja chińska egzystuje dobrze, gdy tymczasem rzymska, o wiele młodsza od niej, odeszła do annałów historii.

Może o żywotności cywilizacyjnej decyduje sakralność, która wyróżnia cywilizację żydowską i bramińską? Otóż żydzi mieszkający w golusie, czyli w diasporze, wprowadzili geograficzną względność religijną. Z religii wyselekcjonowali to, co uważali za niezbędne do przetrwania. Balansując między emanatyzmem i kreatyzmem, między monolatrią i monoteizmem, zachowali jednak naczelną ideę wybraństwa, wiary w przeznaczenie, dzięki któremu wszystkie narody świata staną się podnóżkiem narodu wybranego.[17] Wcale nie zabiegali i nie zabiegają o prozelitów. Z kolei bramińska cywilizacja polega na kastowości. Te dwie religie, nie wytwarzające przecież kultury czynu, istnieją od czasów przedhistorycznych i nie cierpią na brak wyznawców, ponadto nie pretendują do uniwersalności; wystarczy im związek z pewnym żywiołem etnograficznym.[18]

W historii istniało wiele cywilizacji. Nie wszystkie z nich dotrwały do naszych czasów, odchodząc w niepamięć na różnym szczeblu rozwoju. „Obecnie istnieje siedem cywilizacji historycznych, cztery starożytne: bramińska, żydowska, chińska i turańska; trzy średniowieczne: bizantyńska, łacińska i arabska; numidyjska (berberska) tudzież tybetańska przestały być historycznymi, nieliczne i już tylko lokalne"[19]- zauważa historiozof. W historii często spotykamy się z terminem Bizancjum. Trzeba powiedzieć, że nauka nie zna ludu bizantyjskiego, bo Bizancjum jest po prostu pojęciem państwowym i kosmopolitycznym. Pod naporem Turków upadł Carogród w 1453 roku. Jednak kwestia państwa bizantyjskiego okazała się obojętna dla cywilizacji znad Bosforu. Cywilizacja bizantyjska nie utraciła bowiem ze swej ekspansji w Europie Środkowej, następnie zakwitła w Niemczech, zwłaszcza za cesarzy Ottona I i Ottona II oraz za kanclerza Ottona von Bismarcka, zadomowiła się na dobre na Bałkanach i na Wołoszczyźnie. Żyje nadal, choć poza Bosforem.[20] Podobnie stało się z mongolskim czyngischanatem, który związał się z cywilizacją turańską. Jej pionierami i propagatorami byli Mongołowie, Tatarzy, Turcy oraz plemiona Jugry.[21] Byt tej cywilizacji przedłużył się na Słowiańszczyźnie w kulturze moskiewskiej i kozackiej oraz na południowej Rusi. Wdarła się ona do Rzeczypospolitej i wydała formację kulturową, zwaną sarmatyzmem. Swoimi wpływami zakreśliła krąg, sięgający od Sanu poprzez Azję Mniejszą aż po Azję Centralną.[22] Powyższe przykłady ilustrują fakt ekspansji cywilizacji niejednokrotnie bez związku państwowego. „Więcej więc żywotności należy przypisać tym cywilizacjom – akcentuje uczony krakowski - których ekspansja dokonuje się bez używania przemocy, samymi siłami duchowymi. Żywotność pozostaje tedy w pewnym stosunku do metod ekspansji."[23] Cywilizacja wprowadzana metodami siłowymi, jak chociażby za pomocą rusyfikacji i germanizacji w Polsce, nie spełniła oczekiwań cywilizatorów.

Od czego więc zawisło krzewienie się metody życia zbiorowego? „Zależeć to będzie – odpowiada historiozof – przede wszystkim od tego, czy w danej cywilizacji mieści się pełnia

[10] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 177 - 178.
[11] W następnym artykule zostaną omówione poszczególne cywilizacje, ich konstytutywne elementy – przypis autora.
[12] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 179 - 182.
[13] Tamże, s. 186.
[14] Tamże, s. 183.
[15] Tamże, s. 157.
[16] Tenże, *O ład w historii*…, dz. cyt., s. 93 – 94, przypis 55.
[17] Tenże, *O wielości cywilizacji,* Kraków 1935, s. 312 (reprint).
[18] Wydaje się, że F. Koneczny opowiedział się za zachowawczą rolą religii w cywilizacjach sakralnych
[19] F. Koneczny, *O ład w historii*…, dz. cyt., s. 23.
[20] Tenże, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 216
[21] To obszary zamieszkałe przez grupę ludów ugrofińskich – por. H. von Glasenapp, *Religie niechrześcijańskie*, z j. niem. przeł. S. Łypacewicz, Warszawa 1966, s. 344
[22] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt. s. 216
[23] Tamże, s. 218

życia, czy też jest ona defektywna, nie wytwarzająca wszystkich kategorii naszego quincunxa bytu ludzkiego. W związku z tym pozostaje ilość abstraktów i w dalszym ciągu przynależność do jednego z dwóch naczelnych szeregów pojęć. Religia przeważy często szalę na tę lub ową stronę. Słowem: chodzi o iloczyn społeczny."[24] Im on jest wyższy, tym większa żywotność cywilizacji. Ów iloczyn warunkują takie elementy, jak: etyczność, ciągłość i kierunkowość działania oraz równowaga czyli współmierność.[25] Cywilizacje żywotne, kiedy spotkają się, walczą ze sobą. Można to porównać do wieczystej walki lądu i morza. Zmagania te stanowią konieczność historyczną z tej przyczyny, że obie dążą do ekspansji. Jest to prawo dziejowe. Kultury jawią się czynnikami wojującymi w poszczególnych cywilizacjach.[26]

O prężności cywilizacji, jej ekspansji, decydują też migracje, nowe osadnictwo, ale nieprzymusowe. Powiodło się ono w Stanach Zjednoczonych oraz w świecie anglosaskim.[27] Największego rozprzestrzenienia doznała dotychczas cywilizacja łacińska, która przyswajając sobie najwięcej abstraktów, opanowała ogromne obszary naszego globu. Innym zjawiskiem cywilizacyjnym są uniwersalizmy, tkwiące w naturze człowieka, a będące wyrazem ekspansji. Do nich należy zaliczyć: uniwersalizm językowy (język chiński, niegdyś greka i łacina, dziś angielski)[28] i uniwersalizm państwowy, polityczny. Ten drugi został rozwinięty m. in. przez Aleksandra Wielkiego, który oparłszy się na aprioryzmie antropologicznym, chciał stworzyć „nowego człowieka." *Homunculus* miał wznosić się ponad religię, rasę, naród i być persko – greckim „ideałem ludzkości." Natomiast rzymski uniwersalizm, owszem niósł ze sobą *„pax romana"*, pretendował jednak do przewodzenia „czterem stronom świata."[29] Krwawo zakończyły się uniwersalizmy polityczno – państwowe XX wieku wykreowane przez Hitlera i Stalina.[30] Wszystkie upadły. Udaną próbę w realizacji koncepcji uniwersalizmu ponadnarodowego przeprowadziły Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, które oparły się na społeczeństwach, upodmiotowieniu obywateli. W czasach nam współczesnych wyłania się nowy organizm ponadnarodowy w postaci UE. Chciało by się, żeby to była konstrukcja trwała i z ludzką twarzą, bez defektów z przeszłości.

Trzeba powiedzieć, iż prawo ekspansji, ukierunkowane *ad intra* i *ad extra,* do wewnątrz i na zewnątrz, jest naturalną konsekwencją wewnętrznej dynamiki, wypływającej nade wszystko ze spójnej struktury metody zrzeszeniowej. Dana cywilizacja przestaje istnieć wtedy, gdy nie dysponuje już siłami, by kontynuować dalszą walkę z konkurentami. O charakterze ekspansji decyduje w dużej mierze etyka; może ona mieć przebieg spokojny, pokojowy bądź agresywny.[31]

3. Nierówność *(inaequalitas)*

„Zawsze od samego początku panowała nierówność i niemal od początku były dążenia do równości."[32] Dzięki metodzie indukcyjno - porównawczej F. Koneczny, badając bogaty materiał historyczny, doszedł do takiej konstatacji. Fakt nierówności znalazł swoje odbicie w morderstwie Kaina, które powiela się po wszystkie czasy w dziejach ludzkich. Jakież zróżnicowanie wśród plemion sprawiło odkrycie ognia. Każde z plemion chciało posiąść dar Prometeusza. Dążono przeto do zdobycia jego za wszelką cenę. Walka o ogień przybierała rozmaite formy: najazdy, napady, krwawe porachunki - wszystko działo się w imię równości wbrew prawu nierówności. Jedne rody stawały się liczebnymi, inne bardzo szczupłymi, jeszcze inne zginęły; dostatek i ubóstwo towarzyszyły najprymitywniejszym plemionom i nie opuściły agregacji doby dzisiejszej.

Ludom pierwotnym nie znane było pojęcie równości wobec prawa. Uciążliwość kary za to samo przewinienie zależała od miejsca winnego w hierarchii rodowej. Winowajca im bliżej plasował się protoplasty pod względem pokrewieństwa, tym bardziej czuł się bezkarnym. Hierarchia rodowa rozdawała przywileje, najobficiej bliższym genetycznie twórcy rodu. W dalszej konsekwencji zhierarchizowanie rodowe wywoływało dyferencjacje majątkowe. Różnice w posiadaniu dóbr miały również swoje źródło w ideologii, zgodnie z którą można posiadać tyle, ile potrzeba, albo gromadzić dobra „ponad potrzebę." W poszczególnych rodach nie brakowało bogaczy i ubogich, jeszcze więcej na szczeblu plemiennym. Ciągle, tu i ówdzie, dawał o sobie znać pogląd o równości majątkowej, uważanej za ideał. Powyższa myśl znalazła podatny grunt m. in. wśród Jakutów, Murzynów afrykańskich, mieszkańców Grenlandii. Dlatego to, co jest „ponad potrzebę," wolno zabrać, ba, nawet zniszczyć, żeby nie burzyć uświęconego tradycją porządku rzeczy. Wedle tej koncepcji najbogatszy może być zarazem najbiedniejszym. Nic więc dziwnego, że pośród wspomnianych ludów klęski ekonomiczne nie należały do rzadkości. Natomiast te wspólnoty, które postawiły na bogacenie się indywidualne, w swym rozwoju poszły do przodu, uniezależniając się coraz bardziej od żywiołów natury.[33]

Problem bogacenia się lub niebogacenia się pozostaje w ścisłej korelacji z poglądami na etos pracy. W tej kwestii występują sprzeczności wprost diametralne. W starożytności praca fizyczna była w pogardzie i pozostawała domeną niewolników. Wolnemu obywatelowi πόλις pozostawały zajęcia umysłowe i rozrywka. Np. w Chinach mandaryni z długimi paznokciami uważali pracę za niemiłą stronę życia. Też dla wielu Arabów i Murzynów zajęcia fizyczne do dziś nie leżą w guście. Dopiero chrześcijaństwo nadało pracy walor etyczny. Gdzie nie ma ustalonych relacji między pojęciami ekonomicznymi i etycznymi, tam jest sprzyjająca atmosfera do przewrotów i pauperyzacji uczestników życia zbiorowego. Trzeba jasno powiedzieć, że etyka pokazuje drogi do dobra, do którego człowiek winien dążyć, by go osiągnąć, ale nie zastępuje ekonomii[34] Stałe zjawisko ubóstwa, mimo ciągle udoskonalanych rozwiązań gospodarczych, pozostaje atrybutem egzystencji człowieka. Oczywiście ten fakt nie może implikować pasywnej postawy wobec kwestii ubóstwa i jego zniwelowania; wręcz przeciwnie, wszystkie siły społeczne powinny być skierowane w kierunku sanacji szeroko pojętej biedy ludzkiej.[35] Jednakże nie ma gotowej recepty i panaceum na likwidację tego rodzaju zła, bo wszystko zależy od okoliczności miejsca i czasu. Propozycje K. Marksa i eksperymenty komunizmu okazały się złudne i przyniosły tylko rozczarowanie w dziedzinie budowania równości społecznej.[36] Tymczasem uczciwe bogacenie się jednostki jest remedium na ograniczenie ubóstwa. Nie bez znaczenia pozostaje emancypacja kobiety, nade wszystko u Hindusów czy Arabów.

Wbrew potocznej opinii samo zaludnienie, nawet o dużym stopniu zagęszczenia, nie implikuje jeszcze iloczynu społecznego, jeżeli jemu nie towarzyszą na szeroką skalę wielopłaszczyznowe

[24] Tamże, s. 279.
[25] Tamże, s. 126.
[26] Tenże, *O wielości cywilizacji…*, dz. cyt., s. 312 - 313.
[27] Tenże, *Prawa dziejowe…*, dz. cyt., s. 220 nn.
[28] Tamże, s. 231 - 232.
[29] Tamże, s. 233.
[30] Tamże, s. 235
[31] B. Gumieniuk, *Prawa dziejowe a cywilizacje według F. Konecznego*, „Studia Paryskie" 8 (1998), s. 53 - 54.
[32] F. Koneczny, *Prawa dziejowe…*, dz. cyt., s.188
[33] Tamże, s. 189.
[34] Tamże, s. 190.
[35] Dziś problem ubóstwa jest złożony. W tej kwestii Kościół często zabiera głos. Por. niektóre encykliki społeczne ostatnich papieży: Paweł VI: *Populorum progressio,* Jan Paweł II: *Sollicitudo rei socialis* oraz *Centesimus annus*, Benedykt XVI: *Caritas in veritate*.
[36] J 12, 8: „Bo ubogich zawsze macie u siebie…" Likwidacja problemu ubóstwa sposobami siłowymi nie tylko kłóci się z humanizmem, lecz nie przynosi zakładanych rezultatów.

zróżnicowania w ramach zrzeszeń. I tak np. na rozległych terenach Azji Centralnej i sporej części Afryki północnej, gdzie występuje strukturalne zacofanie, nie ma wyboru w ofercie pracy; nawet nikt jej nie poszukuje. Dziedziczy się tam trochę biedy pasterskiej, trochę biedy rolniczej. „Nikt nie robi oszczędności, nie ma inwestycji, żyje się z dnia na dzień, w tępej obojętności; wszyscy bowiem są przeświadczeni, że żadna zapobiegliwość, pomysłowość i żadne wysiłki nie zdadzą się nikomu na nic."[37] Najlepiej powodzi się tym, którzy uczepili się klamki urzędu lub dworu czy też znaleźli zajęcie u miejscowego prominenta. W ten sposób wytworzyła się nowa warstwa zawodowych oszustów, zdzierców, a w Rosji wszędobylskich czynowników, urzędników. Zatem brak zróżnicowania prowadzi nieuchronnie do stagnacji cywilizacyjnej i jednostajności. Na takim gruncie łatwo rodzą się nurty komunizujące. Radykalizm bolszewicki posunął się do tego stopnia, że skonstruował apriorycznie ideę wspólnoty, gdzie miała być nawet kolektywna używalność kobiet. U podstaw tych ekscesów ludzkich legła spekulacja, która jawi się zawsze metodą popularną, łaskocącą ucho, gdyż nie wymaga fachowych przygotowań, udziela dyspensy od studiów. Jest to rodzaj ludzkiej pseudosoteriologii, nie liczącej się z realiami. Ideologia równości dochodziła do głosu w starożytności: w Helladzie i Pergamonie, nie obyły się bez niej średniowiecze i czasy nowe (T. Campanella: „Civitas Solis", ruch albigensów XIII w., adamitów XV w., anabaptystów XVI w., rewolucja francuska 1789 r., komuna paryska 1871, wspomniany bolszewizm 1917).[38] Wszystko działo się ze względu na równość, której przyświecał motyw: Pościnać wszystkim głowy wyrastające nieco wyżej od innych jako sposób na zaistnienie standaryzacji istot ludzkich i unifikacji życia zbiorowego.

Utopie tłumu i utopie uczonych, bez względu na swoją proweniencję, mają wspólny mianownik – nieliczenie się z rzeczywistością. Ich autorzy nie pomnażają dobrobytu i nie znoszą różnic społecznych. Kościół uczy, że zamożność nie jest moralnie niższa od ubóstwa; dysproporcje ekonomiczne winne być niwelowane poprzez równanie w górę, w sposób ewolucyjny.[39] Na koniec, idąc za myślą F. Konecznego, podsumujmy powyższe rozważanie: „Panowała tedy od samych zawiązków życia zbiorowego nierówność i panuje dotychczas, stanowi przeto stałą cechę wszelkiej ludzkiej doli i niedoli. Towarzyszy całemu pochodowi historycznemu. Na każdym miejscu, w każdym czasie i na każdym szczeblu rozwoju stwierdza się nierówność tak dalece, iż nie sposób zaprzeczyć, jako stanowi nieuchronność dziejową; coś, czego nie może nie być. A zatem nierówność jest prawem dziejowym."[40]

4. Niemożliwość syntez *(non – syntheses)*

W ludzkiej naturze drzemią zdolności do tworzenia fikcji i utopii. Historia zna aż nadto przykładów. Na niwie naukowej ten przymiot czyni nieraz wiele zamieszania mentalnego i prowadzi do zbędnych tarć i zużywania energii intelektualnej. Niejednokrotnie przecież można spotkać się z twierdzeniem o występowaniu syntez cywilizacyjnych i wynikających z tego faktu dobrodziejstw, czego oczywiście nie potwierdza indukcja historyczna. Teoretycznie – według F. Konecznego – może wystąpić współmierność miedzy cywilizacjami. Jednakże współmierność ma miejsce tylko między kulturami tej samej cywilizacji. Zatem synteza dokonuje się wyłącznie wewnątrz cywilizacji, w obrębie elementów kompatybilnych.[41] Podstawę niemożliwości syntezy między cywilizacjami historiozof dostrzegał w różnorodnym zapatrywaniu się na etykę, prawdę, sztukę, prawo własności, zdrowie – słowem, na elementy quincunxa. Wprawdzie istnieją takie sytuacje, w których pojedynczy człowiek dokonuje zmiany metody życia zbiorowego, jednakże nie ma to nic wspólnego z jakąś syntezą, jest tylko pojedynczym wyborem. Ponadto stoją na przeszkodzie fuzji cywilizacyjnej dwie przeciwstawne formy myślenia: myślenie aprioryczne i aposterioryczne.[42]

Teraz oddajmy głos historii. Zobaczymy, jak człowiek błądził na przestrzeni wieków, nie znając prawa, które nie dopuszcza syntez cywilizacyjnych.

Rozbieżność etyk w życiu prywatnym i publicznym zachodzi prawie we wszystkich siedmiu cywilizacjach. Np. postawa chrześcijańskiej miłości odnosi się do wszystkich ludzi, u żydów tylko do współwyznawców. Bizantynizm ma etykę wiernopoddańczości, podobnie jak cywilizacja chińska; w cywilizacji łacińskiej wybija się personalizm. U Chińczyków etyka rodowa utknęła na szczeblu barbarzyńskim, z prawem zabijania własnych dzieci. Chrześcijaństwo broni życia od jego początku aż do zgrzybiałej starości, od urodzenia do naturalnej śmierci. Etyka arabska indywidualistyczna nie wejdzie przecież w syntezę z kastową etyką bramińską. Wobec powyższego, jakże być moralnym według kilku etyk wykluczających się nawzajem! Kto wie – pyta historiozof – czy wszystko zło, trapiące Europę, nie pochodzi z tego, że ogół nie wie, jakich trzymać się zasad moralnych. Cóż da się zrobić dobrego przy harmiderze etyk?[43]

A może dzięki synkretyzmowi religijnemu stworzy się syntezę cywilizacji? Też takie pomysły roiły się w ludzkich głowach. Pierwszym marzycielem w tej sferze był Aleksander Wielki, którego państwo po jego śmierci rozpadło się cywilizacyjnie. Próbował on połączyć kulty wschodnie z greckimi. Panujący w Egipcie Ptolemeusz I i jego zięć Lizymach we Frygii i Tracji zapragnęli w swych krajach wprowadzić syntezę religijną, przerabiając m. in. Zeusa na Serapisa. W XIII w. Temudżyn usiłował stworzyć dla całego imperium mongolskiego jedną religię, opartą na kulcie „świetlanej łani". Sam Czyngischan uważał się za jej potomka. Przyjęty przez niego tytuł „Satu – Bogdo" oznaczał wcielenie bóstwa, władającego wszystkimi żywiołami świata. Eksperymenty zawiodły: upadły państwa i wykoncypowane religie.[44] Z kolei buddyzm uwidocznił wszędzie skłonność do recypowania kultów religii ościennych. Np. Japończyk jest zarazem buddystą, konfucjanistą, taoistą, chrześcijaninem i szintoistą, zależnie od okoliczności życia. W rezultacie cywilizacja chińska i kultura japońska odznaczają się areligijnością. Pomysłów na syntezy religijne nie brakowało też w Europie. Fryderyk Wilhelm III (1814 – 1840) zarządził w roku 1817 *„Die kirchenregimentliche Union",* którą z czasem wprowadzono w państewkach Rzeszy. Cel był prosty – sprowadzenie rozbitego protestantyzmu do jakiegoś wspólnego mianownika. *„Die Unionkirche"* zadekretowano w 1876 r., a sprzeciwiających się temu pociągnięciu władcy poczytano za buntowników, *„Rebellen",* i ich prześladowano. Wkrótce wyłonił się nowy kierunek, neoluteranizm. Jawił się on przystosowaniem protestantyzmu do nurtów racjonalistyczno – liberalnych, areligijnych. Zamiast syntezy religijnej pojawił się *homo primitivus et paganus, qui vivit sicuti Deus deest.* Rozczarowała również antropozofia Rudolfa Steinera.[45] Trzeba powiedzieć, że wszelkie syntezy religijne nie wydały oczekiwanych owoców.

[37] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 193.
[38] Tamże, s. 193 - 220.
[39] A propos współczesnej ekonomii, w grę wchodzi nie tylko taka konsumpcja, która jest konieczna, by żyć, lecz chodzi o korzystanie z wszelkich dóbr, by być więcej człowiekiem – por. Konstytucja Dogmatyczna o Kościele – *Lumen gentium,* nr 35; Jan Paweł II, *Redemptor hominis* (enc.), Wrocław 1994, s. 49.
[40] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 195
[41] Tenże, *O wielości cywilizacji*…, dz. cyt., s. 311 - 313
[42] Tenże, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 238; B. Gumieniuk, *Prawa dziejowe*…, art. cyt., s. 55.
[43] Tamże, s. 238 - 239.
[44] Tamże, s. 240.
[45] Tamże, s. 245 - 246.

Nie inaczej rzecz miała się z wartościami quincunxa, chociażby z kategorią piękna *(pulchrum)* i prawdy *(verum)*. W Oriencie piękno polega na bogactwie, u Hellenów na harmonijnym układzie linii. W przeciwieństwie do Zachodu na Wschodzie, żeby wyrazić piękno ducha ludzkiego, kojarzono go z ciałem wychudzonym i szpetnym. W świecie azjatyckim naukę traktuje się utylitarnie, nie zawsze znajduje tam zrozumienie logika i ścisłość naukowa w rozumieniu Europejczyka. Również nie dokonała się synteza judaizmu , rozsianym po całym globie, z miejscowymi cywilizacjami. Bo jak pogodzić wiarę w wybraństwo żydowskiego narodu? Czy reszta świata ma wyrazić zgodę, by stać się jego podnóżkiem ?

Co z polityką? Może tu jest pole do syntez? Otóż Rzym przyjmując instytucje orientalne, rozsadził się wewnętrznie. Z personalizmu przeszedł do mechanizmu, spod ludowładztwa pod despotyzm. To położyło kres Cesarstwu Rzymskiemu. Myśl o syntezie ze Wschodem przybrała konkretne kształty w postaci unii Polski z Wielkim Księstwem Litewskim. Litwa przyjęła bowiem szereg rozwiązań państwowych z cywilizacji łacińskiej. Był to eksperyment udany. Natomiast próby unii wielonarodowej Rzeczypospolitej z państwem moskiewskim za Iwana IV Groźnego oraz próby skojarzenia tronów polskiego i moskiewskiego w czasie trwania dymitriady i „smuty" na pocz. XVII w. spełzły na niczym. Nie mogło być inaczej; państwowość moskiewska oparła się bowiem na monizmie prawa prywatnego. Kniaź moskiewski, jako właściciel księstwa, cieszył się dużą ilością przywilejów, właściwie był samodzierżcą.[46] Na przeciwnym biegunie stały instytucje polskie: król i sejm, wolność i tolerancja, dualizm prawa. Polska tak emanowała atrakcyjnością swych urządzeń państwowych na ludy ościenne, że kiedy Litwa ociągała się z zawarciem unii lubelskiej w 1569 r., wtedy Podole, Podlasie i Ruś Kijowska zgłosiły akces inkorporacyjny do Korony[47]

Przyczyny wojen kozaczyzny, która przyszła z państwa moskiewskiego, tkwiły w nieustannej walce cywilizacji turańskiej z łacińską. Wojny kozackie unicestwiły ligę antyturecką pod egidą Polski.[48] Kozaczyzna dała się poznać jako społeczność obozowa, najczystsza turańszczyzna. To ona była źródłem sarmatyzmu. Na Litwie ucieleśniał go Radziwiłł „Panie Kochanku." Zaczęto ubierać się na modę orientalną. Z sarmatyzmem wiązała się ciemnota, znajdująca sprzyjające warunki pośród ogromnie spauperyzowanej „po potopie" szlachty polskiej.[49] Ponadto na kanwie cywilizacji turańskiej rozszerzył się bizantynizm w dwu wersjach: w orientalnej w formie kultury turecko – bizantyjskiej i w zachodniej w postaci kultury niemiecko – bizantyjskiej. Obydwa kierunki cywilizacyjne, nie dając żadnej syntezy, zaowocowały nihilizmem.[50]

Stosując zatem retrospekcję historyczną, dochodzimy do wniosku, że nie ma syntez między cywilizacjami. Jest to prawo dziejowe. Syntezy odnoszą się jedynie do kultur współmiernych, tworzących tę samą cywilizację.

5. Szkodliwość mieszanek *(toxicum miscelarum)*

„Syntez między cywilizacjami nie ma, lecz pierwiastki mogą przechodzić w inną. wytwarzając mieszankę cywilizacyjną. […] Cywilizacja mieszana jest niemożliwością, a z mieszanki powstanie raczej stan acywilizacyjny, niż związki cywilizacji nowej"[51]- pisał F. Koneczny. Utrzymywał on, że w cywilizacjach sąsiadujących ze sobą mogą pochodzić wpływy z najprostszych stosunków życia, z małżeństw mieszanych, handlu i wszelkich powiązań w sferze wymiany jakichkolwiek dóbr. Obecnie proces wzajemnych oddziaływań nasilił się i nasila się nadal w dobie globalizacji i społeczeństw informatycznych. Niektóre z tych wpływów, jeśli dotyczą spraw i szczegółów zwyczajowych, nieistotnych różnic strukturalnych itp., nie powodują zaburzeń w danej metodzie życia zbiorowego. I tu spełnia się prawo współmierności. Jeżeli jednak recepcja tych pierwiastków cywilizacyjnych odbywa się na większą skalę i narusza w jakimś obszarze zasady cywilizacji własnej, wtedy występuje mieszanka *(miscela)*, ze względu na brak kompatybilności. Wówczas mieszanka staje się ciałem obcym w organizmie cywilizacji, do której przedostała się. Zwyczajnie organizm usiłuje wydalić z siebie ciało obce, z czego powstają niejednokrotnie komplikacje prowadzące w stosunkach miedzyludzkich aż do rewolucji i na dużą skalę destrukcji (hitleryzm i stalinizm reprezentujący cywilizację turańską kontra cywilizacja łacińska). Przy tym trzeba podkreślić, iż mieszanki cywilizacyjne sięgają po wszystkie kategorie quincunxa, nie wyłączając religii.[52]

Teraz skorzystajmy z metody indukcyjnej, preferowanej przez historiozofa, i znów oddajmy głos historii, która dostarczy nam wiele przykładów potwierdzających prawo szkodliwości mieszanek. Przytoczmy chociaż niektóre z nich.

W Suzdalu i Rostowie w XI w. działali chrzescijańscy misjonarze, obok nich występowali czarnoksiężnicy – wołchwowie, przedstawiciele stanu kapłańskiego wywodzącego się z ludów ugrofińskich. Cieszyli się oni u tubylców autorytetem. Wierzyli w bóstwo Chrystusa, czcili Matkę Bożą i świętych Pańskich, czasem przystępowali nawet do sakramentów, ale nie przestali być poganami.[53] Podobnie działo się nie tylko w Jugrze, lecz także na południu Rusi Kijowskiej, na Wołoszczyźnie i w Mołdawii. Z kolei Połowcy[54] do lokalnych bożków dodali trzech innych: Chrystusa, Bogurodzicę i św. Mikołaja. W XIII w. można spotkać tam chanów stepowych z chrześcijańskimi imionami Jerzego i Daniela. Mieszanina pogaństwa i chrześcijaństwa zarówno na Rusi Zaleskiej, jak i na Rusi Kijowskiej wydała owoc w postaci „dwojewieria", które funkcjonuje do dziś. Dwojewierie polega na wprowadzeniu do religii dwóch lub więcej metod z różnych systemów, mających wyjaśnić stosunek świata przyrodzonego do nadprzyrodzonego (np. kreatyzm – emanatyzm). *Mélange* religijny prowadził niechybnie do zabobonów.[55]

Na wielką skalę urzeczywistnili mieszankę religijną cesarze bizantyjscy (VII w.), gdy usiłowali dokonać „syntezy" islamu z chrześcijaństwem.[56] Zrodził się ikonoklazm.

Z Egiptu, Persji i Syrii przedostawały się elementy tamtych cywilizacji do świata greckiego, następnie rzymskiego. Orient nęcił swoim bogactwem i kusił do wprowadzenia despocji. Postulat dożywotniego jednowładztwa, zaproponowany przez C. Grakchusa, miał gotowy wzór na Wschodzie, gdzie monarchia była postrzegana jako samowładztwo.[57] Król, jako że był emanacją bóstwa, wszyscy i wszystko należało do niego. Prawo publiczne stanowiło amplifikację prawa prywatnego władcy.

[46] M. Heller, *Polska w oczach Moskwy*, Warszawa 1986, s. 18 – 25.
[47] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 252 - 254.
[48] Por. Z. Wójcik, *Wojny kozackie w dawnej Polsce*, Kraków 1989, passim.
[49] Tenże, *O wielości cywilizacji*…, dz. cyt., s. 314.
[50] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 256 - 257.
[51] Tamże, s. 260.
[52] B. Gumieniuk, *Prawa dziejowe*…, art. cyt., s. 55 - 56.
[53] H. von Glasenapp, *Religie niechrześcijańskie*…, dz. cyt., s. 345: „Czczono poza tym mnóstwo bóstw przyrody, takich jak bóstwa wiatru, ognia, wody, lasu, a także niezliczoną ilość duchów domowych, opiekuńczych i zajmujących się wegetacją roślin; składano im ofiary zwierzęce i zwyczaj ten jeszcze w 1890 roku zachował się u greckoprawosławnych mieszkańców Karelii."
[54] Por. *Powieść minionych lat*, przeł. i oprac. F. Sielicki, Wrocław – Warszawa – Kraków 1999, s. 9 nn.
[55] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 261 - 262.
[56] Por. G. Ostrogórski, *Dzieje Bizancjum*, przekład z j. niem. pod red. H. Evert – Kappesowej. Warszawa 1967, s. 147 - 187
[57] Por. M. Jaczynowska, *Historia starożytnego Rzymu*, Warszawa 1986, s. 139 - 145.

Był to monizm prawny, tak typowy dla Orientu. Przyjął się on nie tylko w hellenizmie,[58] ale z czasem w kulturach turańskich Mongołów i Turków. Oficer rzymski uczył się monizmu na Wschodzie, chociaż urządzenia państwowe w Rzymie opierały się ciągle na dualizmie prawa. Wskutek ciągłego orientalizowania się struktur społecznych nad Tybrem chłopi zmieniali się najpierw w dziedzicznych dzierżawców, od IV w. upodabniali się z wolna do niewolników, zwanych *glebae adscripti.* Państwo wyalienowało się od społeczeństwa. Wyłoniła się statolatria – kult państwa. W schizofrenii cywilizacyjnej ciągle próbowano pogodzić urządzenia wschodnie i zachodniorzymskie w życiu zbiorowym. Atoli wiadomo, że syntez nie ma, zaś mieszanki przynoszą rozchwianie stosunków społecznych.[59]

Dalszy rozstrój cywilizacji rzymskiej nastąpił za Konstantyna Wielkiego.[60] To właśnie za niego zrodziła się wspomniana mieszanka statolatrii i chrześcijaństwa. Forma i treść stawały się coraz bardziej niewspółmierne. Konstantynopol jako Nowy Rzym wraz z *Romaioi* – nowymi obywatelami, którym przewodził kajdzar, wieńczący wszystko niczym zwornik w budowli, ozdobionej koroną cezara i tiarą papieża, kładł podwaliny pod rzeczywistość dotąd niespotykaną. Był to cezaropapizm. Również cesarz Justynian,[61] rozdarty pod względem ortodoksji, doprowadził cezaropapizm i statolatrię do szczytu w czasie swego panowania. Cóż więc zostało z ideałów *civis romani?*[62]

Czasy średniowieczne, nowożytne i najnowsze nie uwolniły się wcale od eksperymentów w zakresie czynienia mieszanek cywilizacyjnych. Wystarczy wspomnieć o walkach cesarzy niemieckich z papiestwem,[63] protestantyzmie *(cuius regio, eius religio),*[64] kulturkampfie,[65] hitleryzmie. Mieszanki cywilizacyjne przyniosły uwiąd gospodarczy, społeczny, polityczny, państwowy, rozbiory.[66]

Czasy obecne nazwał F. Koneczny *„delirium maximum."* Cała Europa – według niego - popadła w galimatias kierunków cywilizacyjnych. Krąży w świecie absurdu, trzymając się różnych metod życia zbiorowego. „Nastaje wtedy w mieszance z wolna, lecz z ciągłym niepowstrzymanym stopniowaniem, rozprzężenie wszelkich stosunków posuwające się aż do rozstroju. Rozstrój zaczyna się od życia rodzinnego, a nie kończy się na Izbie poselskiej; kończy się dopiero na wywróceniu i zniszczeniu wszystkich zrzeszeń dotkniętych mieszanką."[67] Zrzeszenie wielocywilizacyjne może wyrodzić się w acywilizacyjne. „Gdy społeczeństwo, czy też państwo – pisze myśliciel krakowski – pogrążone jest w mieszance przez czas dłuższy, głupieje u góry, a dziczeje u dołu."[68] W Europie wytworzył się zator kulturowy, oparty na połowiczności i negacji wartości dotychczasowej identyfikacji. Liczni jej mieszkańcy zostali zarażeni bakcylem znieczulicy na rzeczy wielkie spoza sfery materii. „Cierpimy – zwraca uwagę profesor – na chorobsko obojętności wobec wielkości a małości. Ogół europejskiej inteligencji nie okazuje przywiązania głębszego do niczego, co się znajduje poza 'religią brzucha'. Pojęcie wielkości ducha i hartu moralnego staje się coraz bardziej obce."[69] Zatem mieszanki cywilizacyjne niosą ze sobą jeszcze inne niebezpieczeństwo, które jest z możliwych najgorsze: wszędzie przygotowują grunt pod dominację niższości.[70]

[58] Por. A. Świderkówna, *Hellenka*, Warszawa 1974, s. 377 - 379
[59] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 268 - 270.
[60] Por. A. Krawczuk, *Konstantyn Wielki*, Warszawa 1987.
[61] Por. G. Ostrogórski, *Dzieje Bizancjum*…, dz. cyt., s. 47 nn.
[62] Tamże, s. 2 71 - 272.
[63] Por. J. Umiński, *Historia Kościoła,* t. I, przygotował i uzupełnił W. Urban, Opole 1959, s. 363 nn.
[64] Por. tamże, t. II, s. 6 nn.
[65] Por. tamże, t. II, s. 387 nn.
[66] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 273 - 287.
[67] Tamże, s. 290.
[68] Tamże, s. 291.
[69] Tamże, s. 293.
[70] Tamże, s. 294.

6. Niższość górą *(praestantia inferioritatis)*

F. Koneczny zachęcał przyszłych badaczy problematyki cywilizacyjnej do rozpatrywania poszczególnych kwestii z osobna, nie wyłączając prawa niższości, na drodze indukcji. Podczas naukowych poszukiwań odkrył bowiem wyjątki od reguły, do których zaliczył następujące wydarzenia dziejowe: 1. przystąpienie Germanów do cywilizacji rzymskiej, 2. przyjęcie przez Słowian bałkańskich cywilizacji bizantyjskiej, 3. polsko – litewskie porozumienie unijne.[71] Tu odniosły zwycięstwo cywilizacje wyżej stojące, o większym współczynniku cywilizacyjnym. Jednakże codzienność jest inna – prawo niższości poprzez wieki aktualizuje się w różnych miejscach globu i w łonie różnych agregacji. Przykładów dostarcza zarówno starożytność, jak i pozostałe epoki. Cóż więc powiedzą wieki na ten temat?

Egipskie i perskie pojęcia o państwie były kulturowo niższe od helleńskich i rzymskich. Mimo to cywilizacje znad Nilu i z Persepolis przetrwały, wykolejając stopniowo kultury konkurencyjne. Również język grecki, który przez tysiąc lat panował w Egipcie, ulegając islamowi na skutek parcia Arabów, nie pozostawił trwałych śladów po hellenizmie. W cesarstwie rzymskim czerpano pełnymi garściami ze skarbca orientalnego. Juliusz Cezar sięgał po wzorce z państwowości egipskiej, zaś Dioklecjan z perskiej.[72] Następowała orientalizacja imperium. Tym bardziej Bizancjum hołdowało wschodnim urządzeniom państwa. Mieszkańcy znad Bosforu, niejednokrotnie pochodzenia europejskiego, przedkładali „turban nad tiarę", cywilizację turańską nad łacińską. W końcu ta pierwsza triumfalnie wkroczyła do Carogrodu (1453),[73] aby potem w Azji Mniejszej pokonać arabskie kalifaty i wytępić uczoną kulturę Avicenny (X/XI w.), Averroesa (XIII w.).[74]

Również Ruś była wielkim polem, na którym trwały zmagania cywilizacyjne. Wspomniana cywilizacja turańska, ukształtowana ostatecznie wśród plemion stepowych, zdominowała bizantynizm. Wzmogły się wpływy ludów Jugry, Pieczyngów, Połowców, Mongołów i Tatarów do tego stopnia, że resztki cywilizacji bizantyjskiej zniknęły z kultury moskiewskiej; pozostały tylko w uczoności cerkiewnej. W łonie kultury moskiewskiej konkurowały ze sobą dwa nurty. Na czele jednego stał Josif Sanin z wielkiej pustelni w Wołokołamsku; był adherentem księcia Iwana III, któremu przyznawał prawo ingerowania w sprawy cerkiewne. Stał na stanowisku formalistyki orientalnej. W eremie joziflanów (józefinów) odczytywano codziennie 77 psalmów, wybijając po trzy tysiące pokłonów przed ikonami. Zakon posiadał dużo włości i cieszył się względami władcy. Drugiemu nurtowi przewodził pustelnik Nil znad rzeki Sory na Zawołżu. Był on nieprzejednanym wrogiem wglądu państwa w życie Cerkwi. Jego eremitów zwano „nic nie posiadającymi." Nil Sorski w konfrontacji z joziflanami przegrał, gdyż niższość wzięła górę. Teoretyk zwycięzców, Filoteusz z Tweru, wyraził opinię, że „myślenie jest początkiem zła."[75]

Idea niższości znalazła swój wyraz w dynastyczności. Cała Europa począwszy od czasów nowożytnych przyjęła tę koncepcję. Myśl narodowa, zrodzona niegdyś w cywilizacji rzymskiej i przyjęta przez cywilizację łacińską, została zdeptana na dworach monarszych. Samorządność i narodowość stała się przedmiotem drwin i rozpraw militarnych. Państwo polskie, które odważyło

[71] B. Gumieniuk, *Prawa dziejowe*…, art. cyt. s. 57, zwłaszcza przypis 123; F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 296 - 302.
[72] M. Jaczynowska, *Historia starożytnego Rzymu*…, dz. cyt., s. 343 - 466.
[73] Por. S. Runciman, *Upadek Konstantynopola 1453*, Warszawa 1968.
[74] F. Koneczny, Prawa dziejowe…, dz. cyt., s. 303.
[75] Tamże, s. 304.

się być narodowym, uległo rozbiorom, dokonanym przez „trzech orłów." W dynastycznych państwach wezbrała supremacja sił fizycznych nad duchowymi, etycznymi. Rozwój państwowości opierał się na wzroście przymusu. Do obowiązków „oświeconego" obywatela należała walka z katolicyzmem. Kontynent europejski pogrążył się w absolutyzmie i w ślepym posłuszeństwie poddanych.[76]

Rewolucja francuska dała się poznać jako szczególny *exemplum* perwersji. Absolutyzm przeniosła z króla na parlament. Twórcom nowego sprawowania władzy nie chodziło wcale o równouprawnienie obywateli i ich wpływ na sprawy państwowe, lecz o eksterminację inteligencji i pognębienie Kościoła. Pod auspicjami hord rewolucyjnych szalał terror, gilotyna bez przerwy ścinała głowy arystokracji, Wandea ociekała krwią. Jakby mało było piekła na ziemi, 16 statków, przewożących 4, 8 tyś. duchownych katolickich, zatopiono w nurtach rzeki Loary. Barbaria święciła triumfy. Oprócz tyranii przyniosła biurokrację, którą uznano za panaceum na załatwienie wszystkich problemów. Stała się niejako nową naturą Europy. Pisze o niej F. Koneczny: „Do wszystkiego a wszystkiego, co da się pomyśleć, ustanawia się urząd. Ile nowych potrzeb, ile nowych braków, tyle nowych urzędów i już rzecz załatwiona! Pędzono z całych sił na te wyżyny cywilizacyjne, aż przegonił wszystkich socjalizm biurokratyczny, a wszystkich socjalistów rosyjski bolszewizm. Trudno przypuścić, żeby istniało coś jeszcze wyżej. Woła się o 'człowieka nowego', a tymczasem socjalizm hoduje homunkulusa. Retorty do tego znajdują się niemal wyłącznie w ręku żydowskim."[77] Od rewolucji francuskiej, tj. od nadania praw obywatelskich synom Dawida, cywilizacja żydowska ciągle zmaga swoje wpływy w świecie, patronując z reguły ruchom socjalistycznym.

Polska w XVII i XVIII w. została dotknięta plagą pauperyzacji. Wojny. Nastał pochód wstecz. Kurczyły się zróżnicowanie życia zbiorowego, stratyfikacja. Za Sasów istniała tylko jedna warstwa społeczna, warstwa rolnicza. Kmieć zniknął pośród poddanego chłopstwa, a mieszczanin przestał odgrywać rolę poważnego kupca. Na miejsce mieszczaństwa wkroczyli Żydzi, którzy od połowy XVII w. zdominowali handel. „Schodziliśmy – podkreśla profesor – na szary koniec narodów cywilizacji łacińskiej – i to pomimo Beresteczka, pomimo Wiednia. Skutkiem niedostatku umysłów teoretycznych zmniejszała się ilość abstraktów w polskich głowach, przepadło w Polsce wykształcenie filozoficzne, z czego wyniknął następnie brak ścisłości, syntetyczności, wytrwałości, urywania w pół; słowem ciężkie niedomagania w kulturze czynu. Z upadkiem intelektu zmniejszyła się też biegłość w załatwianiu spraw publicznych, zaginął umysł polityczny." [78] Struktura społeczna Litwy i Rusi była oligarchiczna, Korona cieszyła się ustrojem demokratycznym. Jednak szereg urzędów w Polsce było zarezerwowanych Litwie, skąd szerzył się paraliż cywilizacyjny na cały kraj wskutek przenikania kultury moskiewskiej. Wydaje się, że przykładów starczy.

Teraz trzeba zastanowić się nad przyczynami dominacji cywilizacji niższej nad wyższą. Otóż wypada zwrócić uwagę, że niższość *(inferioritas)* jest mniej skomplikowana i łatwiejsza do ogarnięcia. Przemawia ona bardziej do zachcianek i do zmysłów ludzkich.[79] Udział w wyższości pociąga za sobą większe natężenie intelektu, w niższości – mięśni. Wielu, nie spełniając warunków umysłowych, optują za cywilizacją niższą. „Upadek charakterów, nauk i oświaty w pewnym społeczeństwie – zwraca uwagę historiozof – nie tylko obniży zawsze szczebel cywilizacyjny, lecz w razie bezpośredniej styczności z cywilizacją niższą, może wytworzyć ruch zwrotny, dezercję ku cywilizacji obcej, niższej."[80]

Wyższość wymaga zasadniczo większej energii duchowej niż fizycznej, jeśli ma piąć się w górę. W tym celu jest potrzeba znacznej ilości ludzi przejętych etyką i należycie wykształconych, aby sprostać wymogom komplementarnego rozwoju jednostki i zbiorowości. Tego nie żąda niższość. W niej bowiem żyje się wygodniej, mniej stresowo. Wcale nierzadko idzie spotkać ludzi korzystających z dobrodziejstw techniki cywilizacji łacińskiej, ale zachowujących buddyjską obojętność na sprawy ducha. Przeto do stanu acywilizacyjnego można dojść zgoła bez katastrof; wystarczy być bezczynnym, obojętnym. Kultura czynu szwankuje, gdy panuje kult łatwizny w domu, szkole, zakładzie, polityce, mass – mediach, na ulicy. Wtedy jednostki i zbiorowości zmierzają ku niższości, ku ruinie. Przyspieszenie dekadencji następuje wtedy, gdy etykę zastępuje się prawem.

„Nie godzi się popierać tego, co gorsze – podkreśla F. Koneczny. Walka z niższością należy do warunków rozwoju cywilizacyjnego."[81]

Zakończenie

Cywilizacja jako metoda ustroju życia zbiorowego w ujęciu F. Konecznego posiada nade wszystko wymiar socjologiczno – etyczny oraz strukturalistyczno – funkcjonalistyczny. Wewnętrznie jest zdeterminowana *prawem współmierności* (1) Jego ekstremami są: zasada niesprzeczności (*minimum)* i zasada harmonii (*maximum).* W tym przedziale mieści się cywilizacja, która może składać się z szeregu kultur, podległych potencjalnym syntezom.

Cywilizacje posiadają siłę do rozprzestrzeniania się, ponieważ występuje tu *prawo ekspansji (2).* Jego dynamika zależy od wewnętrznej spójności, czyli koherentności elementów tworzących metodę życia zbiorowego. Im większa kompatybilność, tym cywilizacja żywotniejsza i bardziej ekspansywna.

Cywilizacje rządzą się *prawem nierówności (3).* Polega ono na tym, że w ramach określonej agregacji istnieje stratyfikacja społeczna i zróżnicowanie majątkowe jednostek, będące wynikiem dywersyfikacji uzdolnień ludzkich oraz rezultatem okoliczności miejsca i czasu. Wszelkie próby w ciągu dziejów zmierzające do zniesienia tego prawa kończyły się fiaskiem.

Między cywilizacjami nie występują syntezy, lecz tylko między kulturami danej metody zrzeszeniowej. Chodzi tu o *prawo niemożności syntez (4).* Postępowanie wbrew temu prawo pociągało za sobą zawsze klęskę i rozczarowanie. Historia dostarczyła na ten temat wiele przykładów.

Zabiegi wokół syntez cywilizacyjnych kończyły się porażką i prowadziły do powstania mieszanek. Te z kolei przynosiły negatywne skutki. Doprowadzały do fermentu wewnątrz cywilizacji, rozwichrzenia stosunków społecznych. Nierzadko wywracały cywilizacje. Dochodziło do głosu *prawo szkodliwości mieszanek (5)* różnych metod życia zbiorowego.

Prawo przewagi niższości (6) ma miejsce wtedy, gdy cywilizacja o większym iloczynie socjalizacji ustępuje cywilizacji niższej. Często w grę wchodzi przymus, środki represji (np. dominacja ZSRR w Polsce po drugiej wojnie światowej). Ale przewaga niższości może brać górę w społeczeństwach „sytych" w czasie pokoju, czego jesteśmy świadkami. Na naszych oczach wigor intelektu w cywilizacji łacińskiej powoli zanika, natomiast myślenie powierza się innym. Szerzy się kult rzeczy materialnych i konsumpcji.

Święta Katarzyna, dn. 6 IX 2009

[76] Tamże, s. 307.
[77] Tamże, s. 309.
[78] Tamże, s. 312.
[79] Por. obecne reklamy telewizyjne i bilbordowi – uwaga autora.
[80] F. Koneczny, *Prawa dziejowe*…, dz. cyt., s. 314
[81] Tamże, s. 317.

Włodzimierz Gąsiewski

Multimedia w edukacji i praktyce ... (2)

Kreatywna szkoła, to twórczy uczeń...

... – technologie informacyjne i Internet w nauczaniu przedmiotowym, to pełny tytuł projektu Centrum Kształcenia Praktycznego w Mielcu. Zainaugurowała go pod takim samym hasłem konferencja, która odbyła się 10 marca br. w Samorządowym Centrum Kultury w Mielcu. Wzięło w niej udział 130 nauczycieli, uczestników projektu oraz zaproszeni goście, m.in: Marek Paprocki - Przewodniczący Rady Powiatu Mieleckiego, Józef Smaczny - Wicestarosta Powiatu Mieleckiego, Bogdan Bieniek - Wiceprezydent Miasta Mielca, Stanisław Tomza - Dyrektor Wydziału Edukacji, Kultury i Sportu Starostwa Powiatowego w Mielcu oraz prelegenci.

Zdzisław Nowakowski

Konferencję otworzył Dyrektor CKPiDN w Mielcu Zdzisław Nowakowski, który przedstawił założenia projektu i cel, którym jest podniesienie jakości oferty edukacyjnej szkół w powiecie mieleckim poprzez opracowanie i wdrożenie materiałów i narzędzi dydaktycznych do prowadzenia kształcenia na odległość. W projekcie bierze udział 150 nauczycieli z 16 szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych z powiatu mieleckiego oraz około 2400 uczniów. Na zakończenie projektu zostaną utworzone Powiatowe Otwarte Zasoby Edukacyjne (POZE) zawierające e-kursy z różnych przedmiotów wypracowane przez uczestników. Dyrektor CKPiDN podkreślił że projekt nie jest dedykowany nauczycielom informatyki lecz nauczycielom różnych przedmiotów. Informację dyrektora Nowakowskiego ilustrowała prezentacja multimedialna, która dostępna jest na stronie: http://projekty.ckpidn.proart.pl/kreatywna/images/prezentacje/kreatywna.pdf

* * *

Zdzisław Nowakowski ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej (1979) oraz studia podyplomowe z: informatyki (1984), zarządzania oświatą (2000), przygotowania kadry do prowadzenia kształcenia ustawicznego na odległość (2008). Jest dyrektorem Centrum Kształcenia Praktycznego i Doskonalenia Nauczycieli w Mielcu. Jest autorem oraz współautorem kilkunastu książek, programów nauczania oraz kilkudziesięciu artykułów z dziedziny informatyki i technologii informacyjnej.

W 2009 roku z zespołem nauczycieli z CKPiDN opublikował w Wydawnictwach Szkolnych i Pedagogicznych podręcznik Technologia informacyjna w internecie, który składa się z dwóch elementów: tradycyjnego podręcznika w wersji papierowej oraz systematycznie uaktualnianych zasobów elektronicznych znajdujących się na platformie e-learningowej Moodle.

Od 1998 jest członkiem Zespołu Zadaniowego „Interkl@sa" – ogólnopolskiej inicjatywy przygotowującej społeczność szkolną do funkcjonowania w społeczeństwie informacyjnym. Jednym z przedsięwzięć, którym osobiście kieruje, jest przyznawany szkołom Znak Jakości „Interkl@sa". Jest także członkiem Polskiego Towarzystwa Informatycznego.

W latach 2000-2001 był inicjatorem oraz przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego XVI i XVII Konferencji Informatyka w Szkole w Mielcu. Od 1993 roku współpracuje z Instytutem Informatyki Politechniki Warszawskiej, prowadząc zajęcia na studiach podyplomowych z metodyki nauczania informatyki oraz technologii informacyjnej.

Od 2003 jest członkiem Rady ds. Edukacji Informatycznej i Medialnej przy Ministrze Edukacji Narodowej oraz rzeczoznawcą MEN w zakresie wydawania opinii merytoryczno-dydaktycznych o podręcznikach szkolnych i pomocach dydaktycznych.

Prof. dr hab. Maciej Sysło

Wykład prof. Macieja Sysło z Uniwersytetu Wrocławskiego dotyczył nowych trendów w edukacji w społeczeństwie informacyjnym (personalizacji kształcenia, konieczności kształcenia przez całe życie) oraz zmieniającego się ucznia (skupionego na sobie i własnych problemach, trudnego do zmotywowania, podważającego autorytety). „Doceńmy, że uczeń może mieć własne wyobrażenie szkoły" mówił profesor na wykładzie. Podkreśli powszechność korzystania z TI przez uczniów, jednak w małej mierze fakt ten wykorzystywany jest przez nauczycieli do celów edukacyjnych.

* * *

Maciej Sysło urodził się 3 listopada 1945 w Tarnowie. Studia, stopnie i tytuły naukowe: Uniwersytet Wrocławski, matematyka – 1968; dr – 1973; dr hab. – 1980; prof. – 1991. Staże i stypendia zagraniczne: University of Tokyo 1974-1976, Alexander von Humboldt Stifftung, Bonn 1982-1984, 1989; Fulbright Foundation Senior Research Grant, University of Oregon (USA) 1996-1997.

Praca naukowo-dydaktyczna: Uniwersytet Wrocławski, Instytut Informatyki od 1968, dyrektor Instytutu 1984-1991, 1993-1996; pełnomocnik rektora ds. informatyzacji uczelni (lata 80' i 2004-2005). Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu od 2005 roku; kierownik Zakładu Metodyki Nauczania Informatyki i Technologii Informacyjnej.

Członkostwa PTM, AMS, ACM, IEEE, IFIP (TC 3, on Education), Stowarzyszenie Nauczycieli Technologii Informacyjnej (członek zarządu).

Funkcje z wyboru: przedstawiciel Polski w Technical Committee 3 on Educa-

tion, działającego w ramach IFIP; członek Rady ds. Edukacji Informatycznej i Medialnej (MEN); Członek Rady Programowej przy Centralnej Komisji Egzaminacyjnej, Warszawa (2003-2005); członek Państwowej Komisji Akredytacyjnej (2003-2004), Ekspert PKA (od 2002).
Nagrody: nagroda NOT 1968, nagroda PTM im. H. Steinhausa 1986, nagrody MEN 1993, 1998, 2002.
Specjalizacja i działalność naukowa: matematyka – kombinatoryka, teoria grafów, informatyka – matematyka dyskretna, dydaktyka informatyki. Autor koncepcji edukacji informatycznej w szkołach różnego typu, twórca i lider zespołu edukacji informatycznej w Instytucie Informatyki UWr. i na Wydziale Matematyki i Informatyki UMK, Visiting professor w: Washington State University, Pullman 1981-1982; Uniwersytet w Kopenhadze 1987, 1992; Uniwersytet w Groningen, Holandia 1991-1992. Redaktor naczelny czasopisma Komputer w Edukacji; członek Komitetu Redakcyjnego czasopism: Discussiones Mathematicae. Graph Theory, Matematyka i komputery, Informatics In Education (Wilno). Organizator corocznych konferencji „Informatyka w szkole" w latach 1985-2004.
Publikacje: ponad 150 publikacji matematycznych, informatycznych i dydaktycznych, blisko 30 książek (podręczników), m.in. książki: Discrete Optimization Algorithms with Pascal Programs, Prentice Hall 1983 oraz wydanie w jęz. polskim (współautor); Elementy informatyki. T. 1-3, PWN, Warszawa 1988-98 (wyd. 1-9, współautor, redaktor); Algorytmy, WSiP, Warszawa 1997; Piramidy, szyszki i inne konstrukcje algorytmiczne, WSiP, Warszawa 1998; programy nauczania, podręczniki i poradniki do informatyki dla szkół podstawowych (WSiP, Warszawa 1999), gimnazjów (WSiP, Warszawa 2000) i szkół średnich (WSiP, Warszawa 2002-04). Twórca koncepcji oprogramowania edukacyjnego: pakiet EI (1993), oprogramowanie TI'99 (1999), e- podręcznik.
Dewizy: robić lepiej to, co inni robią dobrze; łączą nas więzy ludzkie, nie maszyny.
Hobby: praca, historia komputerów (kolekcja kalkulatorów mechanicznych), muzyka, m.in. Chopin, Mozart oraz Enigma, Vangelis, Oldfield, Jarre.
Lektury: literatura japońska (Haiku), F. Clifford, biografie, historia nauki i odkryć

Dr hab. inż. Janusz Morbitzer

* * *

Dr Janusz Morbitzer z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie skupił się wokół charakterystyki pokolenia dzieci i młodzieży jako pokolenia sieci. Podkreślił znaczenie posługiwania się obrazem i jego wpływem na życie społeczeństwa („kto zarządza obrazem zarządza umysłem"). Zwrócił uwagę na wzrost wiedzy w poszczególnych dziedzinach i konieczność ustawicznego uczenia się nauczycieli. Rola nauczyciela wobec zmian cywilizacyjnych powinna się koncentrować na działaniach wychowawczych kierowanych do dzieci i młodzieży.

* * *

Janusz Morbitzer jest absolwentem krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej (kierunek: informatyka, studia ukończone z wyróżnieniem). Doktoryzował się i habilitował z zakresu nauk humanistycznych (pedagogika, specjalność: pedagogika medialna).

Od roku 1985 nieprzerwanie pracuje w Uniwersytecie Pedagogicznym im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie (dawniej: Akademia Pedagogiczna), od kwietnia 2009 roku na stanowisku profesora nadzwyczajnego. Od roku 1990 pełni funkcję kierownika Katedry Technologii i Mediów Edukacyjnych (dawniej: Pracownia Technologii Nauczania). Od kilku lat prowadzi też wykłady w ramach Technicznego Uniwersytetu Otwartego przy krakowskiej AGH.

Zajmuje się szeroko pojętą tematyką edukacji informatycznej i medialnej, ze szczególnym uwzględnieniem edukacyjnych zastosowań mikrokomputerów, Internetu i innych tzw. nowych mediów. W swoich pracach koncentruje się na badaniu społecznych, cywilizacyjnych, kulturowych i edukacyjnych konsekwencji rozwoju mediów oraz poszukiwaniu optymalnych metod ich stosowania w procesie kształcenia i samokształcenia. Ważnym elementem naukowych dociekań prof. Janusza Morbitzera jest zagadnienie zagrożeń ze strony mediów elektronicznych oraz technologii informacyjnej.

Jest autorem ponad 100 artykułów naukowych, 5 monografii, kilku haseł w Encyklopedii Pedagogicznej XXI wieku (m.in. społeczeństwo informacyjne, technopol, globalna wioska, informacyjny zalew) oraz redaktorem naukowym 14 materiałów konferencyjnych. Do najważniejszych prac należą: Edukacja wspierana komputerowo a humanistyczne wartości pedagogiki (2007), Współczesna technologia kształcenia (1997), Mikrokomputer dla nauczyciela humanisty (1994), Adaptacyjny mikrokomputerowy system kontroli wiedzy studentów (1992).

Jest organizatorem ponad 20 dużych ogólnopolskich konferencji naukowych, w tym corocznych (od roku 1991) sympozjów naukowych nt. „Komputer w edukacji". Sympozjum to należy do najważniejszych w Polsce imprez naukowych poświęconych edukacyjnym zastosowaniom komputerów, Internetu i innych narzędzi technologii informacyjnej.

Od stycznia 2003 roku jest członkiem Rady ds. Edukacji Informatycznej i Medialnej, będącej organem doradczym Ministra Edukacji Narodowej.

Uczestnicy konferencji

Dr hab. inż. Jan Kusiak

* * *

Otwarta przestrzeń edukacyjna w uczelni była tematem wykładu dr hab. inż. Jana Kusiaka , prof. Akademii Górniczo – Hutniczej z Krakowa. E-learning nie stanowi wyzwania dla współczesnego ucznia, gdyż dla niego TI jest naturalnym środowiskiem. Trudnościom związanym z wdrażaniem e-learningu musi stawić czoło nauczyciel, któremu platforma edukacyjna daje możliwość twórczego rozwijania metod dydaktycznych i materiałów edukacyjnych. W końcowej części swojej prezentacji profesor zaprosił nauczycieli do korzystania z otwarych zasobów interetowych AGH.

Dr Kusiak poruszył jeszcze inny niezwykle ważny problem, a mianowicie przestrzegania praw autorskich w Internecie. Przedstawił on koncepcję licencji Creative Commons (CC), która umożliwia kompromis pomiędzy prawami twórcy, a potrzebami odbiorcy, twórca zachowuje prawa do swojego dzieła, odbiorcy mają do niego ułatwiony dostęp, jest także zapewniona ochrona praw autorskich bez blokowania obiegu kultury. Główne warunki użycia licencji CC to: Uznanie autorstwa (BY), na tych samych warunkach (SA), użycie niekomercyjne (NC) i bez utworów zależnych (ND). Umożliwianie tej i innych „wolnych licencji" umożliwia zamieszczenie w Internecie Otwartych Zasobów Edukacyjnych, które są publicznie dostępne, wraz z prawem do dalszego wykorzystania.

* * *

Od początku studiów związany z Akademią Górniczo-Hutniczą. Studia w zakresie automatyki na Wydziale Elektrotechniki Górniczej i Hutniczej AGH (1974) i doktorat na tym samym Wydziale w zakresie teorii sterowania (1978). Od 1976 roku pracuje na Wydziale Inżynierii Metali i Informatyki Przemysłowej AGH (od 1997 na stanowisku profesora nadzwyczajnego). Główne zainteresowania naukowe związane są z komputerowym modelowaniem procesów metalurgicznych, ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień optymalizacji oraz wykorzystaniem sztucznej inteligencji w inżynierii metali. Odrębnym obszarem zainteresowań są zagadnienia związane z e-learning. Od 2003 roku kieruje Centrum e-Learningu AGH (dawniej Ośrodek Edukacji Niestacjonarnej).

* * *

Z kolei prelekcja i prezentacja dr Janusza Trawki z Polskiego Towarzystwa Informatycznego była niejako ukoronowaniem mieleckiej konferencji. podkreślił interaktywność i multimedialność dostępnych środków dydaktycznych. Wskazywał sytuacje dydaktyczne, które mogą hamować i rozwijać twórczość ucznia. Dr Janusz Trawka przedstawił to w sposób niekonwencjonalny, a miejscami nawet humorystyczny, trafnie jednak ujmując przedstawione przez siebie problemy. Ożywił on tym też, poważną, naukową atmosferę panującą na sali. Dr Janusz Trawka, przedstawił m.in. cechy dziecka twórczego wyróżniające go spośród innych dzieci, a mianowicie jego „szeroką rozpiętość uwagi, która umożliwia mu koncentrowanie się i bycie wytrwałym w rozwiązywaniu problemów i pogłębianiu zainteresowań".

* * *

Janusz Trawka jest Prezesem Zarządu Oddziału Górnośląskiego Polskiego Towarzystwa Informatycznego oraz Przewodniczącym Stowarzyszenia Komputer i Sprawy Szkoły "kiss ;)". Śląski Koordynator Europejskiego Certyfikatu Umiejętności Komputerowych. Od wielu lat jest wykładowcą i Kierownikiem Studiów Podyplomowych głównie dla Dyrektorów Szkół i Nauczycieli kilku śląskich uczelni. Zajmuje się kwestiami dydaktyki i metodyki technologii informacyjnej i informatyki w zarządzaniu, nauczaniu i szeroko pojętym obszarze edukacji. Jest orędownikiem prakseologicznego podejścia do pracy i życia. Inne zainteresowania zawodowe to informatyka śledcza, grafika komputerowa oraz e-bezpieczeństwo.

* * *

W ostatniej części konferencji Artur Bodziony z CKPiDN w Mielcu przedstawił pomysł na szkolną pracownię multimedialną i sposoby wykorzystania w szkole nowoczesnego sprzętu komputerowego. Od wielu lat CKPiDN zajmuje się popularyzacją i wdrażaniem nowych technologii, które ułatwiają pracę nauczycieli z uczniami. Zostały zaprezentowane Mimio (interaktywna przystawka do tablicy), wizualizer (cyfrowy rzutnik pisma i przedmiotów) oraz Testico Edu (oprogramowanie do przygotowywania testów).

dr Jan Trawka

* * *

Artur Bodziony ukończył studia magisterskie na wydziale fizyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie (1994) i studia podyplomowe z Informatyki (1996), BEA SYSTEMS Preston - Trainers Training in Complex CAD/CAM Systems Design CATIA (2000), Politechnika Warszawska – Instruktor Akademii Sieci CISCO CCNA (2006).

Zajmuje się: administracją sieciowych systemów operacyjnych Novell NetWare,Linux Server, Windows Server SBS, MAC OS X Server, prowadzeniem kursów sieciowych, administracją i serwisowaniem platform e-learningowych, koordynacją egzaminów w Centrum Egzaminacyjnym Europejskiego Certyfikatu Umiejętności Komputerowych w Mielcu.

Obecnie pracownik Centrum Kształcenia Praktycznego i Doskonalenia Nauczycieli w Mielcu zatrudniony na stanowisku specjalisty do spraw e-learningu. Prowadzi zajęcia w Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie zamiejscowy ośrodek dydaktyczny w Mielcu.

Zdjęcia: W. Gąsiewski
Źródła:
www.powiat-mielecki.pl
www.ckp.edu.pl

Artur Bodziony

Andrzej Szypuła

45 lat Chóru ZNP „Cantus” w Rzeszowie

Cantus, Cantus, Cantus, chcemy piosenką radość nieść,
Cantus, Cantus, Cantus, niech się rozlega nasza pieśń.
Cantus, Cantus, Cantus, przyrodzie wtór i życiu wtór,
Cantus, Cantus, Cantus, to nasz rzeszowski chór.

To fragment refrenu hymnu rzeszowskiego Chóru ZNP „Cantus” autorstwa Adama i Urszuli Potocznych, wywodzących się z zaprzyjaźnionego z polonijnym Chórem „Cantus” Chóru im. Fryderyka Chopina z Chicago. A rzecz cała stała się za sprawą Alicji Borowiec, która przez 17 lat była prezesem chicagowskiego chóru, a po powrocie z USA wstąpiła do rzeszowskiego Chóru ZNP „Cantus”. I tak przyjaźnie obu chórów trwają do dziś.

Starannie wydana w 2009 roku przez Wydawnictwo „AWR Atrium” w Łące koło Rzeszowa monografia pt. „Chór Związku Nauczycielstwa Polskiego „Cantus” w Rzeszowie 1964-2009. Jubileusz 45-lecia” pod redakcją Józefa Kawałka ukazuje wieloletnią, twórczą aktywność rzeszowskich nauczycieli i to nie tylko w dziedzinie chóralnej. Wielu członków chóru z pasją oddaje się poezji, malarstwu, fotografice, publicystyce, twórczości muzycznej, nawet artystycznym haftom. Wielu chórzystów wstąpiło do powstałego w 2007 roku Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury, które przejawia w Rzeszowie wielostronną i aktywną działalność. Pracują sekcje: literacka, plastyczna, muzyczna, teatralna, fotograficzna, pedagogiczno-dydaktyczna.

Przywodzi mi to na myśl najlepsze tradycje nauczycielskiego zawodu, kiedy to nauczyciel był wielkim autorytetem w środowisku, działaczem społecznym, animatorem i organizatorem kultury, inspiratorem wielu wartościowych przedsięwzięć w lokalnych społecznościach, cieszył się ogólnym prestiżem i szacunkiem. Chór ZNP „Cantus” te tradycje przypomina, uwrażliwia na piękno sztuki, przyrody, ukazuje niezmienne, humanistyczne wartości życia człowieka, które czynią go wrażliwym, szlachetnym i przydatnym dla innych.

Z podziwem przeglądam monografię rzeszowskiego Chóru ZNP „Cantus”. Myślę, że to nie tylko opis działalności zespołu o wielorakich zainteresowaniach i pasjach, ale także kawał historii rzeszowskiej kultury, także muzycznej. Już sami dyrygenci, których sylwetki przedstawiono bardzo starannie, świadczą o bardzo dobrej opiece artystycznej i wysokich ambicjach Chóru. Chórem dyrygowali: Jan Wołowiec, Zdzisław Putyło, Andrzej Jakubowski, Tomasz Kupkowski, Kazimierz Dzięgiel i obecnie Otylia Piechowska. To znane postacie pedagogiki muzycznej i ruchu muzycznego w Rzeszowie i regionie. To właśnie czterem nieżyjącym już dyrygentom - Kazimierzowi Dzięglowi, Tomaszowi Kupkowskieniu, Zdzisławowi Putyle i Janowi Wołowcowi dedykowana jest omawiana monografia.

Są w monografii także sylwetki zasłużonych chórzystów - z „matką” pierwszego Chóru ZNP Stefanią Ćwiek na czele, o żartobliwych podtytułach i serdecznych, koleżeńskich odniesieniach do cech charakteru czy specyfiki prowadzonej działalności. Wielu z tych działaczy położyło ogromne zasługi w budowaniu powojennej rzeczywistości w różnych dziedzinach życia społecznego Rzeszowa i regionu. A wszystko ubarwione licznymi, ciekawymi zdjęciami i starannymi, szczegółowymi podpisami osób. Warto podkreślić niezwykle ważny walor historyczny i dokumentacyjny monografii.

Działalność Chóru w różnych okresach powojennej rzeczywistości społeczno-politycznej napotykała na różne przeszkody i trudności. Jednak zapał i oddanie animatorów Chóru zdołały pokonać wszystkie dziejowe burze i Chór trwa, choć zdarzały się kilkuletnie przerwy w jego działalności.

Zachował się dokument o powołaniu Chóru z inicjatywy Zarządu Oddziału Powiatowego ZNP w Rzeszowie, jak i pierwsze programy występów artystycznych Chóru. A w ciągu 45 lat było ich naprawdę sporo! Wraz ze zdjęciami znajdziemy ich opis, relacje z występów, recenzje prasowe. Są też starannie sporządzone wykazy członków Chóru z różnych lat jego działalności.

Na 236 stronach monografia tętni życiem i mieni się żywymi kolorami tęczy wielobarwnej działalności artystycznej rzeszowskich nauczycieli. Są pięknie reprodukowane obrazy utalen-

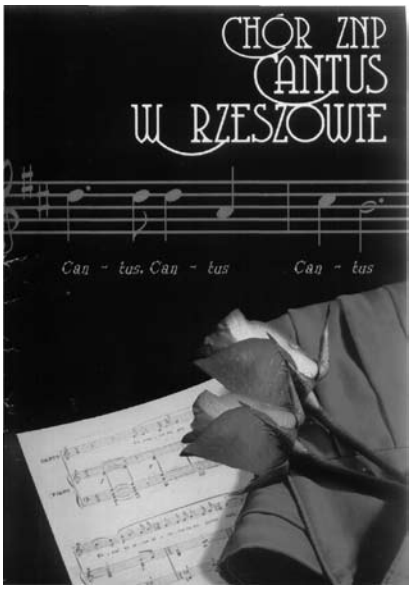

towanych malarsko chórzystów, są wiersze, fragmenty publikacji książkowych, opracowania historyczne, muzyczne, wspomnienia z trudnych lat wojny, a wszystko przeniknięte umiłowaniem rodzinnej ziemi, nauczycielskiego zawodu, czy raczej powołania pojmowanego jako służba innym - poprzez to, co piękne, dobre i szlachetne.

Szczerze gratuluję inicjatorom wydania monografii Chóru - Regionalnemu Stowarzyszeniu Twórców Kultury. Ukazuje ona w perspektywie kultury piękno i wartość zawodu nauczycielskiego. Dobrze, że wspomniane Stowarzyszenie znalazło swoją siedzibę w gościnnych murach Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie.

Warto wspomnieć o sponsorach monografii. Są to: Urząd Miasta Rzeszowa, Kuria Diecezjalna w Rzeszowie, Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie, Rzeszowska Spółdzielnia Mieszkaniowa, Związek Nauczycielstwa Polskiego Zarząd Okręgu Podkarpackiego.

A ja podziwiam Pana Józefa Kawałka, redaktora monografii, który z pasją i oddaniem, niezwykłą starannością i zaangażowaniem podjął się - z jakże pięknym skutkiem! -opracowania dzieła, które krzepi ducha, budzi optymizm i daje wzór społecznej aktywności przez wieloraką działalność artystyczną i społeczną naszych rzeszowskich nauczycieli.

* * *

Andrzej Szypuła urodził się w Wiśniowej nad Wisłokiem. Absolwent Akademii Muzycznej w Poznaniu. Dyrygent, pedagog, publicysta, redaktor naczelny „Kamertonu", pisma muzyczno-literackiego ukazującego dorobek twórczy kompozytora i pisarza Zygmunta Mycielskiego, poruszającego także zagadnienia kultury muzycznej regionu podkarpackiego i kultury polskiej.

Aktywny działacz Polskiego Związku Chórów i Orkiestr Oddział w Rzeszowie (w latach 90. XX wieku dyrektor artystyczny), prezes Towarzystwa im. Zygmunta Mycielskiego w Wiśniowej, prezes Stowarzyszenia Rodzin Katolickich Diecezji Rzeszowskiej w latach 2000-2004 (obecnie członek Zarządu), wiceprezes Rzeszowskiego Towarzystwa Muzycznego, kierownik muzyczny spektakli operowych i teatralnych, pedagog szkół muzycznych, współzałożyciel i wykładowca Diecezjalnego Studium Organistowskiego w Rzeszowie, autor ok. 600 publikacji z dziedziny kultury, szczególnie muzycznej, także monografii regionalnych, autor opracowań chóralnych, audycji radiowych i telewizyjnych, organizator konferencji i sesji naukowych. Laureat Nagrody „Mistrz Mowy Polskiej" w 2003 roku. Człowiek Roku 2005 Miasta Strzyżowa.

Pełnił funkcje kierownicze – dyrektor Szkoły Podstawowej w Wiśniowej w latach 1988-1990, kierownik Wydziału Wokalnego i Zespołów Kameralnych Zespołu Szkół Muzycznych Nr 1 im. Karola Szymanowskiego w Rzeszowie w latach 1990-1998, dyrektor Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie w latach 1998-1999, kierownik Oddziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Urzędzie Marszałkowskim w Rzeszowie w latach 1999-2004, przewodniczący Komisji Kultury, Sportu i Promocji Rady Miasta Rzeszowa w latach 2002-2006.

Kierownik artystyczny i dyrygent wielu chórów, orkiestr i zespołów kameralnych, m. in. Chóru Męskiego „Echo", Kapeli Dętej „Dechovka" i Młodzieżowej Orkiestry Dętej w Stargardzie Szczecińskim, Orkiestry Symfonicznej Zespołu Szkół Muzycznych Nr 1 w Rzeszowie, Rzeszowskiej Orkiestry Kameralnej, Zespołu Instrumentów Dętych „Da Camera" Filharmonii Rzeszowskiej, Chóru „Sancta Familia" i „Collegium Musicum" w Rzeszowie, „Benedictus" w Czudcu, „Echo" w Wiśniowej, „Harfa" w Niewodnej. Inicjator Ogólnopolskiego Festiwalu Pieśni Religijnej „Cantate Deo" w Rzeszowie, „Deo Gloria" w Boguchwale, pomysłodawca i kierownik artystyczny Koncertów Wielkanocnych „Alleluja" w Rzeszowie, przeglądów pieśni maryjnych, eucharystycznych, kolędowych, wielkanocnych w regionie podkarpackim (Rzeszów, Tyczyn, Czudec, Gogołów, Dobrzechów, Niewodna). Od 1997 roku prowadzi Wieczory Muzyczne w Ratuszu w Rzeszowie, a także cotygodniowe felietony w Radio Rzeszów pt. „Opowieści muzyczne".

Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski „Polonia Restituta", Medalem im. Prof. Edmunda Maćkowiaka Akademii Muzycznej w Poznaniu, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem „Bene Merenti" za zasługi dla Kościoła, Medalem 70-lecia PZChiO, Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury", Złotą Odznaką z Laurem PZChiO, Odznaką „Zawsze Wierny Solidarności". Wyróżniony Nagrodami Ministra Kultury i Sztuki, Oświaty i Wychowania, Wojewody Rzeszowskiego, Miasta Rzeszowa, Rzeszowskiego Towarzystwa Muzycznego. W 2007 roku obchodzi 40-lecie pracy artystycznej i pedagogicznej.

Podziękowanie

Redakcja Kwartalnika „Nadwisłocze" gratuluje wspaniałego wydawnictwa i jednocześnie dziękuje za przekazanie egzemplarza albumu wraz ze specjalną dedykacją oraz podziękowaniami. Prezentowany album utrwali nie tylko historię Chóru „Cantus" w Rzeszowie, ale też dokonania jego wielu członków w wielu różnych dziedzinach.

Włodzimierz Gąsiewski

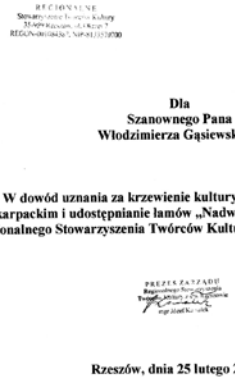

Dla
Szanownego Pana
Włodzimierza Gąsiewskiego

W dowód uznania za krzewienie kultury w województwie podkarpackim i udostępnianie łamów „Nadwisłocza" członkom Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury.

Rzeszów, dnia 25 lutego 2010 r.

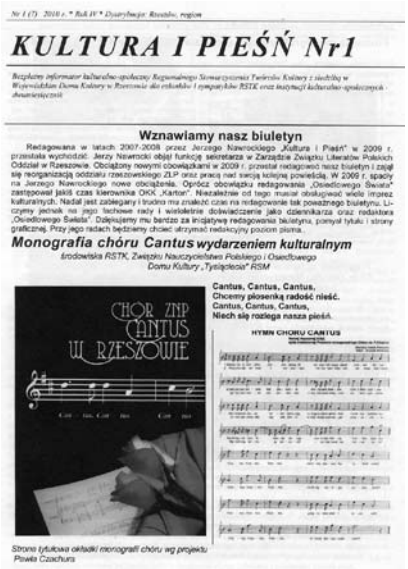

KULTURA I PIEŚŃ Nr1

Wznawiamy nasz biuletyn

Monografia chóru Cantus wydarzeniem kulturalnym

Cantus, Cantus, Cantus,
Chcemy piosenką radość nieść.
Cantus, Cantus, Cantus,
Niech się rozlega nasza pieśń.

HYMN CHÓRU CANTUS

CHÓR ZNP CANTUS W RZESZOWIE

Strona tytułowa okładki monografii chóru wg projektu Pawła Czachura

KULTURA I PIEŚŃ

Ukazał się pierwszy w tym roku oraz siódmy z kolei numer czasopisma „Kutura i Pieśń" bezpłatnego informatora kulturalno-społecznego Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie.

Czasopismo formatu A-4, liczy sobie 8 stron i jest w całości wydrukowane w kolorze. Prawie w całości poświęcone jest monografii chóru „Cantus" w Rzeszowie. Zamieszczona jest tam winieta publikacji, hymnu chóru „Cantus" oraz reportaż ze spotkania promocyjnego albumu w restauracji „Czarny Kot" w Rzeszowie, która odbyła się 25 stycznia br.

W czasopiśmie zamieszczone są także obszerne fragmenty przemówienia Józefa Kawałka, redaktora monografii-albumu oraz kolorowe zdjęcia ze spotkania. Następnie na temat monografii swoje artykuły zamieścili: Andrzej Szypuła oraz dr hab. Zygmunt Sibiga, profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Kolejny artykuł pt. „Kultura dla wszystkich", to rozmowa Stanisława Rusznicy z Józefem Kawałkiem, który jest także prezesem RSTK w Rzeszowie.

Czasopismo zamykają „Wydarzenia literackie", w tym informacja o tomiku Reginy Nachacz pt. „Cukiernia Słodka Psotka" oraz w dziale „Sylwetki twórcze RSTK", postać Bronisława Dryi, wiceprezesa RSTK i m.in inicjatora wydania monografii chóru. Zamieszczone są tam również aforyzmy Bronisława Dryi z jego cyklu pt. „Kobieta w aforystyce".

W. Gąsiewski

WYSTAWA DOROCZNA

Klubu Środowisk Twórczych Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej im. prof. Władysława Szafera

Doroczne wystawy zawsze bywały wydarzeniem, ponieważ przedstawiały dorobek twórczy lokalnych środowisk artystycznych. Tak też jest rokrocznie w przypadku Mielca, w którym Klub Środowisk Twórczych TMZM działa już 29 lat i niemal wszyscy mieleccy adepci sztuki otarli się o jego szeregi.

Podobnie było i w roku obecnym, 5 marca, podczas otwarcia „Wystawy Dorocznej", którego dokonali: Jerzy Kazana - prezes TMZM oraz Janusz Zborowski - prezes KŚT i jednocześnie komisarz wystawy. W tej dorocznej prezentacji wzięło udział 29 twórców, głównie malarstwa, rzeźby, ale też i haftu, reliefu oraz foto... a nawet makro... fotografii. W sumie na dość ciasnej powierzchni przedstawiono ponad 90 prac z różnych dziedzin sztuki.

Wystawiali je: Andrzej Bednarz - malarstwo, Jan Brożyna - malarstwo, Andrzej Ciach - rzeźba i rzemiosło artystyczne, Stanisław Czarniecki - rzeźba, Jan Drews - malarstwo, Dominika Guła - malarstwo, Krystyna Gargas-Gąsiewska - akwarela, Włodzimierz Gąsiewski - fotografia (cykl zdjęć „Katolickie twarze Białorusi"), Wiesława Górak - rzeźba, Maria Korzeniewska - pastele,

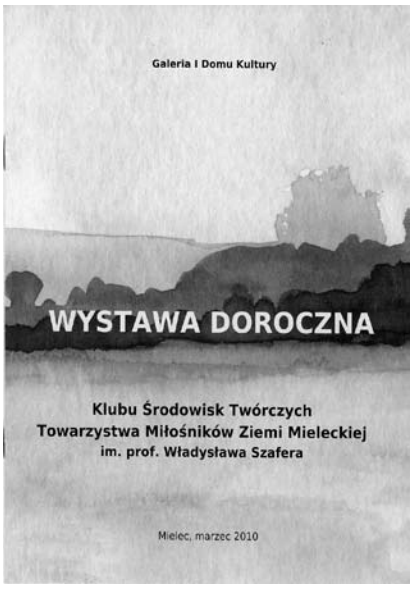

Sylwia Krupińska - malarstwo, Barbara Krupińska - malarstwo, Danuta Kośla - malarstwo, Edward Kociański - malarstwo, Anna Kazana - haft, Józefa Kardyś - malarstwo, Józefa Krzak - fotografia, Ryszard Laskowski - haft, Krystyna Laskowska - haft, Dorota Łaz - malarstwo, Ryszard Maglecki - malarstwo, Marian Pietruszka - malarstwo, reliefy, Stanisław Szęszoł - rzeźba, Jan Stępień - malarstwo, Halina Saj - malarstwo na szkle, Kamil Taraszka - malarstwo, Teresa Wenta - makrofotografia, Maria Zapolska - malarstwo. Eksponowana była też wystawa fotograficzna pt. „TMZM w obiektywie 2008-2009", autorstwa Jerzego Kazany, Andrzeja Kobylarza, Józefy Krzak, Bartłomieja Maryniaka, Zbigniewa Michalskiego, Teresy Wenty, Zbigniewa Wicherskiego i Marka Woźniaka. Autorem scenariusza i aranżacji całej wystawy był Janusz Zborowski, który również przygotował i opatrzył wstępem okolicznościowy folder wystawowy.

Janusz Zborowski i Jerzy Kazana podczas otwarcia wystawy

Krystyna Gargas-Gąsiewska i Mariola Emerling podczas zwiedzania wystawy

Dorota Łaz, tryptyk „Martwa natura z instrumentami"

W tak dużym natłoku prac zgromadzonych na małej powierzchni, trudno było wyłowić, ciekawe i nowe pomysły artystyczne, zwłaszcza że niektórzy twórcy, po raz kolejny wystawili swoje prace z lat poprzednich. Warto jednak odnotować ciekawy tryptyk malarski młodego twórcy Kamila Taraszki, czy też oryginalny tryptyk Doroty Łaz. Godne uznania były też niemal jak żywe ptaki i kwiaty w akwareli Krystyny Gargas-Gąsiewskiej. Nadal zachwyca rzeźba Wiesławy Górak, należy odnotować też wciąż rozwijającego się malarza Ryszarda Magleckiego z Przecławia. Na uwagę zasługiwały też licznie zaprezentowane fotografie.

Inf. i fot. W. Gąsiewski

„KRAM RAM” – GALERIA SZTUKI

Kto jest właścicielm firmy „Kram Ram”. Proszę o przedstawienie się i powiedzenie kilku słów o sobie.
„Kram Ram” to spełnienie naszych długoletnich marzeń. Miałyśmy wielkie szczęście, że trafiłyśmy na siebie. Ja – Katarzyna Orłowska mam wykształcenie plastyczne, a Alina Surdej ekonomiczne.

Skąd się zrodził pomysł założenia firmy o takim charakterze i jakie są główne domeny jej działalności?
Obie pasjonujemy się sztuką, poezją, estetyką wnętrz i krajobrazu. Uwielbiamy Teatr. To sprawiło, że otworzyłyśmy „Kram Ram”- pracownię artystyczną, galerię i oprawę obrazów.
Zachęcamy do odwiedzenia naszej pracowni/galerii i skorzystania z usług profesjonalnej oprawy obrazów.
Znajdujące się u nas grafiki, akwarele, oleje, zdjęcia, gobeliny, mapy, plakaty, lustra, certyfikaty, dyplomy i wszelkie wytwory rzemiosła artystycznego objawią swą treść i piękno, któremu nadamy odpowiednią oprawę.
Oprócz oprawy obrazów wykonujemy także aranżację wnętrz, imprez okolicznościowych, sal bankietowych. itp.
Proponujemy również małe formy rękodzieła artystycznego, wyjątkowej urody ręcznie malowane pisanki, nieszablonowe kartki okolicznościowe, karnety, zaproszenia, bileciki, stroiki świąteczne.

„Kram-Ram” przy ul. Szalay-Groele” (fot. W. Gąsiewski)

Dlaczego firma została zlokalizowana na Mieleckiej Starówce i jak Panie oceniają zainteresowanie ze strony klientów?
Wiedziałyśmy, że Galeria musi być umiejscowiona na Mieleckiej Starówce, gdyż wierzymy, że stanie się ona w niedalekiej przyszłości mieleckim Kazimierzem. Cieszymy się bardzo, że mamy już wielu fajnych ludzi, którzy polubili to miejsce i doceniają nasze umiejętności, klimat i zaangażowanie.

Poza oprawą Kram Ram to także galeria. Jaka jest jej główna oferta, autorzy i ich dzieła...
Galeria Kram Ram powstała z myślą o osobach poszukujących prac niebanalnych, oryginalnych. Zapraszamy zatem, by w ciepłej, kameralnej atmosferze podziwiać twórczość artystów ziemi mieleckiej i okolic. Prezentujemy głównie malarstwo współczesne, abstrakcyjne (oleje, grafiki, akwarele), a ponadto wyroby rzemiosła artystycznego o wysublimowanym smaku (rzeźby, płaskorzeźby, zegary) oraz małe formy dekoracyjne. Organizujemy cykliczne wystawy i wernisaże, Swoje prace wystawili u nas: Dorota Łaz, Małgorzata Kruk, Grzegorz Cebula, Paweł Zachariasz, Andrzej Ciach, Stanisław Mityk, Witold Targosz, Jan Wozowicz, Ewa Skrzypiec, Sylwia Krupińska, Danuta Kośla, Tadeusz Płeszka, Antonio Massara, Edward Kociański.
Są u nas również do nabycia książki Andrzeja Ciacha i Jurka Mamcarza, oraz płyta Jurka, Krzyśka Krzaka, Trzeciej Zmiany i Andrzeja Szęszoła.
Kram Ram to jedyne miejsce w Mielcu gdzie skompletowane są wszystkie produkcje Mieleckiego Zagłębia Piosenki.

Jakie są zamierzenia na przyszłość?
Nie możemy zdradzać wszystkich naszych planów. Mamy ich wiele. Jesteśmy w trakcie realizacji dwóch projektów artystycznych, których pomysłodawcami i twórcami są Andrzej Ciach i Krzysiek Krawiec. Pierwszy to „Wariacje z Krawcem”, drugi „Szurnięte Anioły”. Udało nam się uzyskać wyłączność na te projekty.

Alina Surdej (fot. „Kram-Ram”)

Katarzyna Orłowska (fot. „Kram-Ram”)

Pytania zadał:
Włodzimierz Gąsiewski

GRAWERSTWO
MIELEC, ul. Hetmańska 6
tel. (0-17) 585 35 13
właściciel Józef Kardyś
WYRÓB PIECZĄTEK
SZYBKO, SOLIDNIE I TANIO!
Zapraszamy od 7.00 do 17.00

KRUPOL Marcin Krupa
TRANSPORT TOWARÓW
Mielec, ul. Poniatowskiego 3
tel. 0 17 779 05 94, 0 504 173 409

Mielecka STREFA
MAPY - PRZEWODNIKI
REKLAMA
Wieści Regionalne
POLIGRAFIA
PRASOWA
NADWIŚŁOCZE
WIZYTÓWKI
GADŻETY
MIELECKA STREFA - WIEŚCI REGIONALNE - NADWIŚŁOCZE
KWARTALNIK MIELECKO-PODKARPACKI
ULOTKI - NOTESY - TECZKI - PAPIERY - PLAKATY - DRUKI ITP.
CERAMIKA - TEKSTYLIA - DŁUGOPISY - KOMPLETY PIŚMIENNE
REKLAMOWE - KLASYCZNE - SKŁADANE
UPOMINKI METALOWE - ELEKTRONIKA
Agencja Wydawnicza Promocja AWP
39-300 Mielec, ul. Mickiewicza 7
tel./fax (0-17) 5831498 , tel. kom. 602 739 362

USŁUGI REMONTOWO-BUDOWLANE
"JAMAKO"
39-300 Mielec
ul. Baczyńskiego 8
tel. 017 773 09 37
tel. kom. 0 608 713 606
– remonty – wykończenia
– przeróbki – meble

KOMPUTEROWE PRZEPISYWANIE
PRAC MAGISTERSKICH, TEKSTÓW ITP.
WYDRUKI kolorowe i czarno-białe, SKANOWANIE
tel. kom. 606 389 218

MATEMATYKA!
korepetycje
mgr matematyki, nauczyciel dyplomowany
tel. 017 773 1294, tel. kom. 606 389

KREDYTY
PROSTA HIPOTEKA DLA FIRM I SPÓŁEK NA OŚWIADCZENIE BEZ DOKUMENTOWANIA DOCHODU NAWET DLA NOWO POWSTAŁYCH FIRM DO 1 MLN ZŁ, KREDYT POD ZASTAW SAMOCHODU NA OSWIADCZENIE DLA FIRM ROLNIKÓW I PRACUJĄCYCH BEZ DOKUMENTOWANIA DOCHODU I ZAŚWIADCZEŃ Z US/ZUS. HIPOTEKI NA OŚWIADCZENIE DLA PRACUJĄCYCH EMERYTÓW I RENCISTÓW
tel. 014 6813667, 501730095 CZYNNE OD 9-21

NIE WYRZUCAJ KSIĄŻEK !!!
SKUP MAKULATURY KSIĄŻKOWEJ !!!!!
Także starych czasopism, map, dokumentów, listów, kopert, druków, dyplomów,znaczków, pocztówek, umów, klisz, zdjęć itp - prowadzimy skup makulatury książkowej do 5 zł/kg, bardziej cenne pozycje kupimy za gotówkę lub przyjmiemy w komis. Kupimy także płyty, kasety magnetofonowe i płyty kompaktowe

Kupimy lub przyjmiemy w komis obrazy olejne, akwarele, ikony, rzeźby i inne dzieła sztuki, Poszukujemy różnych antyków i staroci. Kupimy stare narzędzia, militaria, zegary, srebra, platery, porcelanę, starą biżuterię i art. gosp. domowego. Także patefony, gramofony, radia i stare TV.
NIE SKUPUJEMY PODRĘCZNIKÓW DO SZKÓŁ PODSTAWOWYCH, GIMNAZJALNYCH I ŚREDNICH !
art. studio galeria antykwariat
Mielec Starówka
ul. Mickiewicza 7
tel. 017 5831498; 0602 776197, 602 739362

RAJ
ERGO HESTIA® UBEZPIECZENIA
Al. Niepodległości 5, Mielec
WYDRUKI I XERO AO KOLOR
WYPOŻYCZALNIA DVD
DORABIANIE KLUCZY
raj.mielec@gmail.com
☎ 17 583 53 35

www.drukarniaautograf.pl/sklep
tel. 17 788 61 04
kom. 500 267 502
WYKONUJEMY:
ULOTKI
PLAKATY
FOLDERY
KALENDARZE
ITP.
ul.Gajowa 13
39-300 Mielec
drukarnia_autograf1@gazeta.pl

SERWIS
KLIMATYZACJI
SAMOCHODOWEJ
Regeneracja sprężarek klimatyzacji
Napełnianie układów - Płukanie układów
Dorabianie węży - Sprawdzanie szczelności
KLIM-FAF
39-300 Mielec, ul. Wojsławska 62
tel./fax 017 585 33 26, kom. 503 507 206
e-mail: firma@klim-faf.pl www.klim-faf.pl

ELDOMEX
39-300 Mielec
ul. Kilińskiego 17 - części zamienne tel. 017 585 37 22
ul. Przemysłowa 63b - serwis AGD, klimatyzacja tel. 017 788 20 88
ul. Przemysłowa 63b, produkcja, księgowość tel. 017 788 20 88
CHŁODNICTWO
naprawa AGD
WULKANIZACJA
KLIMATYZACJE SAMOCHODOWE
Autoryzowany serwis: ARDO, Zelmer, Biawar, Światowit i inne
Montaż klimatyzatorów: SANYO, McQUAY, WHIRLPOOL, FUJITSU, LG i innych

taż - Sklep - Usługi - Montaż - Sklep - Usługi - Montaż - Sklep
ERS
SKLEP
HYDRAULICZNY
39-300 Mielec, ul. Korczaka 1, tel. 17 585 40 88

PIWA REGIONALNE
Największy wybór w mieście!
Największy wybór piwa w Mielcu
- z małych, regionalnych browarów
- bez konserwantów, niepasteryzowanych
Browar Ciechan, Amber, Gościszewo,
Kormoran, Koreb i wiele innych
rodzimych browarów
Muryjas
Mielec
Al. Ducha Św. 1
tel. 17 583 01 49
www.muryjas.pl
sklep@muryjas.pl
0,5 litra piwa zawiera 25 g czystego alkoholu etylowego.
Sprzedaż alkoholu do lat 18 jest przestępstwem.

BIBMOT
STACJA
KONTROLI
POJAZDÓW
ul. Drzewieckiego 1
tel. 0-17 583 44 45
ul. Przemysłowa 61
tel. 0-17 583 44 19
RENAULT
FIAT

ODZIEŻ REKLAMOWA
NADRUKI
t-shirty, polo,
czapki itp.
SITODRUK
MAGDA
(17) 7730091
NADRUKI
REKLAMA
Mielec, ul. Zacisze 1
kom. 692 464 967
www.magda-nadruki.pl

"DREW-BIK"
ZAKŁAD PRZETWÓRSTWA
DRZEWNEGO
Rożniaty 87
39-340 Padew Narodowa
tel./fax +48 15 811 92 19
tel. kom. 0 604 105 319
www.drewbik.pl
Oferujemy:
- WIĘŹBY DACHOWE
- PALETY PRZEMYSŁOWE
EUR, FITOSANITARNE
- TARCICĘ OBRZYNANĄ
I NIEOBRZYNANĄ
- ALTANY DREWNIANE
- SKRZYNIE DREWNIANE
- PRZYSTANKI DREWNIANE

TRANSTAL
www.transtal.pl
PRODUCENT
BLACH
DACHOWYCH
Smęgorzów 321
tel. (014) 642 86 30
(014) 642 15 65
WYROBY HUTNICZE • BLACHY DACHOWE

STUDIO FRYZUR
BOSSMEN fryzjer dla ludzi z klasą
BOSSMEN
ul. P. Skargi 9 (parter)
tel. 017 583-18-40

Najserdeczniejsze życzenia zdrowych, radosnych i spokojnych Świąt Wielkiej Nocy, smacznego jajka, mokrego dyngusa, a także odpoczynku w rodzinnym gronie życzy

Jerzy Wąs
Dyrektor Oddziału Grupy

ERGO HESTIA®

UBEZPIECZENIA

MAJĄTKOWE, KOMUNIKACYJNE I ŻYCIOWE UBEZPIECZENIA FIRM

FILIA ODDZIAŁU
Mielec, ul. Zygmuntowska 3
tel./fax 017 780 07 80
Czynne: pn.-pt. 9-17

ODDZIAŁ GRUPY
Mielec, ul. Wolności 27B
tel./fax 017 788 54 77
Czynne: pn.-pt. 8-18
sob. 8-13

FILIA ODDZIAŁU
Mielec, ul. Piotra Skargi 9
tel./fax 017 788 54 54
Czynne: pn.-pt. 8-18
sob. 8-13

tel. kom. 0 608 317 231 e-mail: jerzy.was@ag.hestia.pl

tel 017.780.07.74-Rezerwacje
Mielec,ul.Powstańców Warszawy 2
Klub mieści się w nowo otwartym basenie na Osiedlu Smoczka

DROZDOWSKI

Zakład Metalowy Rok zal. 1949

Pławo 118, 39-305 Borowa, woj. podkarpackie Poland
Zakład Pławo: tel./fax: +48 17 58 155 95, 58 153 30
Zakład Borowa: tel./fax: +48 17 58 153 73
E-mail: zaklad@drozdowski.com.pl
www.drozdowski.com.pl

PRZECINARKI TAŚMOWE DO METALU

PM-150

	⬚ 90°	⬚ 45°
●	160	100
■	150	100x100
▬	180x100	110x70

PM-230

	⬚ 90°	⬚ 45°
●	230	145
■	220	145
▬	250x150	145x145

PM-350

	⬚ 90°	⬚ 45°
●	350	250
■	300	250
▬	450x120	250x250